

Śląska Biblioteka Publiczna

40766

Ĺ

1

K

III 338
BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

wychodzi co tydzień

w objętości jednego tomu.

— < —> —
WARUNKI PRENUMERATY

we Lwowie i całym Państwie Austryackiem:

Rocznie . . (32 tomy) . . .	złr. 14
Półrocznie. (26 tomów) . .	" 7
Kwartalnie (13 tomów) . .	" 3 cent. 50
Miesięcznie (4—5 tomów) . .	" 1 " 20

Cena każdego tomu 30 cent.

— — —
Główni współpracownicy

Dr. Piotr Chmielowski,

Teodor Jeske-Choiński.

Dr. Julian Ochorowicz,

Julian Adolf Święcicki.

WYDAWCY

Granowski i Sikorski.

REDAKTOR

Franc. Jul. Granowski.

— ✕ ⊗ < > ✕ —
Redakcyja i Administracyja: Warszawa, Nowy-Świat 47. — Telefonu 564.
Filie: w Łodzi ul. Piotrkowska № 92, — we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drakarnia Granowskiego i Sikorskiego, Nowy-Świat 47

Publ. ok. 1944/35

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 82.

OBRAZY
Z ŻYCIA NA WSCHODZIE.



Anna Neumanowa

A. Neumanowej,

z przedmową

J. A. Święcickiego.

(Z ilustracjami)

TOM I.

Cena 30 ct

W prenumeracie 26 ct

ODPOWIEDZIALNY ZA REDAKCYJĘ WE LWOWIE

Edmund Kolbuszowski.

Adres wydawnictwa: Lwów, plac Maryacki l. 4.

Anna Neumanowa.

OBRAZY
z życia na Wschodzie.

(Rumunia — Bułgaria — Egipt — Grecya.
Baśnie i legendy wschodnie.)

Z PRZEDMOWĄ

J. A. Święckiego.

(Z ilustracyami).

Tom I.

WARSZAWA.

DRUKARNIA

Granowskiego i Sikorskiego.

47. Nowy-Świat 47.

40766.1
I

Дозволено Цензурою.

Варшава, 9 Апрѣли 1899 года.



10,00

X- 114017
40766 I

Т. 1

PRZEDMOWA.



Anna z Szawłowskich Neumanowa pochodzi z rodziny, zamieszkałej na Podolu galicyjskiem. Młodość spędziła w domu swych rodziców bądź na wsi, bądź też we Lwowie, gdzie zbierało się grono młodych wówczas poetów i literatów, jak Władysław Bełza, Stanisław Grudziński, Władysław Ordon, Klemens Kantecki, Marya Barthus i inni.

Otrzymawszy staranne wykształcenie, p. Szawłowska, pod wpływem tego otoczenia, które ją do ciągłej nad sobą pracy zachęcało, bardzo wczesnie chwyciła za pióro, żeby dziewczęcym ideałom swoim dać wyraz w utworach poetyckich.

Wówczas to już, a więc z górą przed 20-tu laty, pojawiły się w pismach lwowskich i poznańskich pierwsze jej poezye, podpisywane pseudonimem „Kaliny.”

Wyszedszy za mąż, Anna Neumanowa spędziła lat parę w Warszawie, z kądem małżonek jej, jako kon-

sul austriacki, przeniesiony był do Bułgarii, a następnie do Rumunii, Egiptu i Grecyi.

Rozmiłowana w podróżach, a obdarzona darem spostrzegawczym i fantazyą żywą, Anna Neumanowa zaraz po pierwszym wstąpieniu na nieznane jej ziemie postanowiła tróskliwie studyować świat wschodni, który, jak to widać z każdego wiersza jej „Obrazów,” miał dla młodej autorki urok niewysłowny. Nie poprzestając na powierzchownem zwiedzaniu osobliwości każdego kraju, jak to zazwyczaj przeciętni czynią turyści, A. Neumanowa starała się przede wszystkim o gruntowniejsze poznanie dzieł znakomitych specjalistów, którzy też byli jej przewodnikami w labiryncie greckich i egipskich zabytków sztuki.

Przebywszy na wschodzie lat 16, p. Neumanowa mogła naturalnie poznać głębiej to społeczeństwo, którego wizerunek odtworzyła w swoich „Obrazach,” tem więcej, że jako żona konsula korzystała z wszelkich ułatwień i przywilejów, zwykłemu turyście niedostępnych.

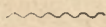
Pierwsze „Listy z podróży” tej autorki wyszły r. 1884 w *Gazecie Narodowej*, której przez lat kilka p. A. Neumanowa była stałą współpracowniczką.

Za odczyt, wygłoszony w r. 1890 w Kairze p. t. *La Lithuanie et ses legendes* (Litwa i jej legendy) Towarzystwo geograficzne tej stolicy (*Société Khedivale de Geographie*) przyznało p. Neumanowej dyplom na „członka-korespondenta.” Odczyt ten był później drukowany nie tylko w biuletynach Towarzystwa geograficznego w Kairze, lecz i w rocznikach takiegoż Towarzystwa w Peru (r. 1891).

W ostatnich dwu latach A. Neumanowa drukowała swe prace w *Słowie Polskiem*, w *Bibliotece Warszawskiej*, w *Kraju*, w *Tygodniku Ilustrowanym*, *Wędrowcu* i t. d. Są to pisane żywo i barwnie legendy, baśnie wschodnie nowelki i obrazki fantastyczne, tak np. „Drzewo Maryi“ legenda koptyjska; „Wróżbiarze egipscy“, „Czary i zjawiska pustyni“, „Na falach“, „Duchy morza“, „Złote myśli Wschodu i t. d.

J. A. Świąciecki.

SŁOWO WSTĘPNE.



Spuścizną po wiekach średnich, po walkach krzyżowego rycerstwa z potężnymi władcami wschodu, pozostał ów dziwny tajemniczy urok, jakim otaczamy po dziś dzień Wschód daleki, ojczyznę fantastycznych legend i baśni, kędy natura hojną ręką rozrzuciła jaskrawe barwy i cieplejsze, niż u nas, promienie.

Sama różnica religijnych pojęć i społecznych stosunków, inny klimat i wynikające ztąd inne obyczaje, różnaitość typów i strojów, jak również żywszy nieba koloryt, a szczególnie owa tajemniczość i nieprzystępność, jaką Wschód do niedawna był otoczony, składają się tu na obraz pełen ponęty i barw żywych, który działa na wyobraźnię, wabi ją i nęci, jakby czarodziejskie widmo fata morgany.

Dziś, niestety, przy ułatwionych komunikacyach i wobec prądów cywilizacyi, coraz to silniej uderzających o najodleglejsze świata krańce, urok ten tając zaczyna i słabnąć; zapoznajemy się z niejedną ciemną stroną tego wymarzonego Wschodu. Pomimo tego zwiedzanie zachodniej lub północnej Europy, której cywilizacya rozwija się, że tak powiem, pod okiem naszym, z której obyczajami wygładzonymi zżyliśmy się od lat dziecięcych, nie może zająć tak żywo wyobraźni, jak podróż w ten świat półdziki,

który przez długie wieki, snem zaklętym ujęty, drzemał pod strażą półksiężyca.

Kto jednak, żądny wrażeń, pragnie ten Wschód poznać z całą oryginalnością jego dawnych obyczajów, jego strojów i typów, ten niech śpieszy nad brzegi Nilu, lub pod cedry Libanu, zanim smagły Arab zmieni fałdzisty płaszcz swych praojców na opięty surdut angielski; zanim czarnooka odaliska, odrzuciwszy z czoła zasłonę („Jaszmak“) z książkami pod pachą dobijać się zacznie o wiedzę i prawa kobiet Zachodu; zanim wreszcie flegmatyczny muzułmanin ulubioną swoją dewizę *Juszallach* (jak Bóg da) zamieni, pod wpływem Anglii, na gorączkowe hasło dzisiejsze *Go ahead* (naprzód).

Niema wątpliwości, że Wschód znajduje się dziś w przededniu nowej ery; prąd cywilizacji zachodniej silną falą wdzierą się w granice niewzruszonego niegdyś państwa Mahometa, a społeczeństwo, nie znające wartości czasu i pracy, skazujące kobietę na bezczynność i niewolę, a niewolnika na idiotyzm, czyliż zdoła się oprzeć ideom postępu? Islam, którego potęga, wiedza, prawodawstwo, oparte są jedynie na literze Koranu, przeżył już dni swoje; od powolnej zagłady uratować go może jedynie zupełna reforma Koranu, o jakiej marzy partya młodoturecka. Wątpić jednak należy, aby szczep turecki, najbardziej ze wszystkich wschodnich szczepów przegnity i zgnuśniały, przeżyć mógł taką reformę; jedynie szczep arabski, najwięcej żywotności i siły mający, posiadający władzę pochłaniania obcych żywiołów, może mieć przyszłość przed sobą i przetrwać burze i walki, jakie nań czekają. Z tym to tak żywotnym szczepem liczyć się powinni nawet drapieżni cywilizatorowie Wschodu, którzy w swe szpony chwycili najpiękniejsze jego krainy: Egipt i Indye.

Kto jako turysta w przelocie tylko Wschód zwiedził, a nie żył w tych krajach przez czas dłuższy, ten nie mógł zapoznać się z życiem wschodniem i w rzeczywistym świetle przedstawić jego stosunków. Jeśli jest wrażliwym fantastą, jeśli mu zdrowie w podróży służyło, a przytem i kieszeń miał dobrze zaopatrzoną, to z pewnością przedstawi nam swą podróż w ponętnych i ciepłych barwach; komu zaś klimat nie posłużył, kto się wybrał w te półdzikie jeszcze strony ze zbyt niemi zamiłowaniem komfortu, spokoju i ładu, ten niewątpliwie gorszyć się będzie ciemnymi i przykreimi stronami życia na Wschodzie i nie zrozumie piękna, ani uroku tych krain.

Kiedy pewnego razu, poznawszy w Kairze młodego lekarza turystę (wiedeńczyka), kazałam mu podziwiać w jednej ze starożytnych dzielnic miasta wspaniałą studnię (sabil) saraceńską, o przepysznie rzeźbionych, koronkowych ozdobach i szczytach, ale na wpół rozwaloną i leżącą w gruzach, o których odbudowaniu lub uprzątnięciu nikt nie myślał, zawołał on niecierpliwie:

— Podziwiałbym rękę, któraby uprzątnęła z drogi ten śmietnik saraceński, roznoszący kurzawę i niezdrowe miazma.

Znałam także Angielkę, która na widok nagich chłopałów arabskich, tarzających brązowe ciała w kurzawie ulicznej, dostawała spazmów.

Co do mnie, to z całym zamiłowaniem i z żywym zajęciem zapoznawałam się tak z pamiątkami starożytnego świata i gruzami wieków średnich, jak również z życiem i charakterem ludów wschodnich. Studyowałam zwyczaje i pojęcia w rozmaitych warstwach społecznych, mając do tego czas i sposobność przez stanowisko męża mego, który, jako konsul austriacki, wstęp miał wszędzie otwarty. Obrazki więc, które podaję czytelnikom moim, są zdjęte z życia, i albo naszkicowane pod chwilowem wrażeniem, al-

bo też opracowane na podstawie studyów głębszych i dłuższych, gdyż lat szesnaście spędziłam na tym Wschodzie, o którym dzieckiem jeszcze marzyłam nieustannie.

Dziwnieźbo te marzenia snują się czasami w młodocianych główkach dziewczęcych, dziwniejszem jednak bywa jeszcze, gdy przez losu zrządzenie te marzenia się urzeczywistnią. Wówczas, kiedy w rodzinnej wiosce na Pokuciu, przesiadując pod cieniem kasztanów starych, śledziłam godzinami ruch odlatujących ptaków i obiecywałam sobie podążyć kiedyś za nimi, odczuwając, jak mówiłam, niepokój ich skrzydeł, głos mego ojca przerywał zazwyczaj moje dumania tą prozaiczną uwagą:

— Otl pójdziesz za hreczkosieja i podróżować będziesz naokoło gumna i kwiatów.

Wróżby te przyprowadzały mnie do rozpacz, a ów nieszczęsny hreczkosiej stał się dla mnie rodzajem strasznego widma, wilkołaka, przed którym pierzchały moje złotoskrzydłe mrzonki.

Nie przeczuwałam, że kiedyś, w przyszłości, pod skwarnem słońcem Afryki, z tęsknotą przypominać sobie będę zieleń wzgórz i łąk naszych, i woń pól zasianych hreczką, że nawet ów straszny hreczkosiej urośnie wtedy w mych wspomnieniach na idealną, postać, pracującą dla dobra kraju, o wiele wyższą od zgnuśniałych Lewantynów.

Nie sądziłam, że kiedyś, ze szczytu piramidy patrząc na smukłe wieże minaretów, na palmy i pałace marmurowe, zawołam z głębi duszy:

Czy takie serce dałeś mi, Boże,
Czy mi do szczęścia tak wiele trzeba,
Że choć tak cudne wschodzą mi zorze,
Tu pod namiotem obcego nieba,
To serce płacze i oczy płaczą,
Za moją chatą wieśniaczą!

ROZDZIAŁ I.

U BRAM WSCHODU.

I.

Podróż Dunajem.—Turn Seweryn.—Widdyn.—Stosunki w Bułgarii. — Towarzystwo rumuńskie. — Zwyczaje ludowe.

„Je n'enseigne pas, je recontre.“

(*Montaigne*).

Kiedy po raz pierwszy zęgnąłam kraj rodzinny, aby rozpocząć moją długoletnią wędrówkę po Wschodzie, półwysep Bałkański drżał od odgłosów świeżo wówczas przebytej walki, stanowiącej dla przyszłych jego losów. Pokój w San-Stefano nie był jeszcze zawarty, gdy mąż mój powołany został do objęcia konsulatu austriackiego w Widdyniu. Potężna ta twierdza, strzegąca brzegów Dunaju, ważnym była punktem dla Austrii, gdyż w miejscu tem zbiegają się granice Serbii, Rumunii i Bułgarii. Chodziło więc o baczny pogląd na zachowanie się tych państw, o obserwacye, w jaki sposób młodziutkie księstwo Bułgarskie swej samoistności używać będzie, jako też o strzeżenie Dunaju, tego najpotężniejszego, dziś już nadszarpanego, nerwu Austrii.

Znajomi nasi, wiedząc o zamiarze moim towarzyszenia mężowi w podróży do Bułgarii, litowali się nademną, przewidując trudy i niewygody, jakie czekały nas w mieścinie turecko-bułgarskiej, zniszczonej podczas wojny przez kule rumuńskie, a której ludność pierzchała tłumnie przed epidemią tyfusu plamistego.

panującą wówczas na całej przestrzeni dolnego Dunaju.

Co do mnie jednak, nie wahałam się ani na chwilę w zamiarze zniesienia wszelkich możliwych niewygód i niebezpieczeństw, byleby stanąć jak najśpieszniej bodaj u bram tego Wschodu, o którym od dziecka marzyłam.

Aby mieć sposobność przypatrzenia się bliżej ludziom i krajobrazom dla mnie nieznanym, obrałam dłuższą nieco podróż Dunajem i już w Wiedniu wsiedliśmy na okręt towarzystwa dunajskiego.

Jest to zresztą dla każdego, komu nie spieszo przybyć do celu, podróż najprzyjemniejsza, bo okręty urządzone są wygodnie, zatrzymują się co godzina przy stacyach, a głównem zajęciem kapitanów okrętowych, znanych z uprzejmości, których komendanci marynarki morskiej, przez ironię, „słodkimi marynarzami“ nazywają, jest flirt z podróżniczkami.

Już w Peszcie pokład naszego okrętu, „Vorwärts,“ zapełnił się różnobarwnym tłumem przedstawicieli półwyspu Bałkańskiego. Przypatrywałam się ciekawie malowniczym postaciom, strojom i charakterystycznym typom. Był to wistocie zajmujący obrazek.

Tu Serb wysoki, barczysty, wiódł spór zacięty z małym, krępy m Bułgarem o przewadze Serbii nad innemi plemionami słowiańskimi. Tam znów Turek stary, milczący, w szerokim turbanie, odrzucając rękawy bogato haftowanego dolmana, przesuwając w palcach paciorki kosztownego różańca ¹⁾ i patrzy na dysputujących z godnością i pogardą, jak zrujnowany arystokrata na dorobkiewiczów wzbogaconych jego kosztem. Na przedzie okrętu stanął smukły Czarnogórzec, w malowniczym swym stroju,

¹⁾ Turcy bawią się godzinami przesuwaniem paciorek u różańców. Różaniec muzułmański nie ma jednak religijnego znaczenia.

z czerwonym fezem na płowych włosach słowiańskich, ręką poprawia noże i jatagany, błyszczące za szerokim pasem, a wzrokiem poważnym z pod brwi krzaczastych sięga w przestrzeń daleką, jakby tam dojrzeć już pragnął szczyty skał rodzimych.

Opodał, pod krytą galeryą okrętu, zebrało się grono Węgierek, szczebioczące wesoło, jak gromada jaskółek, co się zleci na poddasze. Ząbki ich białe, figurki zręczne, choć trochę krępe, spojrzenia i ruchy zalotne, a tak żywe, jakby nie słowa, ale iskry z ich ust rubinowych się sypały.

Mieliśmy także zebrane w salonie okrętowym towarzystwo rumuńskie: dwie czy trzy „Kokony“, (po rumuńsku pani nazywa się: „Kokona“ albo „domna“—panna: „Kokonica“ albo, „domnisciora“), dwie młode „Kokonice“ i kilku bojarów rumuńskich.

Panny wcale nie szpetne, choć rysy miały dość grube i czoła niskie, zwykle u Rumunek, posiadały jednak prześliczne, czarne, aksamitne oczy o białkach prawie błękitnych, przysłonięte długimi rzęsami.

Te oczy, będące częstem na Wschodzie zjawiskiem, i krucze włosy przy pełnych, rozkosznie rozchylonych ustach, nadawały im powab i wdzięk cyganek. Szpeciła je tylko gruba warstwa bielidła, pokrywająca nawet uszka i szyję.

Towarzysze tych dam nie zachwycili mnie wcale; twarze ich znudzone były i przeżyte; ułożeniem zaś rubasznem i lekceważącym względem kobiet przypominali niemieckich burszów; przytem, o ile damy były eleganckie, o tyle mężczyźni brudni i zaniedbani się wydawali.

Do uzupełnienia towarzystwa kosmopolitycznego nie brakło w naszym podróznym gronie Anglików, na Wschód przejeżdżających. Poznać ich można było już zdala po długich twarzach, jasnych i rudych włosach, dziwacznych szalach i kapeluszach. Rozłożyli się na pokładzie jak w domu, w hamakach i na poduszkach, rzucając kelnerom rozkazy angielskie

i wściekając się, że służba okrętowa wcale tego języka nie rozumiała.

Zresztą nie zawierali oni z nikim znajomości, zwracając tylko uwagę na zmieniające się krajobrazy.

Minąwszy Peszt, wjechaliśmy w przestrzeń monotonną i smutną pustyń węgierskich.

Są to okiem niezmierzone równiny, gdzieniegdzie bagnem przerwane, szuwarem lub bujną trawą porośłe. Mieszkania ludzi rzadkiem są tu zjawiskiem, step tylko widać szeroki, pusty, znany nam z powieści Eötvösa i Jokaja. Czasem stado czapli lub dzikich kaczek zerwie się nagle z pod kół prawie parowca; czasem zdaleka dojrzeć można tabuny koni dzikich, step przebiegających, lub stada wołów roślących, pędzonych przez smagłego, odartego, wpół dzikiego Madiara.

Ponury i smutny ten krajobraz zmienia się dopiero, gdy na prawem wybrzeżu Dunaju ukażą się schludne, zielenią otoczone wioski serbskie. Tuż za Belgradem okolica z płaskiej staje się coraz bardziej górzystą, a w pobliżu Baziaszu zaczyna się najbardziej zajmująca przestrzeń podróży. Dunaj, zmuszony zwęzić koryto swoje wśród gór wysokich i skał pionowych, burzy się gniewnie i pieni, przedziera dzikie urwiska, wije się i gubi w zakrętach.

Gdzieniegdzie szczyty skał ostrych dobywają się z pod fal szumiących, tworząc jak gdyby sztuczne za pory, rzeźby o dziwacznych kształtach.

Największa z tych skał podwodnych nosi nazwę: „Babakoj”, co znaczy: Babo, żałuj!

Baśń, przywiązana do tej skały, opowiada o młodej kobiecie tureckiej, którą okrutny a możny basza przykuł do tej skały za niewierność i na śmierć skazał głodową, patrząc z wybrzeża na jej powolne konanie. Dziś, o ile mi wiadomo, srogość tureckich baszów złagodniała; pocieszają się w podobnych wypadkach flirtem z cudzemi żonami.

Stajemy tu już prawie u krańców węgierskiego

państwa; ostatniem miasteczkiem przed granicą rumuńską jest mała, zaledwie kilkanaście tysięcy mieszkańców licząca, ale ruchliwa i malowniczo przedstawiająca się miejscina Orszowa.

Okręty dunajskie mają tu główną stację, a podróżni, na Wschód jadący, starają się zaopatrzyć we wszystko, co im potrzebne, gdyż raz stanąwszy za granicą rumuńską, każdy drobiazg podwójnie opłacać trzeba. Tak przynajmniej twierdził nasz kapitan; za jego wskazówką zakupiliśmy w Orszowej najrozmaitsze niekoniecznie potrzebne nam graty, ku ucieście naszych towarzyszków Anglików, patrzących z uśmiechem szyderstwa na te niepraktyczne zakupy, które tembardziej nam zawadzały, ponieważ kazano nam przesiadać się na mniejszy parostatek, a to z powodu niskiego stanu wody przy kataraktach Dunaju u Żelaznej Bramy.

W istocie, zaledwie w rąbkach różowej i lilowej mgły wieczornej znikły nam z oczu białe domki Orszowy, okręt nasz, a raczej łupinka mała, nosząca tę nazwę, powoli i ciężko pracując, przesuwając się zaczął wśród olbrzymich kamieni, gdzieniegdzie nad wodą sterczących.

Kapitan zapomniał na chwilę o świecie i stanąwszy na swym pomoście, z miną bohatera, władającego groźnym żywiołem, rzucał energiczne hasła.

Mrukliwi, nadąsani sternicy z podwojoną uwagą pracowali przy kole, zręcznemi obrotami wymijając skały i wiry. Gdzieniegdzie przejście między kataraktami tak było zwężone, że słyhać było tarcie okrętu o podwodne ściany skał. Przestrzeń ta, niebezpieczna dla okrętów, dziś już poniekąd uregulowana przez wysadzenie skał w powietrze ¹⁾, wymagająca wielkiej uwagi ze strony komendanta

¹⁾ Regulacya Dunaju przy kataraktach Żelaznej Bramy została obecnie ukończoną i żegluga na tej przestrzeni nie przedstawia dziś żadnych trudności.

sterników Żelaznej Bramy, nie z powodu trudności do przebycia, ale dlatego, iż w miejscu tem już przed laty przy robotach regulacyi znaleziono pod wodą słupy żelazne. Mają to być szczątki mostu rzymskiego z czasów Trajana, jak o tem świadczą napisy, w przeciwległej skale wyryte, zwane tablicami Trajana.

Tuż za Żelazną Bramą Dunaj szerzej znów swe mętne nurty rozlewa, a na tle wieczornego nieba, skąpane w błękitnym zmroku ukazały się nam pierwsze półksiężycy. Były to szczyty smukłych minaretów w dawnej twierdzy tureckiej: Ada Kaleh (t. zw. wodna twierdza). Twierdzę tę odstąpili Turcy dobrowolnie Austrii po ostatniej wojnie, gdyż zgubiona wśród obcych wybrzeży, nie miała tu ona dla nich żadnego znaczenia.

Odtąd trzyma Austria stałą wojskową załogę na tej wysepce; bogatsi Muzułmanie wywędrowali tłumnie, tylko ubożsi Turcy pozostali dotychczas, zachowując strój i zwyczaje własne. Trudnią się oni ogrodnictwem i wyrabianiem tureckich łakoci. Kobiety ukazują się tylko muślinami okryte, w długich, kotarowych płaszczach i pantofelkach, które często zimową porą w śniegu zbierać muszą.

Z najwyższą radością powitano ten mały zapomniany Wschodu zakątek, który jednak na tle obcego wybrzeża, z ubogimi, cichymi domostwami i wysokimi murami, czyni wrażenie zaniedbanego cmentarza.

Z tą wyspą kończy się austriacko-węgierska ziemia; góry i skały, będące ostatnimi kończynami Karpat Siedmiogrodzkich, maleją; wjeżdżamy w granice młodego królestwa Rumunii. Turn Sewerin to pierwsza stacya rumuńska. Sama nazwa tego miasteczka przywodzi na myśl rozległą dawniej Romy potęgę. Toż wistocie ze wzgórza, na którem rozrzucone miasteczko, witają nas najpierw ruiny dawnego kastelu; mają to być gruzy wież Sewera.

Ruiny podobne wszędzie na przestrzeni dolnego Dunaju spotkać można, boć wiadomo, że kraje te były ziemią wygnania rzymskich Cezarów.

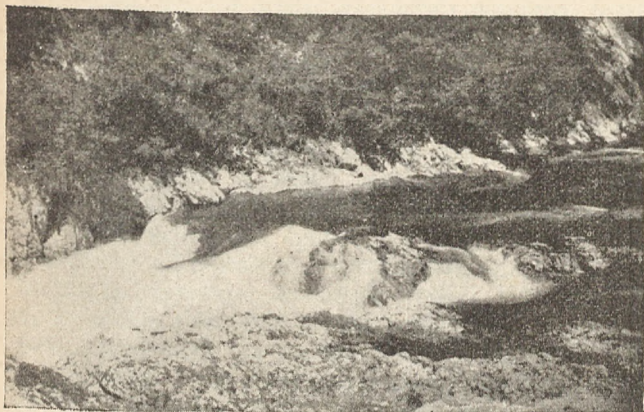
Turn Sewerin należy do najpiękniej położonych miast Wołoszczyzny. Posiada park obszerny ze ślicznym widokiem na Dunaj i okoliczne wzgórza, powietrze świeże i czyste, klimat łagodny i wodę zdrojową dość dobrą, będącą cennym skarbem w nad-dunajskich miastach.

Ponieważ okręty zatrzymują się tu godzin kilka, wysiedliśmy więc, aby zwiedzić miasteczko. Przewodnikiem naszym był ksiądz katolicki, proboszcz austriackiej kolonii, Włoch żywy i mowny. Same miasto wydało mi się dziwnie zaniedbane; prócz kilku okazalszych domów i hotelów, których właścicielami są Żydzi i Niemcy, widzieć można tylko nędzne, odarte dworki, okolone podwórkami, służącymi za zbiorniki śmiecia i brudu.

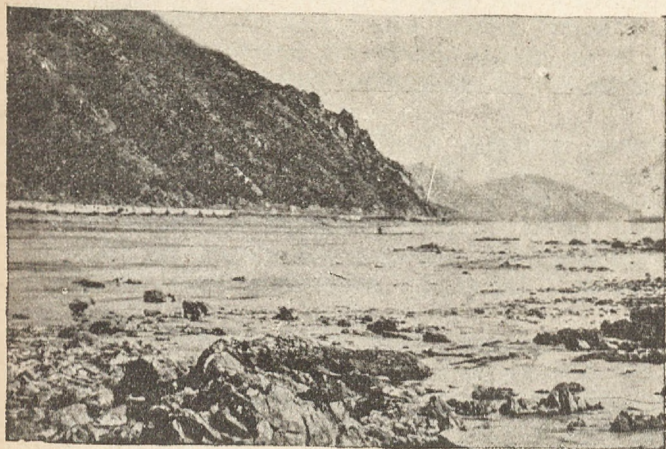
Ulice miasta nierówne, zarzucone są ostremi, sterczącymi kamieniami, tak, że posiadając odciski, w niesłychane męztwo uzbroić się trzeba, aby odbyć po mieście przechadzkę. Należy także mieć zmysł powonienia niezbyt tkliwy i sporą dozę krwi zimnej, gdyż potraça się często o psy i koty zdechłe, w piramidach śmiecia pogrzebane. Burmistrz miasta i urzędnicy rumuńscy zbyt są zajęci troską o własne kieszenie, aby o takich myśleć drobnostkach. Dość powiedzieć, że w całym mieście jest tylko jedna studnia i tę wykopali obcy przybysze.

A jednak miasto bardzo jest bogate, gdyż sama agencja towarzystwa Dunajskiego płaci za port wolny $\frac{1}{2}$ miliona franków rocznie.

Zwiedzwszy ubożuchny kościółek katolicki i wspaniały rynek miasta, który mógłby być ozdobą Turnu, gdyby nie plądrujące po nim woły i nierogacizna, wyszliśmy na szeroki bulwar, wiodący do parku, będącego punktem zbornym rumuńskiego *high life'u*.



Wodospad Czarny w kąpielach Herkulesa.



Katarakty Dunaju, t. z. Żelazna brama.

Park ten, na stoku wysokiego wzgórza rozrzucony, cienistemi alejami zbiega ku falom Dunaju, który tu szeroką rozlewa się zatoką. Po błyszczącym zwierciadle wody szybują łódki rybackie i mkną parowce, kłębami dymu otoczone; powyżej zaś kolej żelazna wije się i gubi między górami. Krajobraz ten, ujęty jakby w ramy pasmem gór, mieniających się w tęczowe barwy, pozostał mi żywo w pamięci.

Pod drzewami ogrodu, u stóp wież Sewera, ustawiono na szerokiem wyniesieniu starożytne wykopaliska rzymskie: sarkofagi, posągi i tablice. Nie są to wcale arcydzieła sztuki snycerskiej, napisy jednak zachowane są bardzo dobrze. Niestety, jeden z prefektów Turn Sewerinu, chcąc się przypodobać królowi, na uroczystość przybycia tegoż kazał sarkofagi i posągi odnowić i pokryć warstwą białego tynku, nad główną zaś pamiątką, t. j. nad tablicą Sewera, wzniesiono za jego rozkazem daszek czerwony.

Podobno król Karol, widząc ten wandalizm, miał szepnąć po niemiecku: „der dumme Trottel“¹⁾ — prefekt jednak skłonił się nisko, sądząc, że to pochwała za jego staranne obchodzenie się ze starożytnymi pomnikami.

Wpółśród tych poważnych pamiątek przesuwają się zazwyczaj strojne, wesole tłumy. Mężczyźni, zajęci przy stolikach bezmyślną grą w kości, wodzą oczami za błyszczącym rojem kobiet, które, pyszniąc się bogactwem ubiorów, współzawodniczą z sobą w sztuce malowania twarzyczek i w zalotności.

Tak zwane *haute volée* towarzystwa rumuńskiego składa się z wyższych urzędników i bojarów, czyli właścicieli dóbr. Urzędnicy zmieniają się często, tracąc swe stanowiska przy zmianie par-

¹⁾ „Głupi, bałwan.“

tyi rządzącej u steru i nie mając prawa do emerytury; nie dziw więc, że urzędując, troszczą się bardziej o byt własny, niż o dobro państwa.

Bojarowie znów posiadają zazwyczaj mniej lub więcej zadłużone dobra w okolicach Turnu, ale nie przywykli do życia na wsi, nie umieją się tamże urządzać.

Łatwiej im pędzić próżniacze życie w miasteczkach i spędzać dni przed kawiarniami, na grze w karty i w kości, a wieczorami słuchać śpiewek dwuznacznych, którei się popisują w piwiarniach rumuńskich trzeciorzędne śpiewaczki wędrujących teatrów.

Jakkolwiek pocziwy księżulek, nasz przewodnik, ciekawe szczegóły o stosunkach towarzyskich Rumunii opowiadać umiał, zmuszeni byliśmy spieszyć z powrotem na okręt, który dawał już sygnał odjazdu.

Był to znów inny okręt, o wiele większy, niż „Vorwärts,” podobny urządzeniem do parowców morskich, to też i Dunaj od granic Węgier zaczawszy, coraz wspanialej i szerzej rozlewa swe mętne wody, tak, iż w niektórych miejscach trudno okiem objąć obu wybrzeży.

Zegnani odgłosem wesołego czardasza, obiecaliśmy sobie, iż wkrótce urządzimy z Widdynia wycieczkę do Turnu, aby się bliżej zapoznać z Rumunią, nie wiedząc wówczas, iż przyjdzie nam tamże przez lat parę zamieszkać.

II.

Dumnie i poważnie, szerokiem łożyskiem tocząc zmaćcone, pieniające się nurty, wkracza Dunaj stary w granice niegdyś tureckiego, dziś bułgarskiego państwa. Dumnie i poważnie strzegą po dziś dzień tych granic potężne mury twierdzy Widdynia. Choć w części zniszczone przez miny zwyciężkich

wojsk rosyjskich, poszarpane rumuńskimi kulami, od strony Dunaju jednak nietknięte, niewzruszoną opoką zakopane w ruchliwe, bijące fale, pozostaną przez długie lata pomnikiem tej potęgi, co niegdyś całemu groziła światu. Dziś ta potęga złamana ustępuje nie tyle przed siłą oręża, ile przed prądem czasu i cywilizacyi. Naród turecki przeżył już dni swoje, skrępowany przestarzałymi prawami swemi, fanatycznie przywiązany do dawnych tradycyj i obyczajów, stał się niejako zabytkiem średnich wieków wśród dzisiejszej Europy.

To też i krok ten pierwszy na ziemi, co przez lat 400 pozostawała pod jarzmem Turków, otwiera przed oczyma naszymi świat inny, nieznany, a ciekawy odrębnym swym kolorytem.

Kiedy ponad fale Dunaju, osrebrzone blaskami księżyca, na tle ciemnego szafiru nieba, ujrzałam minarety dotychczas dumnie dźwigające półksiężyc, choć Nielitośnie poszarpane przez kule rumuńskie, kiedy z ponad tych ruin usłyszałam głos muezzina, dziękującego Allahowi za światło dnia przeżytego, wtedy w wyobraźni mojej zbudziły się wszystkie obrazy, opisy i czary wymarzone Wschodu.

Ale zawód mnie czekał bolesny, bo już to Widdyń należy do najbłotniejszych i najprzykrzejszych gniazd Bułgarii.

Tylko zdala, z okrętu, wspaniale się przedstawia, roztaczając majestatyczne ciemne niwy twierdzy wzdłuż szerokiej zatoki Dunaju. Od południa widnieją groźne, śnieżne szczyty Bałkanów, gubiące się w obłokach.

Jako pierwsi przedstawiciele Wschodu, powitali nas odarci, wpołnadzy *hamale*, to jest posługacze, Turcy, Grecy, Bułgarowie. Na ich głowach potargane turbany, ciała zaledwie okryte łachmanem koszuli jaskrawej o szerokie rękawach, oto pierwsze typy, pierwszy przepych Wschodu!

Ponieważ o dorożki w Widdyniu trudno było

w tej porze, gdyż wszystkie konie wzięto dla wojska, musieliśmy pieszo za naszymi „hamalami” podążać do miasta. Ulice wąskie, zawałone wielkimi kamieniami; po obu stronach widać bądź mury wysokie, gdzieśgdzie w gruzach leżące, a za nimi ukryte niskie domki tureckie, bądź liche, nędzne domostwa z kilku desek i gliny zlepione, opatrzone niezliczoną liczbą okienek, drzwi i balkoników, bez symetrii umieszczonych; ściany tych domków malowane są jaskrawą, niebieską, różową lub zieloną farbą, podług estetycznego gustu właściciela. Domy te mają dachy wysunięte, wsparte na słupkach drewnianych, a w cieniu tych domków tulą się kramy i kramiki, stragany z cuchnącymi rybami, mięsiwem i innemi przysmakami.

Wzdłuż wybrzeża widać okazalsze nieco domostwa, noszące pyszną nazwę hotelów: *hôtel Bellevue*, *hôtel d'Athènes* i t. p., zauważyłam jednak, że na pierwsze piętro w tych hotelach po drabinie wspiąć się trzeba było.

Konsulat austriacki mieścił się w jednym z najokazalszych domków Widdynia; w rzeczywistości była to buda drewniana, na kolor niebieski malowana, z dachem, który kule rumuńskie, pomimo białej bandery, podziurawiły niemiłosiernie podczas ostrzeliwania miasta i twierdzy.

Wewnątrz domku pokoiki były niskie, ale jak na Bułgaryę, bardzo ozdobne; sufit y z rzeźbionemi rozetami i narożnikami, pokostowane jaskrawo i złożone piece, jak ołtarze z dużych i małych słupków złożone, malowane we wszystkie barwy tęczy; wzdłuż ścian przybite były szerokie ławy drewniane, tak zwane mendiży. Niestety jednak przez szpary sufitów dostrzedz można było błękit nieba. Aby się ochronić od wilgoci, chłodu i wciskającego się przez szczeliny wiatru, musieliśmy pierwszej nocy z gumowych naszych płaszców urządzić sobie w pokoju namioty.

O sprowadzeniu rzemieślników do naprawy do-

mu mowy być nie mogło; dopóki szpital Widdynia przepełniony był chorymi na tyfus żołnierzami, a okręty ambulansowe stały pod murami miasta, nikt ze służby, ani z robotników przybyć nie chciał. Miasto było na wpół-opuszczone, zamieszkałe jedynie przez tych, którzy mienia swego porzucić nie chcieli.

Do usługi naszej mieliśmy tylko dwóch kawasów, Turków. Obaj nosili jednakie imiona, ale jeden z nich był mądry, drugi głupi Mustafa. Ten ostatni zawdzięczał swą głupotę i niedołęztwo silnym dozom opium, które dodawał do tytoniu, paląc nargile. Przyczyną tego nałogu były podobno nieszczęścia, o których zapomnieć pragnął. — „Płomień zabrał mi mienie, a wojna syna“ — powiedział mi raz spokojnie, bez skargi, dodając natychmiast: — „Błogosławione imię Allaha“.

Z pomocą tych moich Turków, uzbrojona w słownik turecki, postanowiłam bądź co bądź urządzić sobie w Widdyniu wygodne domostwo. Nie było to jednak łatwym zadaniem. Pierwszego dnia po przybyciu obiad nasz, przysłany z tak zwanego hotelu, składał się z misy ryżu gotowanego bez soli i masła, z ugotowanej kury, pokrytej warstwą papryki i — z papryki zielonej, podanej na sałatę.

Trzeba więc było pomyśleć samej o prowadzeniu własnej kuchni. Całym ratunkiem moim była w tych fatalnych chwilach książka pani Ćwierczakiewiczowej. Błogosławiłam ją za myśl napisania 365 obiadów, choć myśl tę wcielić w życie w Bułgarii, mając bawole mięso, bawole masło i wygłodzone w czasie wojny kury tureckie — to rzecz arcytrudna.

Jedyną nagrodą moją za trudy i niewygody na wpół obozowego życia były przechadzki codzienne po błotnych i kamienistych ulicach Widdynia, pod strażą nieodstępnych moich kawasów, którzy czuli się w obowiązku strzeżenia każdego mego kroku. Jeden z nich niósł nademną parasolkę, drugi nie dozwalał mi targować się lub płacić za jaki towar,

uważając takie czynności za niezgodne ze stanowiskiem mojem.

Za ich pośrednictwem zapoznałam się trochę ze stosunkami Widdynia i przypatrzyłam się bliżej życiu niektórych tureckich kupców i bułgarskich mieszczan. Jeden z tych kupców, stary, siwobrody Turak, zajął mnie szczególniej dziwną powagą i spokojem pięknej, szlachetnej twarzy. Widywałam go codziennie siedzącego na progu domostwa swego, z fajką na kolosalnym cybuchu; codziennie witał on mnie tureckiem dzieńdobry: „*Sabah inyz hair olsun*“. Był on bogatym i poważanym, posiadał trzy domy i dwa klamy pełne towarów. Pewnej nocy pożar spalił do szczętu jego całe mienie; przechodząc koło dopalających się zgłiszcz i gruzów, ujrzałam mego przyjaciela Turka, siedzącego jak zazwyczaj z fajką, tym razem przy kupie popiołów. Za pośrednictwem kawasa kazałam mu wyrazić mój żal i ubolewanie nad tem strasznem nieszczęściem, które go spotkało. „Allah dał, Allah wziął, Allah znów da“ — odrzekł mi spokojnie, bez wzruszenia. Wistocie po kilku tygodniach założył nowy, malutki kramik, wierząc z niezachwianą ufnością, że Allah znów da dobytek i szczęście.

Ruch handlowy Widdynia ześrodkowuje się głównie w dwóch punktach — w murach twierdzy i na wybrzeżu nad Dunajem. Inne, dalsze ulice miasta, ciasne, kręte, zawalone, jak wspomniałam, naniesionemi przez rzekę kamieniami, bywają najczęściej na wpół zalane cuchnącą, z pod ziemi wydobywającą się wodą, gdyż Widdyń leży na bagnistej płaszczynie, niewiele wyższej nad poziom rzeki. Ulice te, ciche, ponure, wydają się jakby niezamieszkałe. Za to wybrzeże roi się tłumem gwarnym, krzykliwym, różnobarwnym: Turcy, Serbowie, Bułgarowie, Cyganie potracają się wzajem i zasiadają przed hotelami przy kulawych stolach, popijając kawę lub polykając dym wonny nargilów. Spotkać tu można czasami

i Greka w fałdzistej fustanelli, i Albańczyka w aksamitnym, złotem wyszytym kaftanie; czasami przemknie murzyn zabłąkany tu nad Dunaj, jako sługa bogatego Turka, albo ubogi derwisz arabski wyciąga rękę wyschlą, ściśniętą tak silnie, że paznokcie wrosły już w dłoń poranioną.

Tłum ten, sposobem wschodnim, żywi się na ulicach; od świtu już chłopaki tureckie roznoszą salep z mlekiem, zwykły ranny napój Turków i Bułgarów, wołając dziwnie melancholijnym tonem: „Sediak salep“ (gorący salep); inni roznoszą ryż ugotowany, placki i obwarzanki, limonadę, lody (t. zw. dundorma) i konfitury różane. W pobliżu kramów rozłożone są zazwyczaj zrana ogniska, przy których chłopci bułgarscy, zatknawszy na patykach kawałki baraniny, przysypane papryką, pieką je i zjadają chciwie.

Głównym artykułem handlu i pożywienia są ryby i ^zdobytany ze sterletów wyborowy, choć drobnoziarnisty kawior świeży.

Wody zdrojowej Widdyń nie posiada wcale; mieliśmy tylko wodę dunajską, latem nadzwyczaj niesmaczną i ciepłą; aby ją ochłodzić, mieszkańcy przechowują śnieg w głębokich cysternach.

Roślinność w samym Widdyniu i okolicznych osadach z powodu bagnistego gruntu dość jest skąpą. Mimo tego ogrodnictwo stoi w Bułgarii wysoko, lud bułgarski, pracowity i wytrwały, pielęgnuje starannie w ogrodach orzechowe drzewa, czereśnie, śliwy, a szczególnie róże; znanem jest, iż Bułgaria to ojczyzna róż i wyrabianego z nich cennego olejku.

Podziwiałam także zręczne i nadzwyczaj trwałe wyroby bułgarskie z wełny, lnu i jedwabiu: dywany, sukna, czapki, kobiece zasłony i t. d. Często też na ulicach spotykałam kobiety bułgarskie z kądzielą w rękach; pędząc bawoły lub dźwigając na barkach ciężary, snuły na wrzecionach i przędły wełnę białą.

Strój ludowy bułgarski nie jest malowniczy: kobiety noszą gorsety z welnianego aksamitu, męż-

czyżni koszule wełniane, na piersiach rozwarte, sztucznie tkanemi pasami przewiązane, na głowach olbrzymie czapki baranie, a na nogach sandały.

Miejsce naszych szynkowni zajmują w Widdyniu kawiarnie; tu, w pośrodku bud drewnianych stoją wielkie kotły, t. zw. po turecku mangale, pełne żarzących węgli, a przy nich klęczą młode chłopaki w czerwonych fezach (caffedzi) i warzą w miedzianych imbrykach wyborną turecką kawę, którą się pije razem z miałem. Kawa taka powinna tylko przez *trzy* sekundy kipieć na ogniu i zawrzeć *trzy* razy; nalewając ją do kubków, kafedzi wlewa ostrożnie *trzy* krople zimnej wody, aby miał osiadł u spodu.

Długie godziny, spędzane w kawiarniach, uprzyjemniają sobie krajowcy śpiewem narodowych patriotycznych piosenek przy wtórze fletów lub skrzypców. Dźwięczy mi po dziś dzień w uszach pieśń ludowa: „Szumi Maryca” i inna jeszcze ballada o dzikim baszy, mordującym niewinne dziewczęta.

Częstem też zjawiskiem w tych kawiarniach są harfiarki czeskie i francuskie śpiewaczki kupletów, zastępujące dziś na Wschodzie dawne Almee i Bajadery.

Najbardziej zajmującą częścią Widdynia jest twierdza, oddzielona od miasta podwójnemi, dziś na wpół rozwalonemi murami i szerokim przekopem, przez który most prowadzi zwodzony.

U sklepionej wjazdowej bramy sterczą olbrzymie rdzawe haki, które niegdyś dźwigały głowy ściętych rokoszan. Za bramą wznosi się „konak,” długi, murowany, strzelnicą opasany budynek, zwany przez Turków zamkiem, w którym przez lat kilkanaście buntowniczy basza Widdynia, „Paswan Oglu”, urągał potężde sultana. W zamku tym oglądać można zbroje dawne, szczątki namiotów i sztandarów. Zwiedza-

liśmy także podziemne więzienia, pełne łańcuchów, żelaznych drągów i pruchniejących kości ludzkich.

Ulice w twierdzy wąskie i kręte, domy zasłonięte wysokimi murami, tylko wieże minaretów, galeryami u szczytów opasane, wznoszą się wysoko nad gruzy i mury.

Główną i najszerszą ulicę w twierdzy zajmuje bazar, szereg bud drewnianych, w których jednak cenne i piękne przedmioty nabyć można: bogate hafty, kilimki i wyrabiane przez Ormian srebrne filigrany: tace, dyademy, cygarnice, z drobnych drucików, jakby z koronek plecione. Kiedy po wojnie Dundukow przejeżdżał przez Widdyń, miasto, witając go chlebem i solą, ofiarowało mu tacę, na której chleb ten był podany, i kosz z przepysznych srebrnych filigranów.

Znajdujemy także w twierdzy ruiny dawnego rzymskiego kastelu; o gruzach tych lud dziwne prawi legendy: Kiedy noc ciemna (zbytek latarni nie znany jeszcze w Widdyniu) zajdzie nad miastem i cisza zalegnie dokoła, przerywana tylko psów wyciem, wtedy nad zwaliskami ukazuje się cudnej piękności dziewczica. Biała tunika Rzymianek spływa od nagich ramion do stóp dziewczyny. Stąpa ona powoli po gruzach i schodzi w podziemne więzienia. Powracając ztamtąd, wiedzie za sobą straszną skrwawioną postać, a sama dźwiga ciężkie, rozkute więźnia kajdany.

Mężczyzna ten miał być zbrodniarzem rzymskim, bratobójcą, który z zazdrości o wybraną dziewczynę zabił własnego brata. Dziewica jednak kochała mordercę i dobrowolnie idąc za wygnańcem, przyszła uwolnić go z więzienia. Ale Bóg snąc ukarał ich oboje i kazał im ginąć, bo po chwili oba cienie zapadają z jękiem w fale Dunaju.

Bogatsze domy tureckie w twierdzy, pomimo, że zaniedbane napozór, mają wewnątrz wcale wygodne urządzenie. Przedzielone są zazwyczaj przed-

sionkiem lub krągłym przedpokojem na dwie części: z jednej strony niezastłonięte okna zdradzają, że to pomieszkowanie pana domu, z drugiej za gęstemi kratami kryją się kobiety. W izbach widzimy malowane i ozdobione rozetami sufity, szafy w ścianach sztucznie z drzewa rzeźbione i „mendziiry,” okryte bogatymi dywanami i poduszkami jedwabnymi. Innych sprzętów nie ma wcale w dawnych tureckich izbach: „mendżir” służy jako stół i zastępuje zarazem kanapy i łóżka.

Obok pokojów kobiecych urządzone są w bogatszych domach łazienki, kamieniami wyłożone, z przyrządem do kąpieli parowych.

W takich łazienkach spędzają damy tureckie długie godziny; przyjmują wizyty, raczą się słodyczami i bawią przesuwaniem paciorkowych różańców.

Pozostawiona przed progiem komnaty para pantofelków ostrzega pana domu o bytności obcej kobiety, nie wolno mu wtedy wejść do żony, gdyż mógłby tu zastać obcą kobietę bez zasłony, co by dla niej najwyższą było zniewagą.

Dzisiejsi Bułgarowie zachowali poniekąd w domach urządzenie tureckie, a postępowanie ich względem kobiet zdradza jeszcze po dziś dzień wpływ muzułmański, jakkolwiek w stolicy rozgościły się już nowożytnie idee, i podziwiać wistocie można szybki rozwój cywilizacyi w tem państewku, tak niedawno do samobytu zbudzonem.

Znając stosunki Rumunii i Bułgarii, przyznać muszę Bułgarom wyższość nad Rumunami w wielu względach i dlatego też Bułgarii wróżyć mogę świetniejszą przyszłość, niż innym, sąsiadającym z nią, kraikom. Lud bułgarski jest nietylko pracowitszym od rumuńskiego, ale ma wrodzone poszanowanie rodziny, a prawo moralności, o wiele silniej rozwinięte, niż zepsuty i zdemoralizowany naród rumuński.

W pobliżu twierdzy widdyńskiej ciągnie się w dal rozległa, bagnami gdzieniegdzie przerznięta, płaszczyna smutna i pusta. Na tej przestrzeni, przy drodze wiodącej do osady bułgarskiej, zwanej Smerdanem, stoczona została 1878 walna bitwa, w której garstka Turków, po rozpaczliwej a zaciętej walce, w pień wycięta została.

Zwiedzałam pole bitwy wkrótce po naszym przybyciu; szczątki granatów pękniętych, złamanych kół, podkowy, szkielety koni, leżały jeszcze wówczas na pobojuwisku; gromady psów zgłodniałych uwijały się dokoła i nie znajdując już żeru, wyły straszliwie; ciężka mgła dobywała się z bagnistej, krwią przesiąklej ziemi, a z kłębów tej cuchnącej pary wyszczerzało się ku nam straszliwe widmo, niszczące dobrobyt i pracę narodów i wieków, widmo: Wojny!

III.

Aby urozmaicić sobie pobyt w Widdyniu, przykry i monotony, urządzaliśmy częste wycieczki Dunajem do granic Węgier, t. j. do opisanego powyżej Turn Sewerinu, a ztamtąd do pobliskiej, na krańcach Siedmiogrodu leżącej, Mehadyi. Mehadya, wioska węgierska, razem z zakładem siarczanych gorących kąpiel, zwanych kąpielami Herkulesa (Herkules-fördo), należy do najpiękniejszych miejscowości, jakie w życiu swoim zwiedzałam. Leży w dzikim parowie, wśród gór wysokich, bujną zielenią pokrytych, nad szumiącą, spienioną Czerną.

Zakład leczniczy jest własnością austriackiego rządu; założony został w czasie, gdy na pograniczu stały bezczynne wojska. Pod kierunkiem wojskowych inżynierów i najpierwszych budowniczych tyśiące żołnierzy pracowało nad wzniesieniem przepysznych i zbytkownych gmachów, zdobiono je posągami i freskami, nie szczędząc kosztów i pracy.

Termy Herkulesa istniały już w dawnych wie-

kach i założone zostały przez starożytnych Rzymian, jak o tem świadczą odkopane ruiny dawnych łazienek, znalezione tablice i posąg Herkulesa, dość dobrze zachowany. Zapewne wodzowie legionów rzymskich, znużeni ciągłymi walkami i rozwiązłem życiem, z tych gorących źródeł czerpali nowe siły.

Jako wspomnienia tych dawnych wieków pozostały między ludem, tradycją przechowane, legendy i baśnie.

Jedną z nich słyszałam, zwiedzając groty w pobliżu zakładu t. zw. Räuberhöhle. Są to naturalne szerokie jaskinie, pełne stalaktytów. Po dwóch pierwszych wygodnie przechadzać się można, ostatnia dopiero jest ciemną i wejście do niej trudne. Znajduje się w niej niewielki otwór, w który przewodnik kazał nam wrzucić kamień. Kamień ten znikł i dopiero po kilku sekundach słychać było jakby plusk wody i kłęb pary ukazał się nad otworem. Ziemia w tem miejscu tak jest gorąca, że trudno stąpać po niej.

Pytałam przewodnika, dlaczego tę grootę nazwano jaskinią zbójców; odpowiedział mi, że przed laty ukrywał się w niej zbójca nadzwyczaj silny, który dusił niedźwiedzie i wyrwał drzewa z korzeniami. Nazywał się „Herkules“, ale duszę zaprzedał dyabłu i dlatego po śmierci w kamienny posąg zamieniony został.

Lud wierzy dotychczas, że szczypta proszku z tego posągu oskrobana i w wodzie spożyta, daje ogromną siłę, to też biedny starożytny posąg tak został zniszczony przez oskrobywanie, że musiano go ukryć i zastąpić nowym, który teraz naprzeciw łazienek króluje.

Towarzystwo, zbierające się corocznie w Herkulesfördo, składa się przeważnie z Węgrów i Rumunów. Damy rumuńskie wprowadziły tu modę lekkich obyczajów i narodowych strojów. Ukazują się one nawet na balach w tym malowniczym i ko-

sztownym ubiorze, za przykładem królowej, która strój ten w letniej swej rezydencji przyjęła. Składa się on z koszuli jedwabnej, wyszywanej blaszkami i złotym lub kolorowym haftem, z podobnej spódnicy i dwóch fartuszków jedwabnych, bogato wyszywanych. Zameżne kobiety zarzucają na głowy lekkie zasłony z jedwabnej gazy, przepięte złotymi monetami i wisiorkami.

Miałam sposobność poznać zblizka charakter i zwyczaje społeczeństwa rumuńskiego, jako również stosunki ekonomiczne Wołoszczyzny, gdyż po całorocznym pobycie w Widdyniu, mąż mój mianowany został konsulem w Turn Sewerinie.

IV.

Wiadomem jest, iż Wschód był zawsze i jest dotychczas krainą obiecaną dla ludzi goniących za łatwym, choćby nieprawnie nabytym zyskiem, dla ludzi, których przeszłość ciemna, nieznana, którzy nie posiadają dość gruntownej nauki, aby w cywilizowanych krajach wywalczyć sobie stanowisko, dla awanturników, co się wyrzekli uczuć rodzinnych i którym chleb ojczysty zbyt ciężkim się wydaje.

Tacy to ludzie gonią na Wschód za szczęściem i zaludniają dziś tłumnie nowoutworzone, czyli raczej ze snu kilkowiekowego zbudzone państwa: Rumunię, Serbię i Bułgaryę.

Kraiki te i ludy, o których historia od czasu upadku państwa Bizantyńskiego aż do początków naszego stulecia tak mało wspomina, dziś, jakby drobne pionki na szachownicy, trzymają w szachu najpotężniejsze mocarstwa Europy. Prąd cywilizacji zachodniej uderza o nie całą siłą, niosąc im postęp nowożytny, skarby wynalazków, kał zepsucia i tłumy pasorczytnych cywilizatorów. Ale jak człowiek, co długo pozostawał w ciemnicy, nagle uderzony światłem, długo pracować musi, zanim cienie

z powiek otrząśnie, tak i lud, co przez wieków tyle barbarzyńską, a tak ciężką gnębiony był niewolą, nie może w jednej chwili otrząsnąć się z ciemnoty i przesądów wkorzenionych.

Otóż w takich stosunkach i życie towarzyskie w tych młodych królestwach inaczej się niż u nas rozwija. Widzimy tu mieszaninę rozmaitych stanów i narodowości. Ludzie z najniższych warstw społeczeństwa zagadkowym często sposobem zdobywają tu sobie znaczne majątki i dziś grają rolę krezusów, aby za rok lub dwa zejść znów do rzędu włóczęgów i żebraków. Nigdzie też w Europie pojęcia demokratyczne tak się dziwacznie nie ukształtowały, jak tutaj. Nie już urodzenie, ale wykształcenie i wychowanie nie tworzą tu żadnej różnicy towarzyskiej; pieniądz tylko wszechwładny wszystkie podwoje otwiera.

Aby te stosunki dobrze zrozumieć, przypatrzmy się bliżej życiu towarzyskiemu w Rumunii, która, szczęśliwsza zawsze od sąsiadek swych Serbii i Bułgarii, nie była wcieloną przez Turków do rzędu t. zw. Rajah (t. j. bezbronna trzoda), ale tworzyła państwo lenne i dziś też przodować powinna krokiem pewnym sąsiednim tym ludom w postępie i reformach.

Postęp ten jednak przynoszą do Rumunii obcy, gdyż ludność Rumunii składa się prawie w połowie z obcych żywiołów: z osiadłych tu oddawna Greków, Serbów, Bułgarów i z przybywających ciągle w znacznej liczbie Niemców. Ci ostatni posiadają z natury zdolność zrastania się niejako z każdą ziemią, na której osiadą, a wytrwałością wrodzoną, egoizmem i pracą, wywalczają sobie wszędzie coraz silniejsze stanowisko. Bogaty, żyzny, łatwo dający się wyzyskać kraj rumuński, jest też zalany plemieniem germańskim. W samym Bukareszcie, jako też w innych miastach, więcej usłyszeć można niemiecką niż rumuńską mowę. Po sklepach, hotelach, ka-

wiarniach, spotkasz tylko niemiecką usługę, niemieckie towary, niemieckie piwo i niemieckie dowcipy.

Rumuni narzekają na ten napływ obcych, krzyczą na Niemców, jako na pasorzytów, niedołężni jednak z natury, zleniwiali przez długą niewolę, nie umieją przeciwstawić wpływowi obcych własnej pracy i energii.

Dziś, gdyby nagle usunięto obcych z Rumunii, krajowcy pozostaliby bez chleba, mięsa i odzieży. Piekarze wszyscy Niemcy, gdyż krajowcy tylko w pieczeniu placków kukurydżowych celują; rzeźnicy Serbowie lub Węgrzy, pozostawiają Rumunom jedynie sprzedaż baraniny. Nabiał nawet w niektórych okolicach Wołoszczyzny sprowadzają z Węgier, gdyż bydło, liczne ale zaniedbane, nie znajduje dość paszy na tej żyznej ziemi! ¹⁾ a lud nie umie nabiałem się zatrudniać. Rzadko też bardzo biorą się Rumuni do kupiectwa, a jeszcze rzadziej do rzemiosł. Po sklepach i kramach rozkładają Niemcy i żydzi liche niemieckie towary; przemysł zaś krajowy ogranicza się na wyrobach z wełny, na sztucznych haftach i tkaninach z surowego jedwabiu i cienkiej bułgarskiej bawełny. Lud ten jednak, który długie miesiące pracuje nad zbyt kownymi haftami i złote nici przedzie w swe ubiory, żyje w nędzy i głodzie, jest tak niedołężny, iż nie umie zasiać, ani wymlócić zboża. Do niedawna mąkę i krupy sprowadzano tu z Węgier, a nowo zbudowane młyny są prawie wszystkie własnością Niemców i Serbów.

Podobnie dzieje się z lasami. Przedsiębiorcy Francuzi lub Niemcy zakupują od zrujnowanych właścicieli ogromne bory za bezcen i po jakimś czasie odprzedają tymże samym właścicielom drzewo opałowe i budowlane za bajecznie drogie ceny.

¹⁾ Mówię tu o Wołoszczyźnie, a nie o Moldawii, która pod tym i pod wielu innymi względami wyżej stoi.

Taka to gospodarka w bogatym kraju! A jednak niema w Europie piękniejszej, żyzniejszej ziemi, niż rumuńska. Góry jej posiadają miedź, srebro, złoto, sól i marmur, bogate źródła ropy kryją się pod czarnoziemem, łany prawie bez uprawy rodzą najpyszniejsze ziarno, a wina rumuńskie mogłyby, zdatniem znawców, dorównać francuskim, gdyby się o ich uprawę lepiej starano.

Przyjdzie zapewne czas, kiedy ta ziemia stanie się tem, czem być powinna: skarbnicą Europy, ale czy dzisiejszy niedołężny szczep rumuński ostoi się tak długo przed napływem obcych? Daty statystyczne wykazują nam, że właściwa ludność rumuńska zmniejsza się powoli, liczba zaś obcych wzrasta z każdym rokiem. Może więc tu nastąpić ta zmiana, której przykłady często mamy w historii, że pierwotny szczep ustępuje powoli nazwy swej nowemu, silniejszemu plemieniu i na grobie własnym buduje mu kolebkę.

„Myśmy potomkami dawnych Rzymian, prawnukami rycerzy, co piersią żelazną bronili granic Romy!“—powtarzają z dumą Rumuni. I prawda, że tu po obu brzegach starego Isteru (Dunaju) legiony rzymskie miały swe legowiska; tu również do budowania twierdz i zamków granicznych spędzano więźniów i zbrodniarzy z całego państwa rzymskiego; aby utworzyć kolonie nasyłano im kobiety z Rzymu wydalone. Trzeba jednak zwrócić na to uwagę, że legiony zaciągały żołdaków z obcych podbitych plemion, że po upadku państwa rzymskiego dzikie hordy Scytów, Gotów, Finno-Bułgarów, Słowian ciągnęły tędy z północy i południa, jak stada ptaków uderzając o bogate Bizancyum, osiedlały się wzdłuż Dunaju i Bałkanów, mieszając ze szczepem pierwotnym. Niewiele więc kropli krwi starorzymskiej płynie w żyłach teraźniejszych Rumunów.

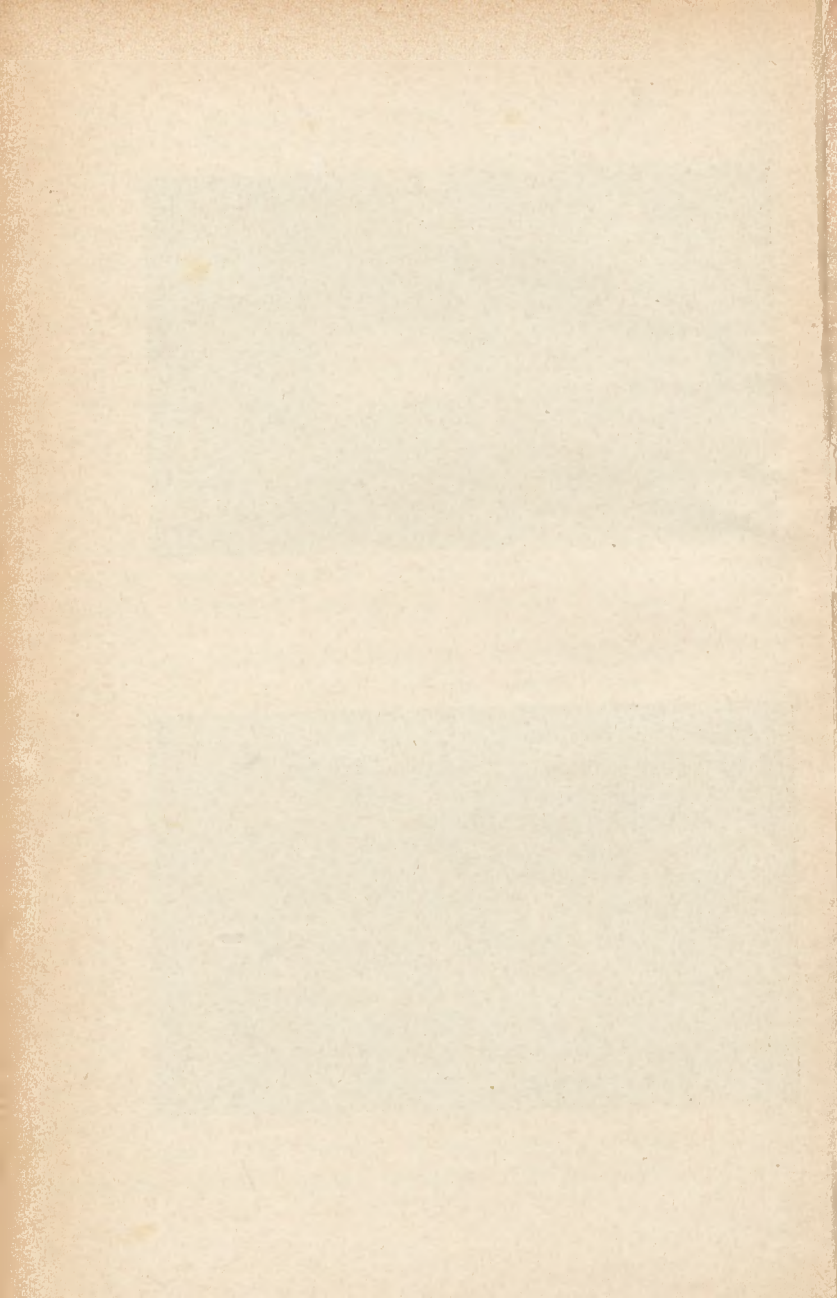
Zwycięzki oręż Murata II wszystkie te ludy zagarnął pod ciężkie jarzmo tureckie. Od tej chwili



Dziewczyna rumuńska.



Albańczyk.



gaśnie na wschodzie światło postępu. Sen wiekowy ujął kraje, w których zapanował półksiężyc. A było to właśnie w wiekach, kiedy inne ludy Europy budziły się do życia i samobytu, gdy na całym zachodzie umnictwo i sztuki piękne rozświećlały zorzę nowych pojęć i dążeń. Średnie wieki wytworzyły też na zachodzie *stan rycerski*, ten żywioł potężny, który dając początek rodowej arystokracji, stał się podstawą stosunków towarzyskich, po dziś dzień zachowywanych, gdyż najnowsze dopiero czasy podniosły stan średni, jako dźwignię narodów. Na Wschodzie pod despotyzmem tureckim rycerstwo utworzyć się nie mogło. Żaden stan nie wywalczył tu sobie przywilejów: ubogi niewolnik i bogaty pan, jego właściciel, równymi sobie byli pod biczem satrapów, których Turcyja nasyłała w podbite i lenne kraje...

W Rumunii domnul (pan), gospodar (także Woda zwany) najczęściej narzucony przez Turków Grek fanaryota ¹⁾, z przyboczną strażą swych siepaczków Arnautów ²⁾, był wszechwładnym panem życia i mienia swych poddanych, choć sam również niewolnik sułtana, również drżący przed toporem lub jedwabnym stryczkiem.

Duchowieństwo, także z podłych, chciwych fanaryotów złożone, starało się utrzymać naród w jak największej ciemnocie i przesadach, aby go tem łatwiej wyzyskiwać.

W tak niewolniczych, smutnych stosunkach, jakież się tu utworzyć mogło towarzystwo? zkąd zaczerpnąć oświaty i wyższych pojęć? Najbogatszy Rumun żył jak chłop-niewolnik, nie znając potrzeb,

¹⁾ Nazwa Fanaryotów pochodzi od Fanar, przedmieścia w Konstantynopolu, przez Greków zamieszkałego.

²⁾ Plemię Arnautów, w górach Albańskich osiadłe, znane z dzikości i okrucieństwa.

drząc o swe mienie i życie, a dukaty swe zakopywał w garnkach pod ogniskiem swej chaty.

I po dziś dzień, choć zupełna swoboda i równość stanów, konstytucją zapewnione, odmieniły stosunki, jednak i dziś nawet brak tu w Rumunii tych żywiołów, które u nas składają towarzystwo. Brak arystokracji rodowej, gdyż tej nie wytworzyło rycerstwo; prócz kilku dawnych rodzin, niegdyś od panujących gospodarów pochodzących, których wszyscy potomkowie noszą tytuł książęcy, znajdujemy tu jedną tylko kastę właściwą rumuńską, t. z. bojarów. Są to właściciele mniejszych lub większych posiadłości, często wzbogaceni chłopi. Urzędnicy, mniej nawet znaczni, posiadający parę włók ziemi lub winnicę, noszą już pyszną nazwę bojarów. Bojar rzadko do dóbr swych zagląda i prawie nigdy w nich nie mieszka. Na całej Wołoszczyźnie życia na wsi nie znają bogatsi, nie umieją się też po wsiach urządzać. Gospodarstwo zostawiają na wolę Bożą, albo, co gorsza, na wolę rządców. Sami osiedlają się po miastach i miasteczkach okolicznych i spędzają tu dnie i lata całe beczynnie po kawiarniach, hotelach i teatrach. Lenistwo, spotęgowane długą, ciężką niewolą, jest charakterystyczną cechą usposobienia Rumunów. Szukają oni tylko zawsze i wszędzie użycia, ale użycia bez pracy, bez trudu. Używają też i zużywają swe majątki, swe siły, niszczą kraj przez niedołężność, która im największą jest przeszkodą w postępie.

Zdolności umysłowych nie można Rumunom odmówić. Posiadają oni umysł otwarty i szczególniejszą zdolność przyswajania sobie obcych zwyczajów i języków. Pomimo jednak ogłady, którą za granicą z taką łatwością przejmują, pozostaje w ich charakterze pewna szorstkość, aż do dzikości i okrucieństwa często posunięta.

Rumunia podzielona jest, wzorem Francyi, na dystrykty, czyli prefektury; niema tu jednak właści-

wego stanu urzędniczego, jak u nas. Pierwszy lepszy z pokątnych adwokatów lub dziennikarzy, posiadający często fałszywy dyplom, zostaje urzędnikiem sądowym lub administracyjnym, komisarzem policyi, prefektem i t. p., jeśli tylko ma protekcję stronnictwa, będącego chwilowo u steru rządu. Mniejsza, że nie ma potrzebnych do tego wiadomości, że nie przeszedł szczebli niższych urzędu, któż o to pyta w Rumunii? Wprawdzie często za parę miesięcy wydalony prefekt lub sędzia zostaje bez sposobu do życia, ale też podczas urzędowania stara się wzbogacić, o ile może.

Lud rumuński dotychczas w głębokiej pograżony ciemnocie, zaledwie świadomy jest własnego istnienia. Niedołężny, żyje w nędzy, pomimo bogactwa swej ziemi. Mieszczanstwo składa się prawie wyłącznie z obcych, t. j. Greków, Bułgarów, Serbów, Spanidów (t. j. żydów wychodźców z Hiszpanii) i Niemców.

Język rumuński niemiłe ma brzmienie, jest to mieszanina języka łacińskiego, francuskiego, z greckimi, tureckimi, nawet słowiańskimi wyrazami. Wychowanie młodzieży, choć zwykle otrzymywane w zagranicznych zakładach i szkołach, jest dość powierzchowne. Brak mu pierwszej podstawy, pierwszych zasad, gdyż te tylko w życiu rodzinnem wyrobić się mogą, a życie rodzinne w Rumunii, przy lekkich, zepsutych obyczajach i zbyt ułatwionych rozwodach, jest zupełnie spaczone. Młoda Rumunka, wysłana w roku 12 lub 13 do zakładu naukowego w Monachium, czy Paryżu, powraca po trzech latach jako dorosła panna i najczęściej w roku 17 lub 18 jest już mężatką. Nabyte w tak krótkim czasie wykształcenie wystarczyć jej musi na całe życie, gdyż rzadko która kobieta kształci się tu sama, rzadko która wzbudzi w sobie myśli i dążenia poważniejsze. Błyszczec i olśniewać wdziękiem, strojem, zbytkiem, to jedyny cel, jedyna żądza Rumunki, dla tej żądzy ona cześć własną i cześć rodziny poświęcić gotowa. To

też w domu własnym, w kole rodzinnem, Rumunka nie jest tą pracowitą czarodziejką, z pod której rączek ład, harmonia, dostatek się rozwija. Wina leży i po stronie mężczyzn—nie otaczają oni kobiety tym szacunkiem, tą aureolą ideału, jak u nas.

Przeżywszy lat parę w towarzystwie paryzkich lub berlińskich gryzetek, oplaciwszy zbyt drogo ich uśmiechy i wdzięki, wracają zbrudzeni, znużeni moralnie, a lekceważenie uczuć najświętszych, cynizm oburzający, przynoszą do domostw swoich.

Pozostał tu jeszcze i po Turkach ten wschodni obyczaj, który w kobiecie widzi tylko (przepraszam za trywialne wyrażenie) samicę.

Małżeństwa są najczęściej układem między rodzicami państwa młodych. Kobiety idą za mąż bez namysłu, wiedząc, że męża, jakby strój, zmienić mogą, jeśli tylko kilkadziesiąt dukatów za rozwód zapłacą.

Brak uczuć religijnych tak u kobiet, jak i mężczyzn, jest powszechny. Powodem pierwszym jest tu nienawiść, jaką przez swe nadużycia wzbudziło duchowieństwo fanaryockie, powodem drugim prąd radykalizmu, wiejący z zachodu na nieprzygotowane, często nieukształcone umysły.

Nie ujrzyś tu tego tak miłego u nas obrazka, nie ujrzyś dziecińcy, co na kolanach matki powtarza za nią słowa pacierza, nie ujrzyś kobiety czerpiącej siłę i męstwo u stóp krzyża. Lud tylko bywa w kościołach i składa ofiary greckim popom.

Dziwnem jest tu, że nawet w klasie wyższej z brakiem religii łączy się wiara w zabobony i gusła, z pogańskich przechowane czasów. Każde święto ma swą tradycję i obrzędy, wieś każda, każde miasteczko posiada tłumy wrózek, znachorek, które się trudnią sprzedawaniem ziół i leków, zamawianiem czarów, wróżbą i tkómaczeniem snów. Przy obrzędach ślubnych, przy chrzcie, czy pogrzebie, główną rolę gra baba, t. zw. moasza.

Jako zaproszenia weselna rozsyłają tu zwinięte sztucznie w złożonych lub kolorowych papierkach korzenne goździki lub drobne cukierki.

Obrzęd ślubny trwa dni kilka. Do wianka panny młodej wplata moasza długie, złote nitki, jakby cienkie trawki. Gdy pannę młodą ubiorą do ślubu, wtedy moasza zwołuje wszystkie družki i dziewczęta i stawiając pannę młodą pośrodku nich, rozwija złote trawki od wianka spadające i oplątuje nimi wszystkie dziewczęta, śpiewając stosowne zwrotki o ptaszku, co się na złote dał złowić sidelka. Każda z dziewcząt musi się małym datkiem okupić moaszy, która wtedy przecina nitki i wiąże je do bukietów gości. Przy powrocie z kościoła domownicy rzucają pod nogi państwa młodych ziarna zboża, a przed panną młodą stawiają niski stolik, na którym ustawiają dwa dzbany: jeden z winem, drugi z wodą. Panna młoda musi wstąpić na stolik i przejść szybko dokoła dziewczęć razy. Jeśli dzban z winem na siebie wywróci, oznacza to szczęście przyszłe i dostatek, jeśli wodę, to łzy i niedolę. Oczywiście, że krewni i przyjaciele starają się zawsze o to, aby wino zostało wywrócone.

Przy końcu uczty ślubnej państwo młodzi odchodzą do przeznaczonego dla nich pomieszkania, a moasza, jakby stróżka, nie odstępuje ich na chwilę. O świcie moasza z flaszką czerwonej wódki i z kołaczem objeżdża wszystkie domy krewnych i znajomych i ogłasza, że obrzęd ślubny szczęśliwie ukończony, która to wiadomość hucznym toastem przyjętą bywa i małymi podarkami, dla moaszy przeznaczonemi.

Przy pogrzebach rozdają w Rumunii tak jak w Bułgarii, pomanę, to jest pszenicę z miodem między obecnych. Garść tej pszenicy, jako ostatni dar ziemi, rzucają na trumnę. Na grobach składają krewni i przyjaciele bułki, chleb i flaszki z winem, a lud dotychczas wierzy, że umarli się niemi żywią, choć

chleb ten zwykle przez ubogich w noey spożyty bywa. Wiara w upiory, z za grobów wracające, jest tu powszechną. W chwili, gdy kto umiera, baby wywracają wszystkie w domu będące naczynia do góry dnem, aby dusza umarłego w którym się nie ukryła.

Gdy kto nagłą śmiercią umrze, a z krewnych jego znajduje się ktoś w tym samym urodzony miesiącu, wtedy przywiązują go sznurem do trumny i tak prowadzą z pogrzebem aż do bram cmentarza. Od bram cmentarza musi wracać do domu i nie oglądać się ani razu. Gdyby tych środków ostrożności nie zachował, umarłby z pewnością w przeciągu miesiąca, gdyż upiór wołałby go za sobą.

Różne podobne ceremonie i zabobony powtarzają się przy każdym święcie i obrzędzie.

W dzień Św. Jana w niektórych okolicach palą, jak u nas, ognie i rzucają wianki na wodę. Nad Dunajem na trzy dni przed tem świętem sześć świętecznie przybranych dziewcząt obchodzi wioski; idąca na przedzie i ubrana w kołpak, niesie w ręku szablę lub nóż. Przed każdą chatą zatrzymują się one i tańczą, a przewodniczka robi giest ucięcia głowy.

Tę ceremonię nazywają: „Dragaika,“ ma to być przypomnienie śmierci Św. Jana.

Okolo Zielonych Świątek (17 maja) odbywają się w całej Rumunii, podobnie jak w Serbii i Bułgarii pogańskie ceremonie, zwane: Rosalia. Są to dni poświęcone wrózkom (wilom), które zaludniają lasy i rzeki.

W dnie takie lud prowadzi chorych, cierpiących obłąkanie, epileptyków i t. p. do lasów; tam ubierają się chorzy w liście i gałęzie ziół, zwanych *rozen*, i spędzają tam całe noce. W sam dzień Zielonych Świątek tłumy tych biedaków przeciągają przez ulice miast i wiosek, tańcząc i skacząc bez ustanku. Kto tylko zatrzyma się wtedy, aby na nich patrzeć, nie mając przy sobie ząbka czosnku, ten może samapaść w nieuleczalną chorobę. Czosnek uważany jest

jako środek niezawodny przeciw urokom. Lud nosi go przy sobie, naciera nim progi chat i stajen.

Dzień 25 marca jest uroczyście obchodzony jako dzień budzącej się wiosny. W dniu tym nie wolno tknąć żadnej roboty, nie wolno zabić żadnego zwierzęcia, a baby znachorki, tańcząc i śpiewając, zamawiają czary na dobry urodzaj i szczęście wśród lata.

Podania te i legendy są jedyną poezją ludową. Na ich tle osnuła królowa rumuńska, Carmen Sylva, swe opowieści i poematy.

Typ rumuński nie jest piękny, chyba z greckim lub serbskim mieszanym. Rumuni mają zazwyczaj twarze szerokie, kości policzków wystające, czoła dość niskie. Mimo tego młode kobiety mają bardzo wiele wdzięku, szkoda tylko, iż pleć, śniadą z natury, szpecą warstwą bielidla i różu. Zwyczaj ten tak jest powszechny, że nawet kobiety wiejskie czernią brwi i rzęsy i lakierują twarze.

Aby się bliżej przypatrzeć wdziękowi i życiu młodej Rumunki (bojarki), oddajmy jej wizytę, jak zwyczaj tamtejszy każe, około 4-tej wieczorem. Jest to zwykła godzina odwiedzin, gdyż Rumuni obiadują na sposób francuski około 7-ej wieczorem. Niewielkie, zwykle dość zaniedbane dworki, zajmują sami właściciele. Wchodzimy na podwórze obszerne, brudne, zarzucone śmieciem, błotne zwykle, gdyż niema tu nigdzie zlewów, ani kanałów. W podwórzu spotykamy obdartego, unurzanego chłopaka, który, jakby przestraszony, patrzy na nas wielkimi oczami; jest to łokaj bojara. Na zapytanie, czy pani w domu, nie odpowie ani słowa, tylko ucieka i znika w drzwiach dalekich. Przeczekawszy chwil kilka, nie widząc nigdzie dzwonka, odważamy się w końcu postąpić dalej i uchylić drzwi, z których kłębam wychodząca para każe nam wnosić, że tam jest kuchnia bojara. Widok niezbyt ponętny; w środku kuchni w ziemię wkopany kocioł, z którego dolatuje woń cebuli, sta-

rego tłuszczu i innych przysmaków. Nad kotłem pochylona postać niewieścia, przypominająca czarownicę Makbeta. Na nieśmiałe nasze zapytanie, czy państwo w domu, postać ta zrywa się i znów znika w drzwiach pobocznych. Znów czekać trzeba, wreszcie ukazuje się zręczna, zalotna pokojówka, która wprowadza nas do salonu, dodając, że pani domu zaraz nadejdzie. Salony w Rumunii, urządzone z przepychem, przepelnione są zwykle cackami różnego rodzaju. Z przyległych pokoi słyszymy hałas otwieranych szaf i komód, łoskot rzucanych pudełek, szum i szelest sukien kobiecych, z czego wnosić wypada, że pani domu robi toaletę.

Tak przechodzi kwadrans, często i pół godziny, zanim zdumionym oczom naszym ukaże się królowa salonu, wystrojona w jedwabie, wyświeżona i umalowana Rumunka.

Rozmowa, prowadzona zwykle w języku francuskim, płynie zręcznie, lekko, tylko nikt niech się nie waży kierować jej na poważne przedmioty. Panie tutejsze znają na pamięć Bellotą, Zolę, Ponson du Terrail'a i Daudeta, ale zapytawszy jedną z nich, czy czytała Szekspira, odebrałam odpowiedź, że nie zna niemieckich filozofów. Najmilszą dla Rumunki jest rozmowa o balach i modach. Bal, to cel życia, to żywioł tutejszych kobiet. Aby być piękną, Rumunka potrzebuje stroju, światła, brylantów. Tylko w sztucznej atmosferze balowej, tchnącej wonią perfum i pochlebstw, Rumunka czuje się szczęśliwą i zadowoloną.

Bale te odbywają się w salach publicznych, gdyż rumuńskie dworki niewielkie i prywatnie nie lubią u siebie przyjmować.

Salę balowe, zazwyczaj świetne i dobrze oświetlone, wejścia jednak, garderoby i przedpokoje bywają wstrętne brudne i zaniedbane. Stroje kobiet kosztowne i wytworne; — mężczyźni przeciwnie wydają się zaniedbani, a często brudni, co im nie prze-

szkadza podbijać serc i zawracać głów eleganetek rumuńskich.

Przypatrzmy się bliżej temu na pozór układnemu towarzystwu, a poznamy, iż pod względem umysłowym i moralnym pozostawia ono wiele do życzenia.

Oto np. p. X..., były kelner, który nie umiejąc czytać i pisać (rzecz tylko w Rumunii możebna), dorobił się milionów. Obok niego p. Y..., słynny Don Juan, który przed miesiącem wyszedł z więzienia, skazany za oszustwo i defraudację sum znacznych, tańczący z córką swego sędziego. Trochę dalej widzimy brunetkę, przystojną p. G... rozwódkę, po raz trzeci za mąż idącą.

Ciekawą rzeczą byłoby zajrzeć w notatki tej pani, która, jak powiadają, zapisuje liczbę swych wielbicieli, i jak sama mówi, nie spocznie, aż ich naliczy 60! Za nią stoi pan T... sędzia trybunału, który przed kilku godzinami kazał smagać więźniów, a ciało im od kości odpadało, a teraz uśmiecha się czule do wdzięcznej blondynki, ta zaś, patrząc zalotnie w jego oczy, podaje pod wachlarzem bilecik drugiemu swemu sąsiadowi.

Ale już muzyka zagrała „horę,” taniec narodowy, trochę monotonny, lecz miły i dźwięczny. Wszyscy stają w koło, nie parami, ale jak się komu podoba, tam mężczyzn kilku, tu grono kobiet, jakby w wieńcu kapryśnie plecionym. Wieniec się obraca i ścieśnia, wachlarze szeleszczą, oczy błyszczą i mówią więcej, niż ustom mówić wolno. Jeśli nie chcemy w tańcu rumuńskim dostać zawrotu głowy, to opuszczajmy salę.

Na ulicach, mimo spóźnionej pory, gwarno i ludno. W Rumunii sklepy otwarte do późnej nocy, a kawiarnie do rana. Noce jasne, gwiazdziste, przypominają, żeśmy tu u bram Wschodu.

Fale Dunaju srebrzą się w dali i brzegi zarysowują się rąbkami, a u wybrzeża widnieją chaty

wieśniacze, ubogie, nędzne, nizkie jak mogilki. I piosnka ztamtąd czasem doleci rzewna, skarżąca, jak jęk nędzarza.

Czemuż kraj ten piękny, bogaty, rozkoszny, tyle nędzy kryje? Nędza materyalna u ludu, nędza moralna u bogatszych. I mimowoli przychodzą na myśl słowa Szyllera:

Świat Boży piękny, doskonały wszędzie,
Gdzie człowiek z nędzą swoją nie osiedził

ROZDZIAŁ II.

Podróż zimowa z Rumunii do Egiptu.—Tryest.—Adryatyk i sześciodniowa podróż na morzu.—Korfu.—Aleksandrya.

Cztery lata przebyłam bądź u podnóża Balkanów w Bułgarii, bądź u stoku Karpat siedmiogrodzkich, w pobliżu skał i wirów Żelaznej Bramy. Nasłuchiłam się się do woli i fujarek rumuńskich, i dumek bułgarskich. Już mnie też i nudzić zaczynał Dunaj stary, co siwą falą swą trącając o wieże Sewera, o słupy Trajana, o sarkofagi i ruiny starożymskie, codziennie gwarzył mi o swojej dawnej sławie.

To też w samą porę przyszło mi wędrować z nad Dunaju nad Nil i od pierwszych bram Wschodu przenieść się na jego urocze, tajemnicze krańce; na tę ziemię, co z łona Nilu, pocałunkiem słońca do życia zbudzona, przez przeciąg 6,000 lat dźwiga groby swych królów i świątynie swych bogów!

Było to w listopadzie; dzień ponury i dżdżysty ciężył ziemi, ciężył też i myślom moim, bo człowiek,

to jak słabe dziecię natury, co gdy patrzy w chmurne, zasępięone oblicze matki, tak samo się zachmurza. Otóż i ja, patrząc na szare niebo, na szarą ziemię, na szarą mgłę i na szare duchy, w bardzo ponurem byłam usposobieniu, gdy nagle list, przyniesiony z poczty, a donoszący nam o przeniesieniu do Kairu, zmienił wszystko. Z oczu znikło mi błoto rumuńskie i mgła dunajska i na tle błękitnem egipskiego nieba ujrzałam już w myśli sfinksy, piramidy, maurytańskie pałace, palmy i cyprysy. Od tej chwili aż do dnia wyjazdu byłam jakby w gorączce, pragnąc co prędzej na własne oczy ujrzeć cuda Wschodu.

Podróż, choćby w najodleglejsze kraje Earopy, nie może mieć tego uroku dla wyobraźni, co podróż w odległe obce strefy, gdzie wszystko dla nas ma powab nowości, inni ludzie, inne życie, inne słońce nawet nas wita, nie to nasze, blade, co z za mglistej osłony, jakby senne przeziera, ale gorące, jasne, co strugami roztajałego złota ziemię i niebo zalewa.

Z powodu spóźnionej jesiennej pory nie mogliśmy podróży naszej zwrócić na Konstantynopol i Smyrnę, gdyż grudniowe burze na morzu Czarnem nawet dla doświadczonych żeglarzy bywają straszne. Musieliśmy wybrać dłuższą i mniej uroczą drogę przez Tryest. Mróz kilkustopniowy i wicher północny towarzyszył nam przez cały czas podróży koleją, jak gdyby chciał nas pożegnać i ochłodzić na długo, w przeczuciu skwarów afrykańskich. Jechaliśmy nocą i szybkim pociągami, więc nie mogłam korzystać z widoku gór styryjskich, które, spowite śniegiem, przypominały mi Polskę. Nie zapomnę jednak wrażenia, jakie uczułam na widok morza, które za stacją Nabreziną odsłania się nagle w całej swej majestatycznej piękności.

Ta kryształowa, bezgraniczna przestrzeń wody, na pozór cicha, spokojna, a straszna swą tajemniczą głębią, tu jak szafir ciemna, tam znów rubinowa od promieni zorzy, a zawsze nęcąca i zawsze wspania-

la, to jakby obraz nieskończoności, przed którą myśl nasza się korczy, w której się gubi i ginie!

Wkrótce za Nabreziną ujrzelśmy przepyszną zatokę i port Tryestu, a u stoku skały zawieszoną śliczną willę Miramare, błyszczącą jak gdyby perła u brzegu swej konchy i przypominającą rzewnie nieśczęsnego cesarza poetę.

Ale jak w obrazie nie ma światła bez cieni, tak i w życiu nie ma chwili jasnej, którejby przykre nie zasępiło wrażenie, jakby za karę, że ktokolwiek śmiał się czuć przez sekundę szczęśliwym. Otóż i mnie spotkała kara za miłą chwilę zachwytu.

Byliśmy po całonocnej podróży zgłodzeni i przemarznięci, i mieliśmy nadzieję wypoczynku w wygodnym, ciepłym mieszkaniu. Niestety! pokoje tryesteńskich hotelów wysokie, o marmurowych podłogach, na sposób włoski kominkami tylko opatrzone, są tak zimne, żeśmy, dzwoniąc zębami, dzień cały w futrach przesiedzieli. Na dobitkę podano nam kawę z jajami i jakąś piankę śmietankową, którą nazywają „panna” (gdyby nasze panny takie smaczne były, toby wszystkie pewno staremi zostały). Spaliliśmy furę drzewa na naszym kominku, a słudzy, Włosi, którym, nie wiem, jakim cudem zawsze ciepło, drwili z nas, szeptać między sobą, że i „signori Russi” pewno w swoim kraju w workach futrzanych zaszydzi chodzą, kiedy im nad Adryą tak zimno. Ze złości, nie mogąc się ogrzać, poszliśmy zwiedzić miasto, a słońce okazało się łaskawsze od hotelowego kominka i ożywiło nas trochę.

Tryest, starorzymskie Tergeste, nie posiada wiewłu arcydzieł starożytnej i nowożytnej sztuki. Kościół San-Giusto z początku XIV-go stulecia, ruiny bramy z rzymskich czasów, t. zw. Arco di Ricardo, i duża studnia na Piazza Grande, przedstawiająca cztery części świata, dzieło Mazzoleniego z przeszłego wieku—oto są jedyne dawniejsze zabytki. Podziwiałam zato wille nowożytne, prześliczne ogrody i prze-

chadzki. Port jest wspaniały i bardzo ożywiony, zapelniony setkami okrętów, lasem masztów, jakby olbrzymim sznurem porosły.

Na Molo (wybrzeżu) tłoczą się i cisną tłumy ludu, marynarze i kupcy ze wszystkich stron świata; Turcy w fezach, Grecy, Anglicy w pantoflach i kraciastych szalach, nawet Chińczycy w narodowych strojach, mijają się, krzyczą, śpiewają i klną, każdy w swym języku. Statki wjeżdżają na Canal Grande aż pod mury domów, łódki rybackie co chwilę przybijają do brzegu, przywiązując kosze ryb, ostryg, homarów i innych przysmaków morskich, które skwierczą i ruszają się w koszach, jak setki stonóg.

Lud w Tryeście hałaśliwy i wesoły; kobiet łądnych bardzo wiele, szczególnie między klasą t. zw. „sartorelli,” t. j. szwaczek, które wieczorem, powracając z magazynów, przechadzają się na Corso. Z pod koronkowych włoskich chusteczek wyzierają twarzyczki świeże, o słowiańskich rysach, czarnych oczach i kruczych włosach, mieszanina typu iliryskiego z włoskim. Przechadzka po ulicach Tryestu, brukowanych ogromnemi, gładkiemi płytami, bardzo jest miłą i wygodną, szczególnie dla kogoś, co, jak ja, przez czas dłuższy deptał bruk śpiczasty i prochy Rumunii.

Nie miałam jednak czasu podziwiać długo Tryestu, gdyż okręt, który miał nas przewieźć na inną część świata, na brzegi Afryki, stał już w porcie, przygotowując się do podróży. Parową dźwignią ładowano beczki i beczułki, paki i paczki, przygotowane na oliwę i pomarańcze, które z powrotem z Grecyi przywożą. Poszliśmy obejrzeć tę arkę, która miała przez sześć¹⁾ dni być naszym mieszkaniem.

Był to jeden z mniejszych statków „Lloyda”—

¹⁾ Większe, dziś już między Egiptem a Tryestem kursujące parowce, przebywają tę przestrzeń w 4½ dnia.

ale wygodnie i elegancko urządzony. Nosił imię mitologicznej nimfy — „Thétis.“ Na dole obszerna sala jadalna pomieścić mogła do stu osób, wzdłuż sali po obu stronach znajdują się kabiny, jak celki osobne, zamknięte, każda na cztery osoby urządzona.

Stewart, t. j. pierwszy służący, otworzył nam zaraz jedną z największych kabin, zapewniając, że mało osób jedzie. Z ciekawością kobiecą zaglądałam i do innych zajętych już kabin, chcąc dowiedzieć się, jakie towarzystwo mieć będziemy. Z nagromadzonych pudelek i koszyków osądziłam, że będą i panie; przed jedną zaś kabiną położono szal kraciasty, w kształcie torby podróżnej złożony, kapelusz białym welonem opasany i buty jasne o szerokich podszwach.

Przedmioty te zdawa już mówiły: *I am trawling* i należały z pewnością do Anglika.

Nazajutrz o 12-ej w południe byliśmy już na pokładzie „Thetis“, gotowi do podróży. Małe grono towarzyszków i towarzyszek, otoczone gromadą krewnych, przyjaciół, ciotek, kuzynów i kuzynek całowało się i ścisnęło tak czule, jak gdyby żegnało się na wieki. Wbrew jednak naszemu przysłowiu, babskie uściski nie sprowadziły deszczu, bo dzień był śliczny, a niebo jasne zapowiadało długą pogodę. Zadzwieczał dzwonek, gwizdnęła para, kociel syczał i warczał, ziejąc kłębamii czarnego dymu, zerwano mostek, zajęczały sznury i łańcuchy i... okrzyk pożegnania rozległ się na brzegu. Powoli, majestatycznie posuwała się nasza „Thetis“ wzdłuż zatoki, kołysząc się lekko, jakby prawdziwa nimfa na miękkich falach. Miasto, amfiteatralnie na składach się wznoszące, nikło, malało, w końcu, jak chmury rąbek rozwiało się kędyś po przestrzeni.

Pierwszych dni jednak podróży nie wyjechaliśmy na szerokie morze, trzymając się ciągle wschodniego brzegu. Mijaliśmy skaliste wybrzeża Istrii i zdawa dojrzeć mogliśmy miasta: Capo d'Istria, Ro-

vigno, Pola; później płynęliśmy wzdłuż brzegów Dalmacyi około wyspy Lissa, pamiętnej zwycięstwem austriackiego admirała Tegetthofa nad flotą włoską w 1866 r.

Doktór okrętowy, który sam czynny brał udział w tej bitwie, zaczął nam o niej długo i szeroko rozpowiadać, gdy dzwonek obiadowy (o 7-ej wieczorem) powołał nas wszystkich do wspólnej sali jadalnej.

Mogłam teraz przypatrzeć się naszemu towarzystwu. Składało się ono z kilku tylko osób; na pierwszym miejscu przy stole siedział kapitan, czyli, jak go nazywają grzecznie, komendant, wiekowy człowiek, widocznie zmęczony już życiem żeglarza. Obok niego siedziało młode małżeństwo, przed dwoma dniami dopiero poślubione: ona ogromnie otyła, choć młodzianka tryestyanka, on malutki, szczuplutki Włoch, wyglądał przy niej jak studencik, usługując jej ciągle, znosząc poduszki i stołeczki pod nogi, chustki i szalik, przypominał mi aportujące pieski. Naprzeciw mnie siedziała jakaś włoska signorina, obdarzona pękatym noskiem i bardzo cienkim monotonnym głosem. Wdzięczyła się do starego doktora, opowiadając ciągle o swych rozlicznych znajomościach, o swych kuzynach i wujaszkach, których miała po dostatkiem we wszystkich stronach świata. U drugiego końca stołu siedział drugi kapitan, t. zw. secondo, Włoch barczysty, o czarnem ognistym oku, rubaszny, jak prawdziwy *loup de mër*. Obok siedział wypieszczony wiedeńczyk, turysta, a ja miałam szczęście mieć za sąsiada owego Anglika, którego obecność przeczułam po jasnych butach i krąciastym szalu.

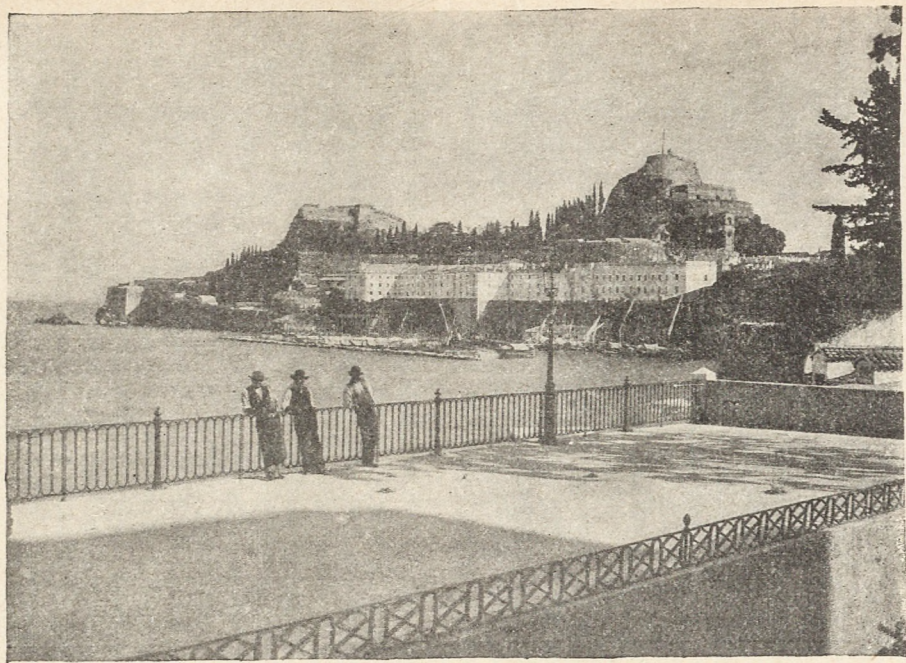
Obiad zeszedł bardzo milcząco, przypatrywaliśmy się jedni drugim; signorina tylko ust nie zamknęła, wygłaszając coraz nowe imiona swych kuzynów.

Po obiedzie zebraliśmy się na pokładzie saloniku (*fumoir*), ale rozmowa nie szła. Signorina wyję-

ła książkę ze swej torebki, a ja, spojrzawszy w tej chwili na siedzącego Anglika, zdziwiłam się, ujrzawszy wyraz zgrozy w jego łokciowej twarzy. Wskazał mi on palcem książkę signoriny i wyczytałam tytuł: „*Les femmes de glace — par Belot.*” Anglik widocznie był zgorszony tą książką w rękach panny.

Drugi dzień podróży naszej na morzu nie był już tak miłym i spokojnym; ku wieczorowi, minąwszy brzegi Czarnogóry i Albanii, zbliżaliśmy się do cieśniny Otranto. Jest to niebezpieczne dla okrętów przejście z Adryatyckiego, na Jońskie. Wzburzone morza rozszalałe fale nie kładły się mięko pod stopy nasze, ale rzucały naszą biedną „*Thétis*,” jakby piłką maluchną. Na górze w saloniku utrzymać się na nogach było niepodobna, na dole zaś i w kabinach panował hałas piekielny. Warczenie śruby, trzask desek, łomot fal ogłuszał i przerażał; szklanki i talerze, pomimo nałożonych na nie ram drewnianych, dzwoniły i skakały jak szalone. Przy stole jadalnym pusto było, tylko kapitan i doktor raczyli się smaczniemi potrawami i podziwiali moją energię, iż się dotąd trzymam na nogach. Ale i ja wkrótce musiałam się zapoznać z tem strasznem widmem, które się nazywa morską chorobą; mogę wszakże zapewnić moje czytelniczki, że nie jest ono tak strasznem, jak je malują. I owszem, dla każdego, co ma trochę silnej woli i energii, morze wzburzone jest wspaniałym, potężnym obrazem. Czuje się nawet pewną drażniącą rozkosz, gdy wspienione wściekle fale uderzają całą siłą o wątle ściany okrętu, aby za chwilę opadać w niemocy. Wtedy człowiek, na pozór tak słaby wobec rozigranego żywiołu, czuje się jednak panem tych fal bezdennych i stąpa niejako po nich, jak gdyby wyższą unoszony potęgą, choć krok tylko jeden dzieli go od przepaści i zgonu!

Co do mnie, nie czułam niepokoju, ani trwogi i choć huśtana niemiłosiernie w tej ciasnej, wązkiej szufladce, która się na okręcie łóżkiem nazywa, spa-



Korfu.

lam wybornie, pocieszając się myślą, że lepiejby było zginąć nagle pod tą falą kryształową, niż pasować się długo z bólem i niemocą i patrzeć na smutek ukochanych, w których sercach śmierć pustą zostawia mogiłę.

Zresztą nie było żadnego niebezpieczeństwa, a gdy nazajutrz o wschodzie słońca wyszłam na pokład, fale znów były spokojne i ciche, lekko tylko powiewem ranku, jakby rączką dziecka, trącane.

Od zachodu, zdala, jakby rąbek ciemny zarysowały się włoskie wybrzeża Otranto, na wschodzie zaś śnieżne szczyty gór Albańskich witały nas rumieńcem, zbudzone promieniami zorzy. Na przodzie okrętu, gdzie podróżni trzeciej klasy śpią pokodem pod namiotem z kolorowych chustek rozpiętym, Turek, starowierca, rozłożywszy arabeskowy dywanik, zwrócony ku Wschodowi, uklęknął do rannej modlitwy.

Twarz starca tchnęła takim spokojem, taką silną wiarą, że patrzyłam na nią z podziwem, z zazdrością prawie. I ja również w uwielbieniu dla tej potęgi, tej harmonii, co się w naturze zbudzonej objawia, uczciłam Stwórcę krótką w myśli modlitwą; patrzyłam w niebo, ale dla mnie ten błękit niezmierny, to tylko przestrzeń szeroka, zaludniona światami, które, jak nasz, istnieć, walczyć i ginać muszą i znów z atomów, z gruzów do nowego powstawać życia. A gdzie cel, gdzie koniec tego bytu? Muzułmanin nie pyta o to. On, ufając słowom Koranu, za tym błękitem przeczuwa raj zmysłowy, pałac z szafirów i pereł (jak mówi tłumacz Koranu Ebu-el Cheneh), którego rozkosze wynagrodzą mu nędzę tej ziemi.

Szczęśliwy ten, kto wiarę tak silną dziecięcą zachować potrafi, czyja myśl, jak motyl w tkance jedwabnej spowity, nie zbłąka się zbyt swobodnym lotem!

Z poważnej mojej zadumy zbudził mnie nagle piskliwy głosik: „Ach! Alberto!“ Była to signorina, w której widok pięknej natury budził zapewne tęsknotę za 60-tym z rzędu kuzynkiem. Wkrótce całe nasze towarzystwo zebrało się na pokładzie, a przydłużone po chorobie morskiej twarze wyjaśniły się nieco, gdy kapitan zapewnił nas, że koło południa wylądujemy w Korfu. Istotnie w południe ujrzelśmy wysokie, skaliste wzgórza, pokryte cyprysami i oliwnymi drzewami. Dalej ukazała się błękitna zatoka, a u szczytu skał ostrych ujrzelśmy latarnię morską i groźne mury twierdzy, które strzegą uroczej wyspy.

W jednej chwili setki łódek otoczyły nasz statek; wioślarze greccy, o twarzach często klasycznie pięknych, witali nas przeraźliwym okrzykiem, targując się chciwie o cenę przewozu do miasta. Trzeba się było śpieszyć, bo gderliwy komendant zapowiedział nam, że kto z nas za godzinę nie powróci, ten zostanie w Korfu. (Perspektywa nie zbyt miła przy wysokich cenach podróży na okrętach płacić je po raz drugi). Ale łódka nasza pomknęła jak strzała przez fale i wnet znaleźliśmy się pod murami starożytnego miasta.

Któż z nas w młodości nie utworzył sobie w myśli obrazu tych ślicznych wysp greckich, któż nie marzył o gajach Arkadyi?

Ale nigdzie pewno rzeczywistość tak nie jest różną od wymarzonych obrazów, jak tu, choć zawsze piękną, a może i wspanialszą.

Korfu (u starożytnych Kerkyra, także Drepane) nie jest gajem, uśmiechniętym zielenią mirtów, powabem kształtnych willi; to miasto ponure, starożytne, o ulicach wązkich, krętych, często tak w górę się pnących, że trzeba przechodzić po schodach w skale wykutych. Domy wysokie a wąskie, z balkonikami włoskimi, budowane są w stylu staroweneckim, boć wiadomo, że Korfu, w starożytności do Koryntu należące, później zagrabione przez cesarów, po upadku

Bizantyńskiego państwa przypadło w podziale Weneccyanom. Z tego to czasu pozostała i twierdza, o którą tyle razy odbijały się kule tureckie, zawsze zwycięsko odparte.

Przeszedłszy szereg wązkich, ciemnych i brudnych, prawie pustych uliczek, wyszliśmy w końcu na plac szeroki, otwarty, ocieniony mirtami i cyprysami, zwany *spianatis*. Tu wznoszą się okazałe domy, pałac królewski, główne hotele i kilka wcale nie okazałych magazynów.

Podziwialiśmy tu statwę marmurową hr. Szulenburga z r. 1717, w kolosalnej peruce i rzymskiej to-dze. Z placu tego widok przepyszny; u stóp twierdzy, co groźnemi murami wrosła w skałę naga, morze rozlewa się zatoką płynnego szafiru, gdzie-niegdzie ponad fale przedzierają się małe, skaliste wysepki; jedna z nich ma kształt wielkiej łodzi. Nazywają ją okrętem Odysseusza; o niej to Homer mówi, iż Posejdon, rozgniewany na lud Feaków, niosący pomoc Odysseuszowi, dłonią trącił ich okręt, który wnet kamieniem wrósł w głąb morza.

Za miastem na wzgórzach, pokrytych drzewami oliwnemi, mirtami, laurami i innemi południowemi krzewami, wznoszą się wille i pałacyki letnie bogaczyów tutejszych. Kręte ścieżki i aleje do nich wiodące wysadzone są drzewami pomarańczowemi, które właśnie w tej porze roku ugiwały się pod złotym, pończym owocem. Niestety, tylko zdala mogliśmy je podziwiać, śpiesząc się z powrotem na statek, który gwizdem maszyny dawał nam już zdaleka znak do pośpiechu.

Wracając rozgrzani, zmęczeni przechadzką (przy 22 stopniach ciepła 6-go stycznia), szukaliśmy jeszcze po drodze cukierni, aby się ochłodzić szklanką limoniady. Ale pod tym względem Grecy nie znają zbyt-ków; ich cukiernie i restauracye urządzone istotnie jak dla potomków spartańskich.

Kawiarnia, czyli raczej szynkownia, do której

wstąpiliśmy, jedna z pierwszych, posiadała kilka stołów i stolików wątpliwej czystości, powiązanych sznurkami. Podano nam ulubiony grecki napój, syróp czereśniowy, ale nie mieliśmy czasu opróżnić naszych kubków, bo niemiłosierny nasz komendant kazał syczeć, gwizdać, dzwonić na statku, zmuszając tym hałasem do szybkiego powrotu.

Bieглиśmy co tchu, tłukąc nogi o ostre kamienie ciasnych uliczek; łódki czekały już na nas i w samą porę przybyliśmy do naszego parowca. Gderającego kapitanu rozbroiłam, ofiarując mu kosz świeżych pomarańcz, z których każda, zielonym ustrojona listeczką, skusiłby mogła najsurowszego filozofa.

Pomarańcze te przyniosły nam do łódek kobiety greckie; śliczne typy klasyczne, o rysach regularnych, jakie podziwiamy w posągach starożytnych, przechowały się jeszcze między ludnością wyspy ¹⁾. Gniewał mnie tylko ubiór ich obcisty, dziwaczny, na głowach miały chusty, złożone niezgrabnie, jak olbrzymie kapelusze naszych sióstr miłosierdzia.

Z żalem opuściliśmy błękitną zatokę Korfu, ale wkrótce nowe zajęły nas widoki. Wśród przejrzystego powietrza, ponad miękkimi falami Jońskiego morza, przesunęły się kolejno przed nami wyspy: Paxos, Kafalonia, której szczyt najwyższy Monte-nero nosi szczątki ołtarza Zeusa, a dalej Ithaka, ojczyzna Odyseusza i Zante, zwana kwiatem mórz wschodnich.

Zachodzące słońce, jak kula ognista, zapadało w przepaść fal kryształowych w chwili, gdy mijaliśmy zatokę Patras. Odblask jaskrawych promieni rzucał łunę pożarną na skały Morei, a szczyty wzgórz tych, za którymi w dali kryła się Arkadya, wydawały się w świetle różowem jakby olbrzymie posągi bo-

¹⁾ Stały ląd Grecji nie posiada już tych pięknych typów.

gów, strzegących swej dawnej ojczyzny. Biedna Grecya! niegdyś kolebka bohaterów, ziemia poezyi i piękna, później nałożnica cesarów, niewolnica Bizancyum, branka sultana, a dziś... to szkielet tylko i cień królestwa! Potomkowie półbogów, dziś synowie niewolników, po praojcach tylko imię odziczylili!

Nocą mijaliśmy przylądek Mottapan i wyspę Kandyę, a wichry, które tam zapewne jeszcze od czasów Eola wieczne odbywają harce, zaczęły znów niemiłosiernie kołysać naszą „Thetis.“ Do tego raniem deszcz drobny i gęsty niemiłą nam był niespodzianką; dwa te dni ostatnie podróży były trochę przykre, ziemię straciłmy zupełnie z oczu, dokoła, gdzie okiem sięgnąć, fale spienione, gniewnie ryczące, obłoki chmurne i przestrzeń dżdżysta, burzliwa. Nigdzie żyjącej istoty, mewy nawet, nieodstępne towarzyszkii naszej podróży, powracały, kwiląc, w stronę lądu.

Śpieszcie się, śpieszcie, mewy biedne, któż wie, czy skrzydła wasze znajdą sił dosyć do powrotu, któż wie, czy tam, z gniazd waszych nie opadły zerwane wichrem słomki. I jam ptakiem wędrownym, i moje gniazdko rodzinne daleko, i ja dziś pytam siebie i Boga, czy mi sił stanie, aby doń powrócić?!

Szóstego i ostatniego dnia podróży naszej od rana już ruch niezwykle panował na statku, jakby w przygotowaniu do jakiejś uroczystości? Szorowanie i mycie okrętu, tak zwane *la toilette du bateau*, odbywało się z podwójną energią, służba sprzątała i składała, o ile to się dało przy gwałtownych ciągle podrzutach statku, przymilając się podróżnym w nadziei hojnego datku. Kapitan i doktor przechadzali się z uroczystymi minami, spoglądając często na zegar, wiszący w salonie. Signorina wzdychała coraz częściej i czulej, a inni podróżni zaglądali często na pokład, bo każdy radby pierwszy ujrzeć obiecaną zie-

mię. Ale dzień cały zeszedł na próżnem oczekiwaniu; ku wieczorowi rozległ się okrzyk majtków: „Terra!“ lecz i teraz napróżno wyteżaliśmy oczy; wytrzeża Afryki są tak gładkie i bezbarwne, iż nie zarysowują się na horyzoncie błękitnymi szczytami, jak inne ziemie.

Dopiero na godzinkę przed przybyciem do portu ujrzeliśmy białe punkty na tle fal ciemnych, jak gdyby stada łabędzi wśród wody. Były to już mury Aleksandryi, a pasy żółte, okalające te mury—to lawy piasku, to ziemia skwarna Afryki, ziemia, która witała trzech największych historycznych władców: Aleksandra, Cezara i Napoleona!

Zarzuciliśmy kotwicę zdala od portu, czekając na arabskiego sternika, bez którego żaden okręt nie śmiałby się zbliżyć do miasta, gdyż z powodu ław piaskowych podwodnych przejście to jest niebezpieczne dla statków i tylko krajowcom dobrze znajome. Dawniejsi władcy Egiptu karali śmiercią każdego, kto śmiał sam wejść do portu.

Kapitan nasz z niepokojem patrzył dokoła, nad słuchując, rychło-li wystrzał ostatni wieczorny ogłosi zamknięcie portu. Musielibyśmy wtedy czekać ranka zdala od miasta, kołysząc się na naszej „Thetis,“ ale szczęściem dla nas były to dni Bajramu (święta) i port dłużej niż zwykle był otwarty. Wkrótce też ujrzeliśmy szybko zbliżającą się łódkę, a z niej wyskoczył z ręcznie smagły, brązowy Arab, w szerokim turbanie i fałdzystym czarnym, na ramię zarzuconym płaszczu.

Pozdrowił kapitana ukłonem muzułmanów, przykładając rękę do ust i czoła i słowem arabskiem: *Leletek saïda* (dobry wieczór), poczem żwawo wziął się do steru, popijając kawę, którą mu zaraz podano, i patrząc z pod oka złośliwie na nas, bośmy się też mu przyglądali z ciekawością, jak obcemu stworzeniu.

Tymczasem noc zapadła, gdyż zmrok na

Wschodzie nie trwa długo, ale noc tak jasna, jak i w tych tylko krajach widzieć można. Na niebie różowem, rozgrzanem od dnia promieni, gwiazdy już wschodzą wielkie, złote, okrągłe, w powietrzu tak przejrzystem, iż wzrok sięga daleko po za gwiazdy, jakby w dzień jasny. Przed nami na wybrzeżu olbrzymia latarnia morska rzuciła szerokie promienie, wskazując nam drogę wśród lasu masztów i żagli.

Niestety, nie jest to już ta latarnia, która przed wiekami strzegła tego portu, a która, według greckich podań, była siódmym cudem świata. Perła ta budownictwa, dzieło z czasu Ptolomeuszów, nie Kleopatry, jak mylnie twierdzono, runęło w czasie trzęsienia ziemi za panowania Kalifów. Wieża ta, cała z marmuru, liczyła 180 metrów wysokości i miała być symbolem tego światła, które z Aleksandryi na inne ludy padało¹⁾. Cuda o niej prawią kroniki arabskie; według nich trzysta sal mieścił ten budynek, galeryami na zewnątrz otoczony, na samym szczycie miało się, według tych podań, znajdować cudowne zwierciadło, w którym odbijały się gwiazdy, ziemia i morza z przybywającymi okrętami.

Zwierciadło to, jak twierdzą dzisiejsi uczeni, było zapewne pierwszym wynalazkiem teleskopu (na kilka wieków przed Newtonem), gdyż starożytni posiadali istotnie zwierciadła powiększające, o czym nawet wspomina Seneka. W zbiorach starożytności w Raguzie w XVII-em jeszcze stuleciu znajdował się przyrząd podobny do teleskopu, pochodzący z Aleksandryi.

Dziś ten cud świata zastąpiono zwykłą latarnią, ciężką a praktyczną, przypominającą aż nadto, że żyjemy w wieku kupiectwa, nie sztuki.

Wybrzeże, na którym się wznosi, było niegdyś

¹⁾ Na wieży tej czytano napis: „Sostrates, syn Dexifanessa—Bogom ratującym—dla pożytku żeglarzy—zbudował.”

oddzielone od lądu i tworzyło wyspę Faros (Pharos¹⁾), tę, która to miała ukazać się we śnie Aleksandra, budząc w nim żądzę podboju. Do tej wyspy przywiązali również Grecy legendę swą o Proteuszu.

Ale nie czas teraz na mitologiczne przypomnienia. Oto okręt daje hasło przybycia; łódki, jak ptaków stada, lecą ku nam i otaczają nas dokoła. Wrzask, pisk, ryk wioślarzy ogłusza i przeraża; to Arabowie ofiarują nam swoje usługi we wszystkich możliwych językach, przyczem kłóć się i biją już o nas między sobą. Śmielsi czepiają się lin okrętu i wskakują na pokład zanim okręt nasz się zatrzyma.

Twarze ich śniade, jaskrawe łachmany, ruchy gwałtowne, tworzą fantastyczny obraz przy świetle pochodni. Mowa ich nadzwyczaj szybka, krzykliwa, nosowa, brzmi niemiłe, podobnie jak nasz żargon żydowski.

Rzucili się oni na nas i na nasze pakunki z takim natręctwem, rwąc nas i szarpiąc, że nie wiem, czybyśmy cało wyszli z tego natloku, gdyby nie pomoc wysłanego naprzeciw nas kawasa konsulatu. Energiczne jego „ruh!“ (pójdź precz) i kij pokazany Arabom, uwolnił nas od tej zgrai. Przed kijem mają Arabowie ogromne uszanowanie, mówiąc, że kij, to dar, pochodzący od Boga, jako symbol władzy, dany Mojżeszowi.

Udało się w końcu kawasowi utorować nam drogę do naszych łódek, które też szybko i wygodnie zawiozły nas pod mury miasta.

Przy wylądowaniu otoczyły nas znów szwargoczące tłumy Arabów, ofiarując nam swoje osły i powozy. Jedne i drugie były nadspodziewanie eleganckie, nie przywykli jednak jeszcze do jazdy na osieł-

¹⁾ Ztąd nazwa wszystkich późniejszych latarni morskich „Phare“, „Pharus.“

kach, ogólnie w Egipcie przyjętej, wybraliśmy powóz, którego woźnica, smagły jak heban, z fantastycznie narzuconą chustką, a żwawy i zręczny, bardzo mi się podobał.

Ulice, przez które jechaliśmy, ślicznie oświetlone, brukowane, szerokie, robiły wrażenie europejskiej stolicy. Tylko gruzy, po obu stronach leżące, przypominały ostatnie smutne zdarzenia i barbarzyńską gospodarkę Anglików. Poszarpane kulami wieże minaretów sterczą smutnie, jak szkielety nad rumowiskami. Gdzieś palmy wysmukłe, zamyślane, rozwijają swe wachlarze nad tarasami domów. Dachów i kominów nigdzie nie widać. Powietrze ciepłe, miłe, jak u nas w noc czerwcową (9 stycznia), przepełnione wonią cieplarnianych kwiatów, upajało nas i usypiało, szczególnie po tem zmęczeniu i sześciodniowej kołysance na morzu.

Byłam rozmarzoną, jak gdyby pod wpływem tego czarodziejskiego napoju ¹⁾, który to jeszcze przez Helenę trojańską z Afryki przywieziony, usypiać miał gniew najgwałtowniejszy, najsilniejszą boleść i żal po stracie ojca i matki! Jedna kropla tego czarodziejskiego eliksiru budziła uczucie najwyższej rozkoszy. Otóż zdaje się, że sama już atmosfera Egiptu posiada do dziś jakieś własności tego haszyszu, bo upaja, odurza i wprawia w zachwyt niewysłowiony.

Z wrażenia tego obudziło mnie dopiero terkotanie francuskich kelnerów w hotelu Abbat, do którego nas wprowadzono. Jest to jedyny z większych hotelów, który ocalał przy bombardowaniu, a czystością i elegancją zawstydza nasze europejskie. Table d'hôte, podane pod palmami w ogrodzie, wśród kwitnących w tej porze jaśminów, mogło zadowolnić najwybredniejszego smakosza.

¹⁾ Nepenthos, napój czarodziejski, według legendy greckiej, przez Helenę z Egiptu przywieziony.

Zdziwił mnie z początku brak służby kobiecej, nigdzie nie dojrzysz tu tych spódniczek kobiecych, które w naszych hotelach są często wabikiem dla gości. Wszystkie usługi spełniają tu t. zw. Berberini, to jest Arabi i Murzyni z okolic Berberu. Zabawny to widok tych czarnych, rosnących postaci, w długich fałdzistych białych koszulach i szerokich turbanach, gdy zręcznie się biorą do igły lub żelazka, gdy w sali podają półmiski i talerze.

Pomimo zmęczenia, noc tę, pierwszą w Egipcie, spędziłam prawie bezsennie, czekając niecierpliwie ranka, który mnie bliżej miał zapoznać z ojczyzną Kleopatry. Co pół godziny i częściej budził nas krzyk przeraźliwy stróżów nocnych, do którego przywyknąć trzeba. Podają sobie oni nawzajem hasło: „Wached! Hul!“

Dowiedziałam się później, że hasło to sięga jeszcze czasów wojen krzyżowych. Zdarzało się wtedy często, że muzułmanie przechodzili na wiarę chrześcijańską, lub, że Krzyżowcy przebrani zakradali się między strażę arabskie. Saladyń zaprowadził więc to hasło, które było zarazem wyznaniem wiary muzułmańskiej. „Wahed“ znaczy jeden, „Hu“—on, czyli Bóg, „Wahed Hul“ (Jeden Bóg). Hasło to miało odróżniać muzułmanów od chrześcijan, którzy, według Arabów, nie mogących pojąć wiary w Tróję Św.—mają trzech Bogów!

ROZDZIAŁ III.

Aleksandrya. — Lud arabski. — Gwary uliczne. — Serapum. — Kolumna Pompejusza. — Nowożytnie miasto.

Nad rankiem ucichły wołania strażników, ale znów śpiew muezzina rozległ się z pobliskiego me-

czetu. Śpiew ten poważny, przeciągły, rytmiczny, choć nie melodyjny, rozmarza i przejmuję dziwnie, szczególnie rankiem wśród uroczystej ciszy śpiącego jeszcze miasta. „Allahu akbar“ (Bóg jest wielki), woła muezzin, „la illaha ill'Allah, wa Mohammedu rassul Allah“ — (nie masz innego Boga, jak Bóg jeden, a Mahomet prorokiem Jego) i kończy hymn dwukrotnem wołaniem: „hayya alas sala“ (chodźcie się modlić!).

I oto nagle, jakby zbudzone tym wspaniałym hymnem, zrywa się słońce nad morzem piasku, nad szeroką płaszczyzną puszczy afrykańskich, nie wpół senne, jak u nas, poprzedzone świtem mglistym, ale jaskrawe już, pełne blasku i skwaru. I również nagle budzą się gwary, ruch i życie zapełnia ulice. Lud tutejszy, który po większej części sypia na ulicach, powraca do swych zatrudnień codziennych, a starania koło rannego stroju odbywa bez wielkiego zachodu także na ulicy. Jedni, usiadłszy pod murami domów, zdejmują turbany i chusty i gołą głowę i brody, spienione białe mydło przepysznie odbija od brunatnych ich twarzy. Drudzy składają trzciniowe tapczany i kosze, które im nocą za łóżka służą. Małe chłopaki, nawpół nagie; uwijają się tłumnie ze szczotkami i czernidłem, czyszcząc obuwie przechoźniów. Poganiacze osłów, zebrani po rogach ulic, otrząsają swe niebieskie koszule, które często są jedynem ich ubraniem, z nieproszonych nocnych gości. Po tej operacyi zarzucają znów owe łachmany na czarne, silne a gibkie ramiona i podziwiać istotnie trzeba, jak zgrabnie w fantastyczne fałdy każdy z tych umorusanych chłopaków odarty kawał płótna lub szala ułożyć umie. A jak malownicze postacie i stroje, tak również obrazową i mowa tego ludu, co się upoił barwami swego nieba, skwarem swego słońca.

Oto pokarm jaskólek — „akl-es-snuu,“ woła Arab, niosący kosze białych bułek. „Ciemne, ciemne

dziewice pustyni!“ woła drugi, zachwalając trufle, zbierane pod piaskiem pustyni. Rozwożący chleb Murzyn zachwala dobroć Boga żywiciela. Przekupień warzywa, chcąc wyrazić nietrwałość roślin, woła: „Allah ed-daim Allah,“ co znaczy, że Bóg jeden jest wieczny. Dalej ukazują się biedni wieśniacy, roznośzący wodę w skórzanych workach, które mają jeszcze zupełnie pierwotny kształt kozłów.

Mosiężne kubki, często sztucznie w arabeski grawerowane, służą do rozdawania między ludem za bardzo niską opłatą tego nektaru dobroczynnego, który Nil nam dostarcza. A woda Nilu tak jest smaczną do picia, że dorównywa zdrojowej. To też znają Arabowie, jak cenną jest każda jej kropla w afrykańskim skwarze i pobrzękując w takt kubkami, śpiewają hymn pochwalny dla Boga: „O najlepszy, o wszechwładny Panie pustyni!“ i t. d. i podają, zachwalając, zimną wodę „Balak snunak!“ co znaczy strzeż swoich zębów.

Gwar, krzyk, ruch na ulicach opisać się nie da. Arabowie, Murzyni, Turcy, Grecy, Beduini, cisną się, tłoczą, krzycząc bez ustanku. Jaskrawe ich stroje, turbany, długie kolorowe płaszcze, tarbusze (fezy), lub chusty fantastycznie zarzucone, korzystnie odbijają przy ciemnych, opiętych strojach europejskich. Pierwsza moja przechadzka po Aleksandryi bardzo wiele czasu mi zabrała, bo coraz nowe przedmioty, nowe postacie zwracały moją uwagę. Tu mnie rozśmieszył Murzyn w europejskim stroju i w białym krawacie przy hebanowej twarzy, tam podziwiałam Bednina w białym płaszczu i białym, na długie włosy zarzuconym, kaszmirze.

Również zajmujące są rosłe, ciemne postacie Berberinów i Nubijczyków, w długich fałdzystych koszulach, którzy jako stróże domów leżą lub siedzą dzień cały beczynnie przed kamienicami, pilnując wejścia. Każdy z nich mógłby służyć za model dla malarza.

Środkiem ulic ciągną sznurkiem wielbłądy, ciężkie, niezgrabne, obładowane, kołysząc niemilosiernie swych jeźdźców, po rogach zaś stoją gotowe do jazdy osielki, zwane ptzez krajowców z włoska „buriko.“ Osielki te zupełnie są niepodobne do swych europejskich kuzynków, zgrabne, rosłe, często białe jak mleko, z żywym okiem, z małą główką, szybkie a niestrudzone w biegu, przypominają nasze górskie koniki. Przytem znając zapewne i ceniąc swe biblijne, arystokratyczne tradycje, wyrzekły się tutejsze osielki zwykłej oślej przywary, uporu (*noblesse oblige*). Jazda na tych ślicznych osielkach bardzo jest miłą dla każdego, kto nie posiada nóg zbyt długich. Komicznie jednak wyglądają kobiety, Arabki, jadące na osłach po mężku. Z pod szerokich, czarnych, jedwabnych płaszczów wyzierają tylko nóżki w jaskrawych pantalonach i wyszywanych złotem pantofelkach. Twarze zupełnie zasłonięte czarnymi zasłonami, które wzdłuż czoła i nosa podtrzymane są metalowymi sprężynkami. Turczynki noszą białe zasłony bez metalowych sprzączek, a żony biednych fallahów, często wpół nagie, przysłaniają twarze niebieskimi chustkami.

Tłum ten odarty, różnobarwny, hałaśliwy a próżniaczy, to jedyna oryginalność Aleksandryi, bo zresztą miasto ma dziś pozór wielkich miast europejskich, a wszak i dawniej było ono miastem greckiem kupieckiem. Dzisiejsza Aleksandrya, przebudowana zupełnie po ostatniem¹⁾ bombardowaniu w r. 1882, wstydzi się niejako swych starożytnych gruzów i ukrywa je jak najstaranniej, a stroi się i upiększa niby zalotnica, co wiek swój ukryć pragnie pod warstwą bielidła i różu.

Egipt jest krainą niespodzianek, mówią mieszkańcy Wschodu, w samej rzeczy, niespodzianką

¹⁾ W czasie powstania Arabiego.

dla obcych przybyszów jest tu niebo wiecznie pogodne i błękitne, świeża zieleń pól i gajów, tuż obok szarej, bezgranicznej przestrzeni skwarnych pustyń. Niespodzianką są tu zbytkowne pałace obok nędznych lepierek, miasta błyszczące modnym przepychem, obok gruzów starożytnych i ruin, kurzawą wieków okrytych.

Niespodzianką jednak największą dla turysty, przybywającego do Egiptu po raz pierwszy, jest widok Aleksandryi, tego miasta, z którem tyle historycznych łączymy wspomnień. Spodziewamy się ujrzeć gród starożytny, pełen pomników dawnej sławy, zabudowany na sposób wschodni, a oto na piaszczystym, płaskim wybrzeżu afrykańskim ukazuje się nagle przed nami miasto błyszczące nowoczesnym przepychem, o szerokich bulwarach, marmurowych chodnikach, trzypiętrowych kamienicach i świetnych magazynach, w których liche europejskie towary po bajecznych cenach nabywać można.

Ludność aleksandryjska złożona jest zaledwie w trzeciej części z Europejczyków, gdyż na 200,000 mieszkańców liczy ich tylko 60,000, a jednak wpływ ich tak jest przeważny, iż całe miasto europejską dziś przybrało postać. Ale też przyznać trzeba, iż Grecy, Żydzi i Lewantyni, którzy są głównymi przedstawicielami tej europejskiej kolonii, nadzwyczaj są czynni i do wszelkich przedsięwzięć skorzy; cały handel przeszedł dziś w ich ręce, gdyż Arabom nie tylko wrodzone lenistwo, ale sama ich religia staje się przeszkodą do postępu.

Wspomnieliśmy o Lewantynach, wytłómaczyć muszę czytelnikom tę nazwę. Lewantynami nazywamy tu na Wschodzie ludność narodowości mieszanej, jeśli np. ojciec z Syrii, matka z Włoch lub Francji pochodzi, lub też ojciec Francuz, matka Arabka i naodwrot. Mieszane te małżeństwa wyrobiły w tutejszem towarzystwie osobną niejako kartę. Lewantyni są zwykle sprytni; wykształcenie ich je-

dnak, nabyte w szkołach tutejszych, lub w czasie krótkiego pobytu w europejskich zakładach, jest najczęściej bardzo powierzchowne. Niektórych zasad, które u nas tworzą podstawę wychowania, brak Lewantynom zupełnie. Nie mogą oni np. pojąć przywiązania do rodzinnego kraju, gdyż będąc obcymi przybyszami, w przybranej ojczyźnie szukają tylko łatwego zysku i szybkiej fortuny. Gdy jednej z pań aleksandryjskich opowiadałam, jak silnem jest u mieszkańców Północy, a szczególnie u Słowian, przywiązanie do ziemi rodzinnej, zapytała mnie zdziwiona: „Qu'est-ce que c'est qu'un tel amour? Est-ce la terre au les hommes, que Vous aimez?” nie mogąc zrozumieć tych węzłów tysiąca, tej wspólności uczuć, myśli, zwyczajów, które nas wiążą z krajem ojczystym. Próżność, zamięłowanie zbytku, przepychu, złota, oto główne rysy charakteru Lewantynów. Powiedziećby można, iż dziwnym kaprysem natury ludzkiej połączyli oni w sobie nie zalety, ale przywary wszystkich narodów, od których pochodzą: przebiegłość Ormian, fałsz Greków z chciwością błyszczczenia Francuzów i zarozumiałością Włochów. Do sztuk pięknych, do starożytnych pamiątek nie mają oni najmniejszego zamięłowania, nawet Grecy dzisiejsi zaparli się w tem dawnych swych tradycy. Aleksandryę można dziś nazwać wielką giełdą, w której mężczyźni bawelną i cukrem, a kobiety wdziękiem handlują.

O starożytne pomniki i ruiny nikt się tu nie troszczy. Nie umiano mi nawet wskazać, w której stronie miasta miałam szukać tych gruzów, powiedziano mi tylko, że najpiękniejsze bryły granitu i kapitele dawnych kolum służą dziś aleksandryjczykom do wznoszenia tam i grobli nad morzem, inne znów zalane zostały wodą, gdyż wybrzeże zmieniło o wiele dawną swą postać.

Aby odnaleźć szczątki starożytnego miasta, musiałam porzucić karty dawnych książek i przejrzeć

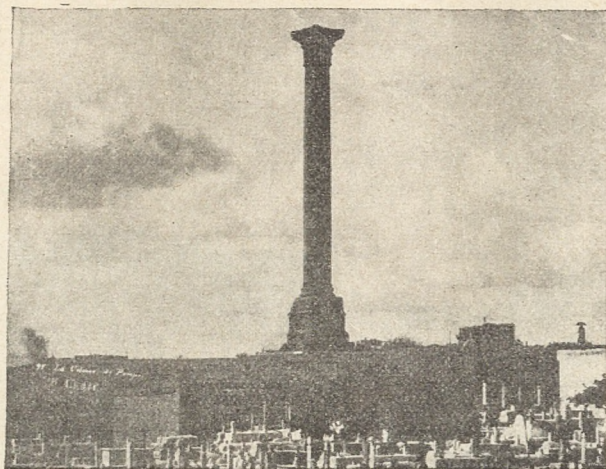
plany; przekonałam się, iż z pałacu Cezara, z dzielnicy Bruchijau, która najpiękniejsze zamykała gmachy, nie pozostał ani kamyczek; dwa ostatnie obeliski t. zw. igły Kleopatry, zdobiące niegdyś wejście do pałacu Cezara¹⁾, sprzątnięte zostały przed kilku laty przez Anglików; jeden z nich zdobi dziś skwer nad Tamizą, drugi powędrował do Nowego Yorku.

Jedynym starożytnym pomnikiem, który przypomina dawną sławę Aleksandryi, jest samotnie za miastem wznosząca się wspaniała kolumna, zwana kolumną Pompejusza. Nazwa ta nie jest słuszną, gdyż Pompejusz nie powstał nigdy w Aleksandryi; kolumna zaś, nosząca tę nazwę, wzniesiona została na cześć Dyoklecjana, jak o tem świadczy napis, wyryty u podstawy: „Boskiemu Cesarowi, protektorowi Aleksandryi, Dyoklecjanowi, pomnik ten poświęcony został przez Pompejusza” (zapewne którego z prefektów miasta). Podanie historyczne zaś o nim jest następujące:

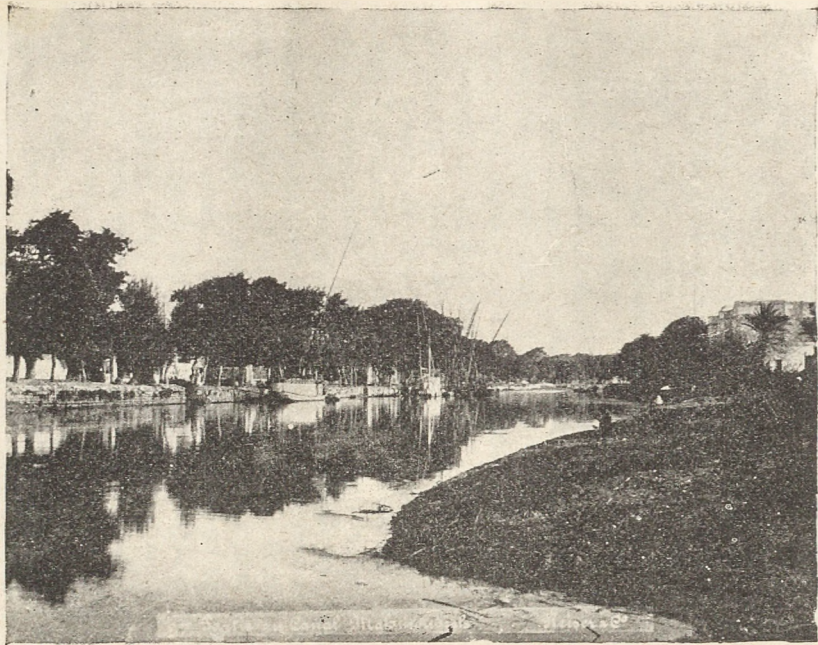
„Po ośmiomiesięcznem oblężeniu, zdobywszy wreszcie miasto, Dyoklecjan nakazał rzeź straszną, która trwać miała tak długo, dopóki krew pomordowanych nie dosięgnie kolan jego konia. Zdarzyło się jednak, że koń cesarza, wjeżdżając do miasta, potknął się i krwią zboczył kolana. Natychmiast kazał Dyoklecjan zaprzestać rzezi i pierwsze swe okrucieństwa nagrodził dobrodziejstwami dla miasta i mieszkańców. To też wzniesiono mu kolumnę, uwieczniającą jego imię, a u szczytu umieszczono posąg cesarza na koniu.“

Kolumna Dyoklecjana jest monolitem z różowego granitu, jaki tylko w Assiut się znajduje; ma 27 metrów wysokości i ozdobiona nagłówkiem koryn-

¹⁾ Obeliski te z Heliopolis, na rozkaz Kleopatry do Aleksandryi sprowadzone zostały, jako podarek dla Cezara.



Kolumna Pompejusza.



Z okolic Aleksandryi.

ekim dość grubej roboty. Na podstawie jednak, prócz napisu, poświęcającego ją Dyoklecyanowi, znajdują się zatarte nieco hieroglify, wyrażające imię i tytuł Ramzesa II. Jest to dowodem, iż do budowy tego pomnika służyły Grekom gruzy starożytnego Egiptu. Zresztą uczeni utrzymują, iż kolumna ta odnowioną została na cześć Dyoklecjana i że jej budowa dawniejszych sięga czasów, gdyż u szczytu znajdować się miał odlany posąg bożka Serapisa; wistocie, tuż obok miejsca, w którym wznosi się kolumna, znajdował się niegdyś gmach olbrzymich rozmiarów t. zw. Serapeum. Mieścił on sale, biblioteki, świątynie rozmaitych bóstw i szkoły filozofii, otwarte dla wszystkich narodów. Tu gromadzili się zwolennicy Platona i mędrcy starożytnego Egiptu, tocząc spory zacięte o swe zasady. Sto schodów marmurowych wiodło do wnętrza gmachu, wspartego na czterystu kolumnach, a nad słynną na świat cały biblioteką jaśniał napis: „Skarbiec lekarstw ducha“.

Ze szczytu Serapeum patrzył Karakalla na rzeź mieszkańców Aleksandryi; do Serapeum wleczono za Juliana Apostaty chrześcian i mordowano przed posągiem Serapisa wszystkich, co się prawdziwej nie chcieli rzec wiary. Tu wreszcie, mszcząc się na kamiennych bogach, chrześcianie za Teodozyusza niszczyli i obalali wszystko, co było pogańskie. Spalono wtedy bibliotekę, stopiono posągi z kruszcu, zdruzgotano wszystkie starożytne pamiątki, runął gmach wiedzy i oświaty starożytnej pod toporem fanatyzmu. Daremnie uczniowie filozofii bronili swej świątyni, wytrzymując trzydniowe oblężenie, edykt Teodozyusza zwyciężył, a pod gruzami Serapeum zagrzebaną została chwała dawnej Aleksandryi. Dziś garstka gruzów, parę odłamów granitu i ta samotna, nieco w ziemię zapadła kolumna — oto wszystko, co dawne przypomina wieki.

Opodal od kolumny, w kierunku zachodnim,

znajdują się obszerne podziemia, które pierwszym chrześcianom służyły za katakumby, dziś jednak tak są gruzem zasypane, iż z trudnością tylko dostać się można do ich wnętrza. Napisów nigdzie niema, gdziekolwiek tylko widzimy małe krzyżyki, w kamieniu żłobione i szczątki drobnych naczyń glinianych, zapewne lampek grobowych. Według podań jednego z francuskich archeologów, w katakumbach aleksandryjskich znajdować się miała płaskorzeźba, która wszystkim późniejszym obrazom za wzór służyła, przedstawiająca narodzenie Chrystusa w stajence między osłem i wołem. Obraz ten tłumaczy nam ów archeolog jako alegoryę w następujący sposób: Osieł u starożytnych Egipcyan¹⁾ we wszystkich hieroglifach i obrazach jest przedstawicielem Syrii²⁾, to jest symbolem *Mozaizmu*; wół zaś symbolem egipskiego pogaństwa, obrazem Apisa. Tym sposobem więc obraz ten przedstawiałby alegorycznie hołd oddany prawdziwej wierze przez syryjski mozaizm z jednej, a egipskie pogaństwo z drugiej strony. Ile w tem twierdzeniu prawdy, dociec dziś trudno, jak również trudno odnaleźć ową płaskorzeźbę, gdyż katakumby służą dzisiejszym Aleksandryjczykom jako kamieniołomy.

Podobnemu zniszczeniu uległy także podziemne groby, ciągnące się wzdłuż morskiego wybrzeża, a przez lud zwane kąpielami Kleopatry. Obszerne sklepienie sale, odłamy granitu i alabastru każą nam się domyślać, iż grobowce te były ostatniem mieszkaniem Ptolomeuszów i w nich to zapewne szukała Kleopatra schronienia przed zwyciężkim orężem Oktawiana. Dziś przedstawiają nam one smutny obraz spustoszenia, a odłamy porąbanych sarkofagów

¹⁾ A więc i u Koptów, to jest pierwszych chrześcian egipskich.

²⁾ Osieł wprowadzony został do Egiptu z Syrii w czasie pierwszych wojen z Syryą,

służyć mają, jak mi zaręczano, jako złożby w stajniach bogatych baszów egipskich.

Równie jak starożytnych, tak średniowiecznych pomników niewiele posiada dzisiejsza Aleksandrya. Z meczetów arabskich, nie odznaczających się zupełnie stylem saraceńskim, zasługują jedynie na uwagę: meczet „Tysiąca kolumn“, nazwany tak z powodu wielu kolumn porfirowych i granitowych, ze starożytnych świątyń pochodzących, które zdobią podwórze meczetu. Świątynia ta była niegdyś bazyliką św. Marka, który w temże miejscu miał zginąć. Drugim ciekawym gmachem jest meczet zwany „Gama-el-Daniel“, o którym Arabowie opowiadają następującą legendę: Na wiele, wiele wieków przed prorokiem żył w Syryi mędrzec, zwany Daniel; pewnego dnia ukazał mu się we śnie anioł z mieczem w ręku i rzekł doń: „Idź, wezwij lud twój i walcz w imię Boga Najwyższego, a ośwładniesz wszelką ziemią od góry Kaf (to jest Kaukazu) aż po Beled-el-Sin (to jest do Indyi)“. I oto Daniel zwyciężył wszystkie narody świata, a gdy umarł, ciało jego przyniosły białe kruki na brzegi Egiptu i złożyły w szczerozłotej trumnie i marmurowym grobie.

W legendzie tej odnajdziemy historię Aleksandra Wielkiego, a lud arabski nazywa meczet Daniela *Soma*, t. j. grób, z kąd wnioskowaćby można, iż w tem miejscu szukać mamy grobu bohatera. To też przybyły przed trzema laty do Egiptu profesor Schliemann chciał zakupić meczet Daniela w celu rozpoczęcia poszukiwań, ale natrafił na fanatyczny opór muzułmanów. Europejczycy zaś, zamieszkujący Aleksandryę, jak wspominałam już, nie dbają wiele o dawną sławę tego miasta.

Porzućmy więc i my starożytne wspomnienia i gruzy, a przypatrzmy się dzisiejszej Aleksandryi, pełnej ruchu i gwaru. Najbardziej ożywionym punktem miasta jest plac Konsulów, tak nazwany z powodu, że niegdyś znajdowały się tu główne konsula-

ty. Plac ten ozdobiony jest skwerem, wpośród którego umieszczono wspaniałą statwę Mahmeta Alego na koniu.

Praktyczni Aleksandryjczycy wycięli jedną z ostatnich części większą część krzewów i połowę placu zabudowali. Od placu konsulów, niby od głównej arteryi, prowadzą wszcz i wzdłuż ulice szerokie, brukowane, o marmurowych chodnikach i wysokich, bogatych kamienicach. Wszystko to nowe, jasne, błyszczące, magazyny ozdobione wielkimi szybami i złotymi napisami, kluby i kawiarnie przepełnione tłumem modnisiów, a w krzyżujących się pojazdach podziwiać można paryskie stroje dam aleksandryjskich. Nie brak nawet tramwajów, które zastępować zaczynają dawną jazdę na osielkach. Wyznać jednak trzeba, że europejska kultura tu, pod afrykańskim niebem, ma wiele stron niemiłych. Jasne egipskie słońce, odbijając promienie o lśniące mazań i złocenia, razi niemiłe oczy, a w wysokich kilkopiętrowych kamienicach panuje letnią porą skwar nieopisany. Nie dziw więc, że Arabowie wzdychają za swymi dawnymi wązkimi uliczkami, w których chłód i cień panował miły, i zachwalają swe dawne domostwa o niskich oknach, a obszernych komnatach, okolone rozległymi podwórzami i ogrodami. Dzisiejsi Aleksandryjczycy jednak znoszą mężnie skwar i blask słońca, byle się pochwalić nowomodnym przepychem.

Wiadomą jest rzeczą, iż Aleksandrya słynie z piękności swych kobiet, a jak celem życia tutejszych mężczyzn jest handel i zysk, tak znów jedynym dążeniem aleksandryjskich kobiet jest zabawa, strój i użycie. Chęć błyszczenia i podobania się odziedziczyły zapewne po pięknej Kleopatrze, której duch po dziś dzień w Aleksandryi panować się zdaje.

Rozrywek tu nie brak: Aleksandrya posiada dwa teatry, które, pomimo cen dość wygórowanych, są zwykle przepełnione. Prócz tego dzień każdy przynosi cały szereg zebrań, balów i przyjęć, urzą-

dzanych z niesłychanym przepychem. Arystokracji rodowej niema wcale w Egipcie, wytworzyć się ona nie mogła w państwie, w którym każdy bej i basza był tylko niewolnikiem panującego władcy, a tenże każdej chwili zagrabić mógł jego majątek i odebrane tytuły nadać najuboższemu żebrakowi. Zresztą t. z. towarzystwo nie składa się z krajowców, ale z osiadłych tu Europejczyków, po większej części ludzi nowych, dobijających się dopiero fortuny i znaczenia. Mimo to tytuły hrabiów, a szczególnie francuskie nazwy „vicomtów“ spotyka się tu co krok prawie; niechaj jednak nikt się nie waży pytać, jakim sposobem ludzie ci dobili się tarczy herbowej; biada każdemu, co usiłuje uchylić zasłonę pokrywającą przeszłość i rodzinne stosunki tych dygritarzy, a szczególnie kobiet tutejszych, gdyż na ciemne karty ich życia natrafić może.

Wogóle, towarzystwo egipskie ciekawie przedstawia obraz różnych narodowości, różnych warstw społecznych, rozmaitych pojęć, zasad i zapatrywań. Majątek, a szczególnie zbytkowne urządzenie domu i pozorna towarzyska ogłada otwierają tu wstęp każdemu, nawet na dwór wicekróla, o wychowanie, wykształcenie lub rodzinne stosunki nikt tu nie pyta.

Do ożywienia tutejszego towarzyskiego życia przyczyniają się najbardziej konsulatory i poselstwa rozmaitych narodów, grupujące się okół wicekróla, który zimę przepędza w Kairze, gdzie też skupia się główny ruch towarzyski, latem zaś przebywa w Aleksandryi, w ulubionym swym pałacu Raz-el-Tin. Pałac ten, dzieło Mehmeta Alego, nie odznacza się sztuczną budową, ale wznosi się nad samem morzem i marmurowemi schodami dotyka fal błękitnych. Drugi pałac, również przeznaczony na letnią rezydencję khedywa, zbudowany został niedawno w Ramleh, miejscu kąpielowem, odległem od Aleksandryi o wiorst parę.

Ramleh jest to Trouville mieszkańców Egiptu;

wygodna kolej prowadzi z Aleksandryi do ostatniej stacyi nad morzem, zw. San Stephano; bogate wille i pałacyki zdobią piaszczyste, rozległe wybrzeże, ocienione gdzieniegdzie sztucznie z pomocą Nilowego namułu założonemi ogrodami.

Komu tylko stosunki nie pozwalają przepędzić letnich miesięcy w Europie, ten dąży do Ramleh, aby odetchnąć świeżem, morskiem powietrzem i użyć kąpieli. Jednakże kąpiele te tylko w letnich miesiącach są otwarte, gdyż zima w Aleksandryi nie jest wcale tak ciepła, jak sobie mieszkańcy Europy wyobrażają. Aleksandrya, wystawiona na północne wiatry, ma przytem klimat wilgotny, gdyż otoczona jest bagnami. Deszcze bywają tu o wiele częstszem zjawiskiem niż w Kairze, leżącym na krańcu Delt, wśród skwarnych pustyń. Zato letnią porą, gdy Kair staje się niemożliwym z powodu nieznośnych upałów, powietrze w Ramleh jest o wiele chłodniejsze. Wtedy to wille i hotele tutejsze bywają przepelnione, pomimo cen bardzo wysokich, gdyż t. zw. pension wynosi 25 franków od osoby. Urządzenie w hotelach jest dość wygodne, kuchnia jednak, jak wogóle w Egipcie, niesmaczna i niezdrowa.

Za to kąpiele mamy wyborne; ze względu na damy haremowe, wybrzeże, przeznaczone dla kobiet, okolone jest wysokim murem, opartym na wielkich, żelaznych słupach, które jednak nie wstrzymują przypływu fal. Pewnego poranku byłam tu świadkiem komicznej sceny. Ciekawy jakiś syn Albionu, pływak znakomity, przepłynąwszy zręcznie pomiędzy żelazne zapory, ukazał się nagle w basenie przeznaczonym dla kobiet. Można sobie wyobrazić przestach pań haremowych na widok wásów i brody owego jegomościa. Zamiast ukryć się w wodzie, w popłochu rozbiegły się po galeryach, uciekając do swych celek. Gość nasz tymczasem opłynął dokoła basen i oddawszy nam zręczny ukłon, zniknął jak nurek, nakryty falą błękitną.

Spędziwszy ranek w kąpielach, towarzystwo tutejsze zbiera się znów wieczorem nad morzem, w kasynie, gdzie przy dźwiękach muzyki odbywa się przegląd codzienny strojów i pięknych twarzy, poczem tak mężczyźni, jak i kobiety zasiadają do gry w karty i długie godziny, czasem całe noce, spędzają przy... bakaracie, nieczuli na piękno otaczającej ich wspaniałej natury.

A jednak dla nas, mieszkańców północy, wybrzeże tutejsze, rozgrzane blaskami afrykańskiego słońca, pełne barw i życia, urok ma niezrównany, szczególnie wieczorną porą, gdy na fale tęczowe noc jasna, wschodnia, lekka, srebrzystą zarzuci zasłonę. Zasłona to nie z mgły i cieni, ale z promieni gwiazd i z rąbków błękitu uwita!

Czasami w tej dalekiej, błękitnej przestrzeni, zamigocą światełka na maszcie parowca, lub chyża łódka białe rozwinie żagle, śpiesząc ku wybrzeżom. Czasami piosnka żeglarza odezwie się dźwięczna, donośna, przy wtórze wioseł i szumie fal. A w odpowiedzi na wybrzeżu rozlega się głos poważny, przeciągły, strażników portu, powtarzających owe hasło starożytne: „Allahu akbar! wahed Hu!“

ROZDZIAŁ IV.

Podróż z Aleksandryi do Kairu, — Widok wiosek egipskich. — Stacye kolei żelaznej. — Kair, życie uliczne, towarzystwo europejskie.

Pięć godzin jazdy koleją oddziela Aleksandryę od Kairu, ale zaledwie pierwszą miniemy stacyę, już świat inny nas otacza, wspomnienia wschodnich baśni stają nam żywo przed oczami i mimowoli na

myśl nam przychodzi, żeśmy się nagle o wieków kilka wstecz cofnęli.

Oto na tle jasnej, dziwnie przejrzystej atmosfery, wśród zielonych, świeżych wód Delt, ukazują się wioski i osady arabskie, podobne zupełnie do tych, które tu przed wiekami istnieć musiały. Chaty niskie, z namulu nilowego ulepione, bez okien, zaledwie drzwiami opatrzone, w miejsce dachów rogożami palmowymi pokryte, wyglądają zdala jak kretowiska. Całą ozdobą tych chat są tu i owdzie umieszczone jaskrawe malowidła, które oznaczają, iż właściciel chaty należy do „Wadži“, t. j. odbył pielgrzymkę do Mekki. Wewnętrzne urządzenie chaty egipskiego wieśniaka składa się tylko z palmowej rogoży i kilku dzbanów glinianych na wodę. Innych sprzętów wieśniak egipski nie posiada, nie czuje też ich potrzeby; całym zbytkiem u bogatszych jest kocioł miedziany, przed chatą na ognisku stojący. Ponieważ jedynym materiałem palnym jest tu nawóz wielbłądów, więc też dym niezbyt wonny otacza każde ognisko, a w kotłach gotują się przysmaki, któreby u nas i nędzarza nie zadowolniły. Ziarna kukurydzy lub fasoli, uwarzone bez soli, w dni świąteczne oliwą skropione, oto i całe pożywienie fellaha. Przysmakiem nazywa się placek z prosa (Durrah) przyrządzony, z którego bogatsi rodzaj zupy z przymieszką cebuli i oliwy gotują.

Niektórzy wieśniacy posiadają palmy daktylowe i drzewa pomarańczowe, ale owoce ich sprzedawane być muszą, bo i czemże biedny fellah opłaciłby podatki, którymi rząd gnębi go od niepamiętnych czasów?

Własnej ziemi nie posiada on prawie nigdy, uprawia więc pola bogatych baszów i bejów, splaca podatki i wysokie czynsze, a sam zadawalnia się małym bardzo zyskiem ze swej dzierżawy. Jeśli ze splat swych uiścić się nie może, wtedy pan jego zabiera mu mienie całe, wyzyskuje jego pracę, a da-

wniejszemi laty mógł mu życie nawet odebrać bezkarnie.

Sami właściciele ziemscy nigdy w dobrach swych nie mieszkają, a są i tacy, którzy ziem swoich nigdy w życiu nie widzieli. Administracją zajmuje się t. zw. „Wekil“, t. j. rządca, Arab lub Grek, który pana swego wyzyskuje, a lud gnębi i uciemnia. Dlatego też, pomimo żyźnej roli i dobroczynnych fal Nilu, gospodarstwo wiejskie pozostaje w zupełnem zaniedbaniu i mało przynosi dochody. Jedynem źródłem bogactwa jest rozpowszechniona dziś nad Nilem uprawa bawełny i trzciny cukrowej.

Fellah, przez Arabów zwany „Uled-el-maw“, czyli syn Egiptu, zachował tak w powierzchowności swej, jak i w usposobieniu, wiele z charakteru swych praojców, starożytnych Egipcyan. Mniej przebiegły od Araba, jest on o wiele pracowitszy, a przytem łagodny i dobroduszny. Żyje w nędzy, ale nie zna troski o jutro, a na wymysły naszej cywilizacji patrzy z pogardą. Jeśli posiada grosz jaki, to wydaje go w tejże chwili, gdyż przyszłość, według niego, tylko do Boga należy. Wszak Allah wszechwładny zbudzić może nędzarzem tego, który usnął bogaczem i naodwrot.

Całym ubiorem fellaha jest długa, niebieska, bawełniana koszula, szerokimi opatrzona rękawami, na piersiach otwarta. Taką samą koszulę noszą także kobiety z tą różnicą, że na głowę zarzucają rodzaj zasłony lub płaszcza, a twarz zakrywają wązkim kawałkiem czarnej kitajki, spiętym u nosa metalową sprzączką. Ruchy tych kobiet są zręczne i żywe, ramiona nadzwyczaj kształtne i rozwinięte, biodra zaś szczupłe, co nadaje całej postaci giętkość nieznówną i przypomina staro-egipskie posągi. Twarze jednak u starszych ohydne, a ubiór, choć upiękaszony świecidełkami i rozmaitemi ozdobami, jest zwykle tak brudny, że budzi wstręt mimowolny.

Na każdej stacyi tłumy ludu otaczają wagony;

wieśniacy przynoszą owoce: pomarańcze, daktyle, pistacyę lub trzcinę cukrową, którą arabskie dzieci chciwie chwytają i żują; beduini ofiarują nam starożytnie, najczęściej fałszowane monety i posążki; inni podają wodę w glinianych naczyniach, mających kształt urn starożytnych i tę zaletę, że będąc porowatemi, wodę długo świeżą utrzymują. Cały ten tłum odarty, wpół nagi, ruchliwy i krzykliwy, rzuca się na podróży, jak na zdobycz łatwą i powtarza bez ustanku: bakszysz, bakszysz (t. j. datek). Wtóruje mu w tem sama służba kolejowa, pocieszenie wyglądająca: konduktor bez obuwia, w podartej sukmanie, na głowie, zamiast turbana, ma chustę kraciastą; obok niego uwijają się bezustannie dwaj posługacze: jeden z miotką do omiatania kurzu, cisnącego się do wagonów, drugi zbrojny podobnymże aparatem do opędzania much i moskitów, od których nieustannie oganiać się tu trzeba.

Krajobraz, rozciągający się przed oczami naszymi, na równinach Delt, pomiędzy Aleksandryą i Kairem, dość jest monotonny, a jednak piękny świeżością barw swoich i tym dziwnym majestatycznym spokojem, co działa na nas, jak wzniosła, poważna melodia. Wzgórz i lasów nigdzie tu nie ma; oko sięga daleko w przestrzeń, dziwnie jasną i przejrzystą, oblaną potokiem nieczrównanych blasków. Samotnie stojące, lub w małych kępach rosnące, palmy nie szumią, nie uginają się, jak drzewa nasze, ale niby kształtne kolumny, dumnie w górę wznoszą swe korony. Prócz palm daktylowych, spotykamy nad Nilem: tamaryski, sykomory, cyprysy i akacje nilowe, w ogrodach zaś rozbijały krzewy pomarańcz, laury i bambusy. Cała ta roślinność jednak sztucznie jest uprawiana, gdyż tam tylko buja, kędy sięgają wody i namul Nilu, to też ciągłe nawodnianie pól jest główną pracą i troską egipskiego rolnika. Wszerz i wzdłuż przeciętą jest Delta siecią kanałów i przebojów, z których woda prowadzona znów bywa na pojedyncze

poła za pomocą t. zw. „Szaduf“ i „Sakkij“. Są to starożytne, wcale nie postępowo wyglądające przyrządy, które biedny fellah nieustannie w ruchu utrzymywać musi.

Pierwszą znaczniejszą stacją na drodze do Kairu jest „Damanhur“, staroegipskie miasto Horusa, nie posiadające dziś jednak ani jednego odłamku dawniejszych ruin.

Nieco dalej mijamy Kafr-el-Zayat, lichą miejscinę arabską, leżącą na lewem, ku Rosecie płynącym ramieniu Nilu. Tu więc po raz pierwszy stajemy nad tą świętą, starożytną rzeką, której fale, ociążałe wiekiem i wspomnieniami, tak powoli, tak majestatycznie płyną, iż zdala nieruchome się zdają.

Trudno istotnie uwierzyć, iż ten niewielki strumień wody życie daje całej krainie, iż ją utworzył niejako z łona swego, przez pokłady ziemi, wiekami z gór Abissynii niesione. Toż słusznie nazywa Herodot ziemię egipską podarkiem Nilu.

Na wpół drogi pomiędzy Aleksandryą i Kairem leży arabskie miasto Tautah, dość znaczne, gdyż przeszło 60,000 mieszkańców liczące; posiada ono bogate przedziałnie bawełny i cukrownie, ale przez europejczyków mało jest zamieszkałe, gdyż uważane bywa za siedzibę najfanatyczniejszych muzułmanów. W mieście tem znajduje się grób jednego ze świętych, średniowiecznych mędrców arabskich: „Saida-el-Bedani“. Grób ten słynie cudami, to też dwa razy w roku, w rocznicę urodzin i śmierci świętego szeika, muzułmanie z całego Egiptu pielgrzymują do Tautah. Wtedy to około 400,000 ludzi obozuje często pod murami miasta, tłumy derwiszów i santonów ¹⁾ oblegają meczet i mistyczne odprawiają obrzędy. Można

¹⁾ Santonami nazywają Arabowie szaleńców i uważają ich jako świętych wybrańców Allaha, których dusze do nieba umknęły.

tu także podziwiać rozpustne tańce słynnych „Ghawazzi“ (tancerzek egipskich) i śpiewy „Almeek“; w ogóle igrzyska ludowe w Tantah przypominają mają starożytnie Saturnalie i ściągają tłumy ciekawych turystów, a szczególnie malarzy. Niegdyś odbywały się tu sławne na cały Wschód targi niewolników. Spędzano z głębi kraju czarnych Nubijczyków, sławne z piękności dziewczęta z Abisynii, a często białe Czerkieski i Gruzinki wędrowały ztąd do haremów bogatych baszów. Dziś otwarty handel zakazany, skrycie jednak po okelach ¹⁾ odbywa się zawsze. Sama widziałam w jednym z haremów kairskich młodzieńców, świeżo zakupionych niewolników, a jedna z dam haremowych pochwaliła mi się pewnego razu, że kupiła w Tantah dwie bardzo zrzęczne niewolnice.

W czasie powstania Arabiego Tantach było widowiskiem strasznych scen fanatyzmu i okrucieństwa. Muzułmanie, pastwiąc się nad chrześcianami, jednych piłowali żywcem lub ćwiertowali, drugich oblewali naftą i smołą i zapalali jak żywe świeczniki przed progiem meczetu. Szczęście, sceny te nie trwały długo i nigdzie się więcej w Egipcie nie powtórzyły.

Dworzec kolei w Tantach jest nieco okazalszy niż inne dworce egipskie i szczyci się nawet garkuchnią, w której jednak, prócz czarnej kawy, nargiłów i dziwnego w oliwie smarzonego ciasta, zwanego „kunafą“, niewiele przysmaków dostać można.

Ale oto i ostatnia stacya przed Kairem, Kaljub; oba ramiona Nilu połączone tu w jeden strumień, na którego falach kołyszą się liczne żagle łódek i wysokie maszty dakabijów ²⁾. Żyźna dolina Deltę zwęża się i maleje w uścisku dwóch rozległych pustyń. Z jednej strony od wschodu różowemi wzgórzami zarysowuje się skalista puszcz Arabska; granic jej

¹⁾ Okel (dom handlowy, skład towarów).

²⁾ Dakabija—okręt żaglowy, używany do wycieczek Nilem.

strzegą skały Mokatanu, o którego szczyty oparła się ciemnymi murami wspaniała cytadela Kairu. Z drugiej strony od zachodu, na tle jasnem, prawie szmaragdowem egipskiego nieba, ukazują się okolone złocistymi ząbkami zibijskiej puszczy niewzruszone wickami mogiły: Piramidy. A poniżej na krańcu Delt tuż przed nami las rzeźbionych minaretów i koronkowych wieżyc, chaos murów wspaniałych i lichych lepierek, labirynt bazładnie rzuconych ulic, pałaców, ogrodów, cmentarzysk i gruzów, kurzawą wieków okrytych; to Kair, perła Wschodu, stolica kalifów, podziw świata i własnego ludu!

„Czemże jest pocałunek długo niewidzianej ukochanej istoty wobec uczucia rozkoszy, które budzi widok Kahiru?“ — woła poeta arabski w uwielbieniu dla swego miasta. W rzeczy samej, najbujniejsza fantazyja nie zdołałaby stworzyć obrazu tak pełnego barw i życia, jaki przedstawia widok tego miasta, o którym rzeczby można, iż wszystkie minione stulecia, wszystkie ludy świata za miejsce zboru je obrały, taka tu różnaitość budowli, typów, strojów i gruzów.

Nie ma też w świecie drugiego kraju, drugiego miasta, kędyby tyle wrażeń rozmaitych a wiecznie nowych, tyle uczuć często sprzecznych z sobą doznać można, ile ich tu w Kairze doznajemy. Co krok tracamy bądź o gruzy starego świata, bądź o wspomnieniu: a dawne, które zdają się zmartwychwstawać pod stopami naszymi, to znów patrząc na arcydzieła saraceńskie, czujemy się nagle przeniesieni w tajemnicze, bajeczne wieki kalifatu, ale wnet budzi nas ruch i przepych nowoczesny, albo upaja nas ta swoboda, wesołość, życie tego ludu, co nie zna troski, ni żalu i żyje za pan brat z naturą, nie wiele dbając o nas i nasze zwyczaje.

Kair posiada osiemnaście tysięcy ulic, uliczek i przejść rozmaitych, jednakże, jak we wszystkich miastach wschodnich, tak i tu ulice pojedyncze nie mają nazw żadnych; tylko główne dzielnice miasta

noszą ogólne nazwy, każda zaś z tych dzielnic inaczej jest zabudowaną, inny przedstawia obraz i odrębny ma charakter. Niektóre z nich, przepełnione tłumem gwarowym i ruchliwym, a tak ściśnione, że dwie osoby obok siebie idące zaledwie przecisnąć się mogą, drugie wspaniałe, szerokie, zabudowane na kształt paryskich bulwarów, inne znów ciche, ponure, tajemnicze, pełne gruzów i ciemnych murów, przypominają średniowieczne grody.

Główny ruch i handel Kairu, a zarazem całego Egiptu, koncentruje się w dzielnicy „Muski,” zwanej przez Arabów: „quartier franc”, gdyż niegdyś zajęta była przez kupców europejskich, którzy dziś jednak zaludniają głównie nową, modniejszą część miasta, zwaną „Erbekieh”.

Zanim zapoznamy się z życiem Europejczyków w Kairze, przypatrzmy się bliżej dawnym starożytnym ulicom i tłumnie zalegającym je Arabom.

Na „Muski” nie ma prawie dwóch domów, któreby symetrycznie i regularnie zbudowane były; jeden dom wysoki, zwrócony bokiem do ulicy, drugi rozsiadł się szeroko i zabiera część drogi, trzeci znów ma ściany połamane w zęby, jakby rozłożony parawan. Mówiono mi, że tak budowane ściany dają więcej cienia i chłodu. Wszystkie te domy przyozdobione są balkonikami, a z tych niektóre przysłonięte kratkami z rzeźbionego i toczzonego misternie drzewa. Kratki te nazywają Arabowie „Muszarabijami” i zasłaniają nimi okna haremlików, t. j. komnat, zajmowanych przez kobiety. Równa różnorodność, jak w budowaniu domów, panuje także w strojach ludowych. Każdy prawie z przechodniów ma strój innej barwy, a często i odrębnego kroju. Tu Arab starowiec, na długi żupan z złotego jedwabiu, zarzucił płaszcz siłkowy o szerokich rękawach, a głowę ubrał w turban biały, haftowany szkarłatnymi kwiaty; tamten ma długi płaszcz ponsowy i żupan biały, litą szarfą przepasany; inny znów Arab, to uczony badacz Koranu,

bo płaszcz czarny, jak grecką togę, na ramię zarzucał, a nad czołem ma turban zielony, dozwolony tylko potomkom proroka. Niektórzy Arabowie, a szczególnie kawasi konsulatów, przybrali strój turecki, suto złotem szyty; urzędnicy zaś egipscy, baszowie, równie jak i większość osiadłych tu europejczyków, noszą tureckie stambuliny i czerwone fezy.

Prócz Arabów, spotykamy tu co krok Persów, Turków, Indów, murzynów i murzynki. Te ostatnie szczególnie lubią się popisywać europejskim strojem, modnemi kapelusikami i jasnymi krawatami. Nieźle też w tym tłumie odbijają ponsowe mundury i jasne włosy żołnierzy angielskich.

Kobiet w ulicach Kairu dość wiele widać, ale są to po większej części kobiety średniej klasy, gdyż bogatsze tylko w zakrytych pojazdach się pokazują. Strój Arabek bardzo jest niezręczny: długie, szerokie płaszcze z czarnej tafty okrywają całą postać; pod płaszczem suknia wisząca, także długa, jakby szlafrok z jaskrawego jedwabiu, przepasana jest złotym lub srebrnym paskiem, albo spięta metalowymi sprzączkami. Twarz zakryta białą lub czarną zasłoną, z po za której oczy tylko błyszczą czarne, powiększone „kohlem“, o białkach jasnych, prawie opalowych. Brwi i rzęsy, grubo podmalowane, nadają tym oczom dziwnie ostry wyraz. Na rękach, ramionach i na szyi wyzierają z pod płaszcza bogate bransolety, świecidelka, amulety i paciorki, któremi tutejsze kobiety obwieszać się lubią.

Wszystkie te „sitty“ (t. j. panie) prowadzą życie próżniacze i bezmyślne i są zwykle przerażającej tuszy, a przyjęta tu moda wysokich francuskich koreczków, utrudnia jeszcze ich chód i ruchy.

Przeciwnie, mężczyźni odznaczają się silną, muskularną i giętką budową ciała, a ostre rysy ich twarzy, szczególnie u Beduinów, przypominają pokrewieństwo z rasą semicką.

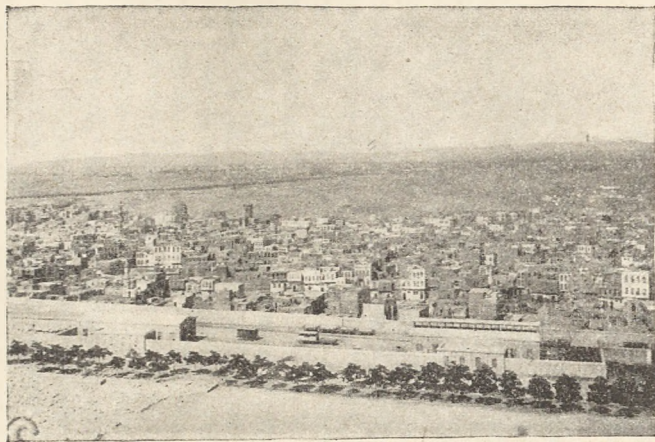
Arabowie żyją i żywią się na ulicach, a ponie-

waż na 400,000 mieszkańców, Kair liczy zaledwie 30,000 Europejczyków, można więc łatwo przedstawić sobie, co się tu dzieje w tych ulicach. Nie ma prawie chwili, aby nowa scena ludowa, nowe widowisko nie zwracało ogólnej uwagi. Tu orszak ślubny przeciąga, poprzedzany dziką muzyką na bębnach i piszczałkach; grono kobiet, piskiem i krzykiem wyrażając swą radość, wiedzie pannę młodą pod baldachimem z czerwonego jedwabiu. Twarz jej zakryta szczelnie zasłoną z grubej, jedwabnej, złotem i klejnotami naszytej tkaniny; biedaczce pewno tchuby zabrakło w tym ciężkim stroju, gdyby jej nie chłodzono ciągle olbrzymim wachlarzem z piór strusich. Za orszakiem lud ciśnie się tłumnie, chwytając chciwie przysmaki i drobne monety, rzucane przez gości weselnych. Opodal skacze i tańczy jakiś święty derwisz, jaskrawym łachmanem okryty, a lud rozstępuje się przed nim z czcią najwyższą. Tuż za nim ciemny starzec, prowadzony przez dziecko, śpiewa ballady miłosne, uderzając w rytm o „tarabakę“ (bęben) z dzwonkami.

Przed kawiarniami zasiedli Grecy i Ormianie, rzucając kości i warcaby; bładawy Turek ssie wonny nargil i popijając kubki kawy, w pół sennem okiem patrzy na arabskiego kuglarza, noszącego żywe skorpiony na dłoni, lub okręcającego węże wokoło nagich ramion.

Inni roznoszą jaszczurki, małpy, strusie jaja, stare bronie, skóry zwierząt dzikich, albo też rozmaite, tak krajowe, jak i europejskie wyroby, zachwalając je śpiewem i głośnem wzywaniem Allaha.

Tłum ten cały sunie środkiem ulic, gdyż chodników tu nie ma, albo są tak wąskie, że nie sposób przecisnąć się wpośród siedzących i leżących „boabów“ (stróżów), dzieci i kramarzy, którzy na chodnikach rozkładają swe stragany z rozmaitemi arabskimi przysmakami. Z tych najbardziej poszukiwany jest chleb daktylowy; są to daktyły z migdałami tłū-



Widok Kairu.

czone i zaszyte w worki ze skóry. Taki chleb jest pożywieniem Beduinów na pustyni, to też Arabowie, życząc komu szczęśliwej podróży, dodają zwykle: „Allah niech chleb twój słodkim uczyni i pomnoży wodę w twych girbach“ ¹⁾).

Z napojów mamy tu rozmaite limonady, których sam widok odstraszyć może europejczyka: są to nalane wodą soki z lukrecyi, róż, fiołków, a nawet szpinaku.

Wody nie brak w Kairze, gdyż staraniem byłego khedywa Ismaïła założone wodociągi zaopatrują w dobroczynną wodę Nilu wszystkie domy; każdy zaś meczet ma w podwórzu fontanny lub t. zw. „sabile“ (rezerwoary), przez pobożnych muzułmanów założone. W ulicach znów roznoszą wodę ubodzy wieśniacy za bardzo niską opłatą, a często bezpłatnie, gdyż przysłowie arabskie mówi: „Więcej zaważy kubek wody na szali miłosierdzia przed tronem Allaha, niż sztuka monety“.

Najbardziej zajmującą stroną Muski są bazyry, znajdujące się na bocznych ulicach i zabudowaniach; ulice te pokryte są jakoby namiotem, rozwieszonym u góry makatami i rogożami. Potrzeba początkowo pewnej odwagi, aby się zapuścić w ten labirynt przejść krętych i wpół ciemnych; potrzeba też przywyknąć do tego, że często czuje się nad sobą gorący oddech wielbłąda i łeb jego ukaże się tuż nad naszą głową, albo ogon bawoła muśnie kogo po twarzy, nabyć zręczności w wymijaniu galopujących na osłach jeźdźców i oswoić się z ciągłym krzykiem poganiaczy, którzy pędząc swoje osły, wołają nieustannie: „Riglak“ (strzeż swej nogi) „Szemallak“ (na lewo) „Jeminak“ (w prawo) i t. d.

Nawoływania te i groźby, przekleństwa woźni-

¹⁾ Girba, wór skórzany na wodę.

ców, ryk osłów i wielbłądów, krzyki handlarzy, którzy w rozmaitych językach swe towary zachwalają, śmiechy i gwary wesołego i hulaśliwego ludu, mieszają się tu w niepojętą piekielną wrzawę.

Każde rzemiosło ma swój osobny bazar; i tak np. mamy bazar szewców, w którym tylko tureckie pantofle można; bazar olejków wonnych i rozmaitych pachnideł, czarodziejskich leków etc.; bazar wyrobów złotniczych, w których celują Ormianie; oazar tunetański, syryjski, sudański i t. d.

Największym i najstarożytniejszym jest bazar zwany „Chan chalil.“ Tu znajdziesz najpyszniejsze dywany, makaty wschodnie, stare saraceńskie bronie, między którymi nawet dawne polskie napotkałam szablce, hełmy i tarcze krzyżackie, również jak i cenne wyroby z Chin i Japonii, a wszystkie te towary złożone są stosami w lichych budach i kramach, podobnych do szaf otwartych. Nad każdą taką szafą zamiast wystawy lub firmy znajduje się napis arabski, wychwalający Allaha, albo ustęp z Koranu. W pośrodku między stosem towarów siedzi na dywanie Arab lub Turek, paląc fajkę, nie sprzedaje jednak sam swych towarów, wita tylko gości i kłasnawszy na służbę, częstuje kawą lub cygaretami. Tymczasem faktorzy, najczęściej Żydzi lub Grecy, rozkładają przed kupującym setki dywanów i makat; targowanie się przy ciągiem wzywaniu Proroka i zaklinanie się na Allaha trwa często godzin kilka, zanim się kupi jaką drobnostkę; faktorzy z wyrazu twarzy starają się wyczytać, jakiej ceny zażądać mogą. Znają oni wszystkie języki świata; spotykałam wielu, którym nie były obce dźwięki naszej mowy.

W jednym to z takich kramów zdarzyła nam się zabawna przygoda. Wybierając dywany, patrzyłam z zajęciem na siedzącego po turecku kupca, który wspaniale wyglądał w szerokim turbanie i stroju tureckim. Byłam pewną, że to muzułmanin ze Smyrny lub Bagdadu, nie zwracałam też się do nie-

go, tylko do towarzystwa mego przemówiłam po polsku: To nie ładny dywan! Któż jednak opisze moje zdziwienie, gdy ów mniemany Turek najczystsza, trochę tylko żydowską polszczyzną odzywa się do nas: „Proszę pani, mam i ładniejsze dywany!”

Była to niespodzianka, za którą byłabym może uściskała owego kupca, gdyby nie był odstrasząco gruby i brzydki.

Był to żydek z Brodów, niedawno do Egiptu przybyły, któremu dźwięki naszej mowy jeszcze z pamięci nie uleciały.

Zapoznawszy się nieco z arabską ludnością Kairu, rzućmy teraz okiem na dzielnice miasta przez Europejczyków zamieszkałe i na życie tutejszego towarzystwa.

Powracając ulicą Muski w górę miasta, wychodzimy na plac Atab-el-Kadra oddzielający stare dzielnice od nowych.

Rozległy ten plac zdobiła dawniej statua Ibrahima başy na koniu. Postawienie jednak tego posagu było targnięciem się na dawną tradycję muzułmańską, według której niewolno nikomu, czy to w malowidle, czy w rzeźbie, naśladować kształtów stworzonych przez Boga. „Dzieło Twoje — mówią mahometanie — zapytać cię może w dzień sądu wiecznego: jeśli mi dałeś kształty i ciało, czemuż mi duszy nie dałeś?” Dlatego też statua Ibrahima padła pod ciosami rozwścieczonego ludu¹⁾ w czasie zaburzeń, wywołanych rewoltą Arabiego r. 1882.

Po jednej stronie placu widzimy zaniedbane gruzy, arabskie domostwa, a ponad niemi koronkowe wieżycy minaretów; po drugiej zaś europejskie gmachy w guście włoskim, arkadami otoczone. To Ezbe-kich! dzielnica bogatego mieszczaństwa, zabudowana

¹⁾ Lud w Aleksandryi okazał się mniej fanatycznym, gdyż statua Mchmeta Alego przetrwała ostatnie zaburzenia.

dopiero w ostatnich dwudziestu latach, gdyż dawnymi czasy znajdować się tu miały same ogrody ¹⁾, dzikie zarośla i bagna, w których pojawiały się nawet czasami krokodyle. Dziś bogate magazyny i sklepy, hotele i kawiarnie roztaczają tu swe złote szyldy, zbytkowne wystawy, balkony i tarasy marmurowe. Hotele szczególnie urządzone są z przepychem, mogącym zawstydzić europejskie stolice; mamy tu wspa- niałe salony, kioski, czytelnie oświetlone światłem elektrycznem, słowem wszystko, czego dostarczyć może postęp nowoczesny. To też zimową porą hotele te są przepelnione turystami, szczególnie Anglikami, uważającymi Egipt za swą ziemię obiecaną. Zjeżdżają tu także chorzy z całego świata, wysyłani przez lekarzy uważających Kair za stację klimatyczną; nie powiem jednak, aby pobyt w Kairze był dla zdrowia korzystnym. W hotelach gwar i niepokój bywa nieustanny, brak służby kobiecej i brak zdrowego pożywienia, gdyż o nabiał i dobre mięsiwo trudno w Kairze, a pomimo pozornego zbytku, prawdziwy komfort przeplacać tu trzeba. Przytem zimową porą w domach chłód się czuje niemiły, gdyż pieców nigdzie tu nie mamy, a termometr spada często w nocy na 8 albo i 5 stopni ciepła. W lutym zaś już i w marcu skwarne wichry przynoszą nam kurzawę pustyni i płoszą zimowych gości.

Kair posiada dziś kilka wzorowo urządzonych szpitali; z tych jeden nosi nazwę „szpitala arcyksięcia Rudolfa“ i znajduje się pod wyłączną protekcją Austrii, która również opiekę swoją rozciąga nad misją centralnej Afryki i nad większą częścią klasztorów w górnym Egipcie.

Przełożonym misji jest obecnie biskup Sogaro, Włoch z urodzenia, człowiek całą duszą i sercem

¹⁾ W jednym z tych ogrodów obok pałacu Elfi-beja zamordowany został generał Kleber.

oddany wzniosłemu powołaniu swemu. Założył on w pobliżu miasta kolonię neofitów, murzynów zbiegłych z Sudanu w czasie ostatniej wojny; kolonią zarządzają księża murzyni i siostry misyi, wykupione z niewoli Mahdi'ego. Muzułmanie, których fanatyzm z każdym rokiem słabnie w Egipcie, obojętnie patrzą na rozwój kolonii, a lubią i szanują nawet księży naszych, przypisując im cudotwórczą władzę leczniczą. Kościołów katolickich mamy pięć, prócz greckich i ormiańskich. Istnieje także kilka zakładów wychowawczych francuskich, a z tych najznaczniejsze są OO. Jezuitów i Sióstr: „de la Légion d'honneur“.

Ale powróćmy do przechadzki naszej po ulicach Ezbekich. Ozdobą tej dzielnicy jest ogród publiczny, posiadający wodotryski, kioski, sztuczne groty, teatrzyki, sadzawki i najrzadsze krzewy, z Indyi i Brazylii sprowadzone. Ogród ten jest jednym z dzieł wicekróla Isma'ila, który cuda tworzył i syjąc miliony, w mgnieniu oka zakładał najwspanialsze skweiry i ogrody, stawiał pałace i teatry. Nawet okazały gmach opery w tak krótkim powstał czasie, bo w przeciągu kilku zaledwie miesięcy. Gmach ten pamiętnym pozostał mieszkańcom Kairu pierwszym przedstawieniem „Aidy“, do której treść podały hieroglify w świątyni Hathory w Tebach, przez Marietta-baszę ¹⁾ odczytane. Sam khedyw zajmował się z zapalem swym teatrem; kazał w ulicach chwycić najroślejszych Nubijczyków, a po haremach najpiękniejsze niewolnice i posyłał je na statystki i statystów dyrektorowi opery. Dla dam haremowych urządzano łoże z zasłonami koronkowemi, z po za których olśniewają i dziś publiczność blaskiem brylantów i urokiem oczu. Najświetniejszym był balet, gdyż wice-król włożył obowiązek na wszystkich swych

¹⁾ Mariette, sławny egiptolog, zmarły w r. 1880.

krewnych, ministrów i baszów opiekowania się tancerkami, w czym też pierwszy dawał przykład. Były to czasy hulanek i szału, wiek złoty dla oszustów, awanturników, artystek baletu i artystek życia.

Po dziś dzień najpiękniejsze wille i pałacyki w Kairze są w posiadaniu dawnych tancerek i śpiewaczek, a raczej ich dzisiejszych mężów, noszących dumnie tytuły bejów i baszów.

Mylnie sądzą u nas, iż tytuł baszy przystoi jedynie muzułmanom; przeciwnie, tytuł ten, dość częsty w Egipcie, nadawany bywa przez wicekróla wszystkim wyższym urzędnikom, w służbie egipskiej będącym. Mamy tu wielu baszów, znających zaledwie język arabski i nie posiadających haremu, bejów moższowego wyznania, zajmujących wysokie stanowiska i pokrywających złotem niedobory wychowania i wykształcenia. Należą oni do t. zw. „high-life“ Kairu, które również, jak w Aleksandryi, z najrozmaitszych narodowości, żywiołów i kast społecznych złożone, grupuje się około wicekróla, ministrów i reprezentantów obcych mocarstw. Całe to towarzystwo spędza zimę w stolicy (za przykładem khedywa), zamieszkuje arystokratyczną osobną dzielnicę miasta, zwaną Ismaleh, i stara się nawzajem prześcignąć w zbytkownych przyjęciach, balach i zabawach.

Niechaj się więc nikomu nie wydaje, że my tu w Egipcie żyjemy w towarzystwie dzikich Beduinów, murzynów, szakali lub hyen, wpośród starożytnych gruzów i za kratami ponurych haremów. Przeciwnie, przez całą zimę dźwięki walców i kadrylów odbijają się echem o granitowe ściany piramid i mury meczetów. Szereg przyjęć rozpoczyna zwykle bal dworski w pałacu Abdin; balu tego nie można porównać z balami dworskimi w Europie, gdyż gościnność muzułmańska nie pozwala na zbyt surową etykietę i ograniczoną liczbę zaproszeń. Wszyscy turyści, bawiący w Kairze, z łatwością otrzymują zaproszenia

I śpieszą do pałacu, aby się ciekawemu przypatrzeć widowisku.

Przed pałacem plac obszerny, oświetlony bywa rzędami smolnych pochodni t. zw. marszallah. W pałacu sal czternaście stoi otworem na przyjęcie gości; w pierwszej zaraz sam wice-król wita wszystkich: europejczyków podaniem ręki, arabskich dygnitarzy wschodnim ukłonem, t. j. przyłożeniem ręki do serca, ust i czoła. Dla każdej z pań ma też słówko miłe i miłszy jeszcze uśmiech.

W czasie pobytu naszego w Egipcie, wicekrólem był Tewfik-basza, ojciec dzisiejszego khedywa. Liczył on natenczas lat około 30-tu. Powierzchność miał sympatyczną; rysami twarzy przypominał ojca (Ismaila-Baszę), tylko postawę miał niższą i nieco ociężałą, a wyraz twarzy mniej inteligentny, ale za to więcej dobroduszny i łagodny.

W czasie kilkuletniego mego pobytu w Kairze, będąc częstym gościem na zebraniach towarzyskich w pałacu Abdin, miałam kilka razy sposobność prowadzenia dłuższej rozmowy z wicekrólem, gdyż, jak wspominałam, był on dla dam europejskich nadzwyczaj uprzejmym. Kiedy na jednym ze świetnych balów dworskich spostrzegł, że tylko zdala przypatrywałam się tańcom, podszedł wnet ku mnie i zapytał uprzejmie: „Pourquoi ne danser Vous pas Madame?“ „Je n'ai pas de cavalier Altesse“ — odpowiedziałam żartem. — „Quel dommage, que les musulmans ne doivent pas danser“ — odrzekł khedyw z uśmiechem.

Pomimo tego zapewnienia, bracia Tewfika, Hussein i Hassaw, obaj przystojni i młodzi, brali często udział w tańcach i flirtowali z europejskimi paniami.

Sale pałacu Abdin urządzone są według europejskiej mody; wschodnich dywanów, starożytnych makat, rzeźbionych sztucznie arabskich stolików nigdzie tu nie znaleźć. Podziw budzi jedynie ogród zimowy, znajdujący się na pierwszym piętrze, obok

jadalni. Ogród ten nie jest osłonięty w górze i tylko błękit wschodniego nieba namiot nad nim tworzy, a oświetlony elektrycznymi lampami wodotrysk błyszczącą rosą oblewa klomby pełne jaśminów: odbija się w ścianach zwierciadlanych, otaczających ogród.

W czasie balu, o godzinie 12-tej wieczorem, kiedy, prowadząc pod rękę angielską konsulową (lady Cromer), przechodzi przez ogród, wiodąc za sobą długi szereg dygnitarzy, którym już naprzód adjutant wskazał damy z towarzystwa wybrane i otwiera bufet. Niestety, bufet ten doborem potraw nie zawsze odpowiada przepychowi, z jakim jest urządzony. Stojąc pewnego razu obok wice-króla, spostrzegłam, że tenże, ukroiwszy kawał pasztetu, odrzucił go ze wstrętem i szepnął gniewnie do stojącego za nim adjutanta straszne przekleństwo arabskie: „Hauzys“ (t. zn. świństwo.) Nic w tem zresztą dziwnego, gdyż pieniądze, przeznaczone na przyjęcia w pałacu, przechodzą przez ręk kilkanaście, zanim otrzyma je kupiec, który także pragnie obłowić się przy takiej sposobności. Wszechwładny „bakszysz“ (datek) króluje na Wschodzie we wszystkich warstwach społecznych.

W jednej z sal obok ogrodu drzwi i okna osłonięte są tak zwanymi maszarabijami, t. j. kratami rzeźbionymi z drzewa; z po za tych krat wicekrólowa i haremowe damy przypatrują się zabawom i tancom, niewidzialne dla tłumów. W następnym rozdziale zapoznam bliżej czytelników z tą zajmującą, tajemniczą kartą wschodniego życia, t. j. z kobietą haremu.

Prócz balów i przyjęć rozmaitych, nie brak w Kairze poważniejszych rozrywek: istnieje towarzystwo geograficzne, którego członkami są sławni podróżnicy, jak: Schweinfurth, Casatti, Lenz, Junker, Stanley i inni. Niektóre też posiedzenia towarzy-

stwa tego były nad wyraz zajmujące. Tu Casati opowiadał nam o przygodach własnych i Emina-baszy, gdy wyparci przez partyzantów Mahdi'ego z prowincyi ekwatoryalnych, wzdłuż Afrykę przebyć musieli. Tu Stanley oznajmił nam z miną butną neo-mylnego człowieka, iż odkryta przez niego rzeka Semliki jest Nilu początkiem.

W czasie pobytu mego w Egipcie uproszoną zostałam przez prezydenta towarzystwa, dr. Abatebaszę, o wygłoszenie odczytu o... Litwie. Okazało się, że geografowie egipscy i angielscy nadzwyczaj niedokładne mają pojęcia o Litwie i jej mieszkańcach, odczyt mój więc pod tyt. *La Lithuanie et ses legendes* zajął ich niezmiernie. W nagrodę otrzymałam dyplom tow. geograficznego.

Istnieje również drugie stowarzyszenie ciężko uczzone t. zw. *Institut égyptien*, posiadające ciekawą bibliotekę.

Najciekawszą jest jednak biblioteka t. zw. Khedywialna; posiada ona wszystkie dzieła o Egipcie, jakie kiedykolwiek wyszły. Nadzwyczaj zajmującym jest zbiór starych koranów, pisanych ozdobnem piśmem, w pysznych oprawach, z wyciskami na skórze arabeskami, i stare książki perskie z kolorowanemi obrazkami.

Poważne te instytucye nie przyciągają szerszego koła publiczności. Lekkie i wesołe towarzystwo kairskie chętniej szuka rozrywki w wycieczkach i corsach, urządzanych prawie codziennie w alejach „Gezirech“ lub „Szubry.“

Aleje Szubra, dziś już nieco opuszczone, gdyż Anglicy wprowadzili w modę przechadzki do Gezireh, były niegdyś ulubionem miejscem przejażdżki byłego khedywa, Tewfika. Powóz jego, w cztery białe konie zaprzężony, ukazywał się w alejach co piątek (dzień świąteczny Muzułmanów), poprzedzany 12 „janiszarami“ na koniach i 4-ma lauframami t. zw. „saisami.“

Nic piękniejszego w życiu mojem nie widziałem nad postać i strój takiego saisa. Wyobraźcie sobie młodego silnego Araba, o kształtach istnie posągowych. Nozdrza rozdęte, oczy czarne, o białkach błękitnych, zdają się ciskać iskry z pod brwi najeżonych; każdy muskuł saisa drga, nabiegły krwią, rozgrzaną szybkim ruchem. Biała, lekko faldzista koszulka sięga mu po kolana, rękawy jej, szerokie, jakby skrzydła ptaka, spięte są od niechcenia na ramionach. Koszulka przewiązana jest pasem jaskrawym jedwabnym, szerokim; strój ten uzupełnia mała krótka żuawka, rodzaj dolmana z cienkiego sukna lub aksamitu. Dolman taki pokryty jest cały złotymi haftami; na głowie fez z długim chwastem, na ramionach i nogach nagich błyszczą srebrne lub metalowe obroże; w rękę każdy saiss ma laskę długą, którą tłumy roztrąca. Trzeba znać lud tutejszy, jego zręczność i wytrwałość, aby przedstawić sobie lekkość i wdzięk tej postaci, kiedy w szybkim, szalonym biegu wyprzedza konie, ciemnymi bronzowymi stopami ledwie się dotyka ziemi, a strojem jaskrawym błyszczy w słońcu jakby najpiękniejszy motyl.

Saissy od czasu do czasu wydaje okrzyk dziki, to nawołując pędzące za nim konie, to znów krzycząc na tłum uliczny, by z drogi umykał. Bogaci baszowie trzymają dwóch saissów, a przed powozem wicekróla biegnie ich czterech.

Ze względu na ludzkość, zwyczaj ten jest barbarzyński; każdy saiss, choćby żelazną miał naturę, umiera młodo, najczęściej na piersiową chorobę; pożywienie ich przytem jest nadzwyczaj nędzne. Kawal placka, zwanego „durach“, parę ziarn kukurydzy i kilka listków koniczyny, którą saissy z wielkim apetytem zjadają, oto i cały posiłek saisa. Zdaje się, że ci ludzie przybierają już naturę koni, z którymi pędzą w zawody.

U końca alei Szubra znajduje się pałac dawny i ogród Mehmeta Alego. Pałac ciężki i niezgrabny,

a ogród zaniedbany, posiada tylko jeden zabytek dawnej świetności: ogromny wodotrysk z szerokim wspaniałym basenem, do którego woda przyplywa przez paszcze olbrzymich krokodylów; naokoło basenu są kioski, oparte na bizantyńskich kolumnach.

Tu niegdyś lubił wypoczywać po trudach wojennych potężny satrapa, pogromca Mameluków, Mehemet-Ali, pradziad dzisiejszego khedywa.

Tu przed oczami jego pluskały się w wodzie ulubione jego odaliski i kołysały go w łódce złoconej, której wiosła miały być z kości słoniowej i srebra.

Z łódki tej patrzył władca na tańce i igraszki swych niewolnic, słuchał śpiewu Czerkiesek, pił słodkie podawane przez nie napoje, rozkoszował się w ich wdziękach i pieszczotach.

Dziś ani śladu po tym przepychu; basen pusty, tylko kamienne krokodyle strzegą go jak dawniej, a w kioskach spłowiałe makaty i zbutwiałe dywany żywią setki moli.

Wracając z pierwszej swojej przechadzki do Szubra, miałam przyjemność spotkania t. zw. króla Darfuru, Zhobeir-baszę¹⁾, który także w Szubra się ukazał. Zdetronizowany ten przez Ismaila władca jechał na białym przepysznym koniu, sam ubrany w biały płaszcz z cienkiego kaszmiru. Na głowie zarzucony szal (kufije) biały, złotem tkany i dyademem złotym przepięty, osłaniał nawpół twarz jego śniadą, prawie hebanową.

Z pod płaszcza widać było strój zielony, jedwabny, złotemi haftami szyty i broń za pasem tkwiącą. Dwaj murzyni, również na białych koniach jadący, stanowili całą jego świtę.

Powrót z Szubry wśród setki krzyżujących się pojazdów bywa bardzo zajmujący, szczególniej pó-

¹⁾ Zhobeir-basza — słynny handlarz niewolników (patrz Rozdz. o Sudanie).

żnym wieczorem, kiedy saisy z zapalonemi pocho-
dniami pędzą przed powozami, nie krzykiem już
i wołaniem, ale rykiem zdyszanych piersi rozpędza-
jąc cisnące się przy wjeździe do miasta tłumy. Zby-
tek pochodni nie jest tu potrzebny, bo cały Kair
wybornie jest oświetlony, dzięki staraniom byłego
khedywa. Laski jednak, któremi saisy są uzbrojeni,
okazują się często pożyteczne, gdyż natrętne tłoczą-
ce się tłumy Arabów prędzej przed kijem, niż przed
pędzącymi końmi z drogi ustępują.

Aleje Szubry same przez się nie mają nic tak
dalece zajmującego. Widok z drogi dość monotony,
po obu stronach wznoszą się niezbyt gustowne wille,
i murami zakryte ogrody. Dalej widać tylko pola,
wabiące oko nadzwyczaj jaskrawą zielenią, wywołaną
ciągłym nawodnianiem sztucznem.

O wiele piękniejsze co do krajobrazu są aleje
Gezireh, będące dziś punktem zbornym modnego świa-
ta. Wyspa Gezireh Bulak połączona jest z Kairem
ogromnym mostem na Nilu. Od środka miasta (Ez-
bekich) do mostu wiodąca droga przecina najpiękniej-
sze ulice dzielnicy Ismailich. Nad samym Nilem wi-
dzimy całe rzędy pałaców i haremów, niezgrabnych
gmachów, które przypominają koszary. Już zaś około
mostu wznoszą się znów olbrzymie jak pałac koszary
zwane Kasz-el Nil, zaludnione obecnie przez czer-
wone mundury. Ogromne lwy kamienne strzegą
mostu, za którym ukazują się gaje palmowe, zielone
łąki i ogrody i dwie długie, mimozami i sykomorami
wysadzone drogi: jedna wiodąca do pałacu i piramid
Gizeh, druga zaś, w prawo, prowadzi do pałacu
i ogrodów Gezireh.

Widok ztąd istotnie czarujący: cały Kair z ory-
ginalnemi dziwacznyemi swemi budowlami i gruzami
przedstawia się nagle na skrócie alei, jak gdyby
obraz znienacka odsłonięty, zadziwiający nas bogac-
stwem barw i życia. Ponad płaskie tarasy domów
(bo kominy i dachy nigdzie tu, dzięki Bogu, widoku

nie psują) unoszą się smukłe palmy i jeszcze smuklejsze wieże minaretów.

Za tło do krajobrazu służy wzgórze Mokatam, którego nagie skały przybierają w słońcu różowe i liliowe odcienia. W stoku Mokatamu wznoszą się groźne mury cytadeli i dwie smukłe, jak maszty wysokie, wieżyczki minaretu Mehmeta Alego. Tuż przy nas zaś, obok drogi do Gezireh wiodącej, pomiędzy palmami i kolczastymi aloesami płynie Nil, wprowadzając nie taki niebieski, jak go malują, ale zawsze uroczy, spokojny, majestatyczny. Nad wodę schodzą się gromady kobiet wiejskich, czerpiąc wodę „gullami”¹⁾; mają one zwyczaj nosić je na głowach, zgrabnie i lekko, podpierając je jedną ręką, podczas gdy na drugim ramieniu zazwyczaj siedzi dziecię, jak gdyby na koniu. Zwyczaj noszenia dzieci w ten sposób, na ramieniu, jest tu powszechny; matka schyla się, biegnie i siada, a dziecię nigdy nie spadnie, co istotnie podziwiać trzeba. Kobiety te zdaleka bardzo zgrabnie i malowniczo, jakby na biblijnych obrazach wyglądają, zbliżka jednak są obrzydliwe, brudne i tak leniwe, niedołężne, że nawet much, które rojami na oczach i nozdrzach dzieci arabskich siadają, nie odpędzą.

Ale wracajmy do alei i pałacu Gezireh. Pałac ten jest jedyny, w którym zachowano poniekąd dawny styl arabski. Smukłe kolumny, pokryte arabskimi i łukowe wiązania, wspierają frontową fasadę, naprzeciw której umieszczono wielki wodotrysk z rzeźbą bardzo zręcznego dłuta, przedstawiającą Nil w postaci zachwycająco pięknego młodzieńca. Ale choć kształty tej rzeźby są niezrównane, jednakże pomysł wydał mi się niestosownym. Nil, ta rzeka tak starożytna, święta, poważna, powinna być raczej przed-

¹⁾ „Gulle” są to dzbany na wodę w formie urn starożytnych.

stawiona w postaci starca, a nie młodziutkiego Adonisa. Może wicekról Ismail, który pałac ten i ogród urządzić kazał dla cesarzowej Eugenii na czas jej pobytu w Kairze, osadził, że piękne oczy nowożytniej Kleopatry chętniej spoczną na młodzięższej tej postaci, niż na twarzy choćby pięknego starca.

W całym urządzeniu tej prawdziwie królewskiej rezydencji nagromadzono wszystko, na co się tylko zdobyć mogła fantazyja khedywa, pragnącego podbić serce tej nowożytniej Kleopatry, która nietylko berło Francyi, ale i berło wdzięków dzierżyła. Pałac z jednej strony oblany jest Nilem, którego fale uderzają o ściany gmachu, z trzech stron zaś okala go obszerny a wspaniały ogród. Pod cieniem krzewów tropicznych, wśród najrzadszych drzew i kwiatów indyjskich, znajdziesz tu kaskady, grotty, strumyki, posągi i coraz to nowe niespodzianki. W jednej z grot naprzykład znajduje się na szczycie wytworny salonik o ścianach zwierciadlanych, w których odbijają się skały i sztuczne kaskady. Meble tego saloniku są wyciosane sztucznie z pni drzew skamieniałych. W środku ogrodu zasługuje na uwagę kiosk w stylu arabskim, na kilkudziesięciu kolumnach wsparty. W kiosku tym, prócz wodotrysku, znajdują się wielkie sale, w których, jak mi mówiono, cesarzowa Eugenia lubiła patrzeć na tańce i igrzyska (fantazyje) arabskie, dla niej tu urządzane. Sale i wodotryski oświetlone są wiszącymi na łańcuchach arabskimi lampami. Już do ogrodu przytyka zwierzyniec, dziś opustoszały i zaniedbany, a obok niego znajdują się akwaria w ogromnych dwupiętrowych sztucznych grotach. Ze szczytu tych grot widok wspaniały na dalekie pustynie i na piramidy. Olbrzymie, wiekowe grotty Faraonów zdają się patrzeć z pogardą na drobne, kruche cacka architektury dzisiejszej.

W czasie pobytu ekscesarzowej w Egipcie w r.

1869 całe Gezireh, grotty, akwarya, miały być codziennie oświetlane bengalskimi ogniami, a po za szklami akwaryów wily sie olbrzymie potwory morskie i dziwaczne płazy. Dziś szkła rozbite, w kaskadach brak wody, grotty tylko sterczą jakby szkielety dawnego przepychu.

W pałacu urządzenie zupełnie europejskie, ale nadzwyczaj bogate, po części skopiowane z paryżkich „Tuilleries“, bo kedyw wysłał swych architektów do Paryża, kazawszy im wiernie odrysować najmniejszy drobiazg, w apartamentach cesarzowej się znajdujący. Sumy bajeczne płacił za porcelanowe fraszki, zegary, lampy, podobne do tych, jakie były w paryżkim pałacu. To też dumny był i szczęśliwy, kiedy wprowadzając piękną kobietę do przeznaczonych dla niej pokojów, mógł powiedzieć: „Madame—Vous êtes chez Vous.“ Istotnie, mogło się zdawać cesarzowej, że pałac jej cudem nad Nil przeniesiony został, tak go wiernie naśladowano. Też same obicia, też same meble, tylko pod oknami na falach Nilu kołysała się przepyszna „dahabija“ z masztami złoceniemi, z żaglami z niebieskiego jedwabiu; sternicy i służba na tym okręcie, który cesarzową codziennie do Kairu przewoził, miała na sobie najbogatsze ubiory wschodnie.

Urządzenie sal w pałacu pozostało dotychczas nietknięte, tylko kurz drobny, ten dar poblizkiej pustyni, wcisnął się w każdy kącik, a przy niezbyt dbałym widać dozorze, z bogatych draperyj na ścianach wiszą strzępki i nitki pajęczyn. Na uwagę zasługuje sala tronowa i balowa na górze, bogate jadalne sale i przedsień, marmurem i alabastrem wyłożona, do której światło pada przez okna arabskie, w suficie umieszczone. Jedna z sal jest do połowy ścian wyłożona mozaiką rzymską, a stoły i krzesła nawet równie florencką i rzymską mozaiką wkładane.

Pokazywano nam łazienki cesarzowej Eugenii ¹⁾, wybite niebieskim atłasem, z wodotryskiem, w środku stojącym. Podziwiałam też dwie porcelanowe wazy do kwiatów, znajdujące się w buduarze cesarzowej. Na jednej z nich, bardzo dobrym pendzlem, przedstawiony portret Eugenii, na drugiej portret Napoleona; naprzeciw zaś, na alabastrowym kominku, umieszczono biust samego Ismaila.

Dziś pałac Gezireh ²⁾ stoi pustką; marmurowe rzeźby, zdobiące ogród i tarasy, jak inwalidy wyciągają ku słońcu pokaleczone ramiona i zdają się błagać o litość, a świetnym tym szczątkom zgasłego zbyt szybko przepychu, jak całemu państwu Mehmeta Alego, grozi... ruina.

Prąd cywilizacji europejskiej zbyt szybko, zbyt nagłą falą uderza o Egipt, obalając dawne obyczaje i starożytne gruzы, zastępując je nietrwałymi, kruchymi budowlami, a zamiast powolnego postępu i dobroczynnego światła, przynosi, niestety, zepsucie, chwilowy przepych i... zniszczenie.

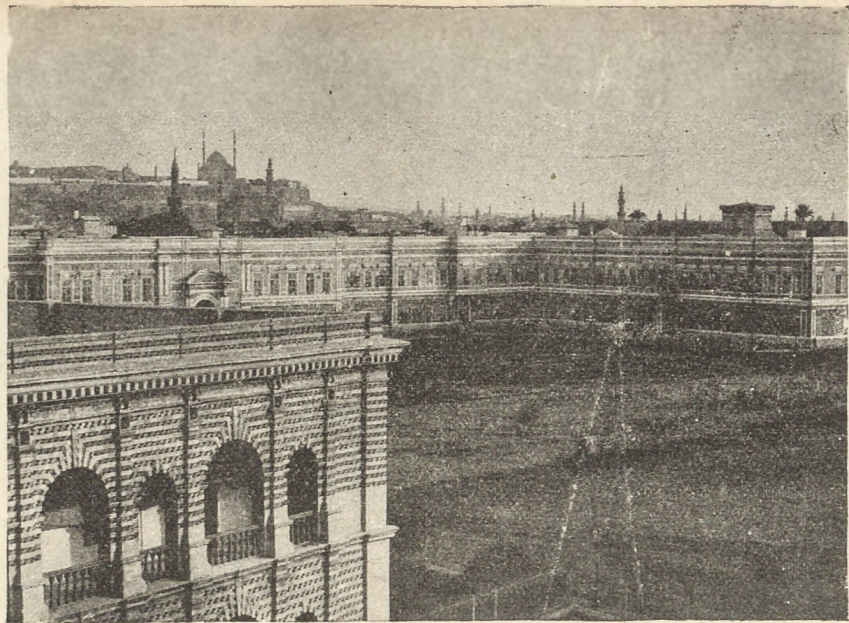
ROZDZIAŁ V.

Architektura arabska. — Meczety. — Dawne dzieje Kairu. — Islam. — Szkoła El-Azhar. — Derwisze i ich obrzędy.

Miasto, które dotychczas poznaliśmy, to nie jest już owa dawna stolica Kalifów, perła Wschodu, po-

¹⁾ Naiwny przewodnik, pokazując nam w łazienkach dwie wanny, zapewniał nas, że w jednej kąpała się Eugenia, w drugiej... „Effendinah“, t. j. wicekról.

²⁾ Po wyjeździe moim pałac Gezireh został sprzedany i przerobiony na wspaniały hotel.



Pałac Abdin.

dziw świata i własnego ludu, to miasto nowe, naprędce budowane, to nowożytny Kair, w którym, jak wspomniałam, cywilizacja obala dziś gwałtownie wszystko, co dawne i oryginalne. To też spieszymy poznać szczątki starożytnej chwały, arcydzieła saraceńskiej architektury, zanim się one w gruzy rozsypią.

Dzisiejsi Arabowie niezdolni tworzyć dzieł takich; w ciągłej styczności będąc z Europejczykami, tracą oryginalność stylu i pojęcie piękna, a zniżają się do naśladownictwa, niezręcznego najczęściej. W ostatnich szczególnie latach ogarnęła cały Egipt gorączkowa żądza przekształcenia wszystkiego na sposób europejski. Coraz tu mniej się spotyka owych bram starożytnych, ozdobionych łukowemi wiązaniami, owych balkoników, sztucznie z cedrowego drzewa rzeźbionych (muszrabije), ale za to roztacza się wszędzie przepych europejski, po nędznych kramach zbierany. Nawet silna, fanatyczna wiara muzułmańska słabnie z dniem każdym, szczególnie między klasą bogatszą, zacierać się zaczynają dawne zwyczaje i religią uświęcone tradycje. Lud tylko, ten ubogi, stroniący od Europejczyków, strzeże swej wiary i ostatnich gruzów swej dawnej chwały, i całą siłą opiera się ideom postępu.

To też chcąc się zapoznać ze starożytną architekturą arabską, musimy zostawić za sobą gładkie bulwary, szerokie ulice, dumne nowoczesne pałace, ozdobne a niezgrabne; musimy zabłąkać się w ten labirynt uliczek i przejść ciasnych, ciemnych, zaniebanych, pomiędzy gruzy, rumowiska i arabskie domostwa. W tych to starożytnych dzielnicach gnieździ się, roi i tłoczy ów lud nędzny, odarty, cuchnący, nienawistnem okiem patrzący na europejskich przechodniów.

Istne to mrowisko te ciasne zakątki, do których światło dzienne z trudnością się przeciska, ale w nagrodę niezbyt milej wędrówki wśród brudów arab-

skich, które swą wonią przypominają swe pokrewieństwo semickie, spotykamy tu co krok prawie arcydzieła sztuki budowniczej z wieków średnich, z czasów Saladyna i dawniejsze jeszcze. Są to po większej części meczety, po arabsku zwane „gama“, sabile, t. j. wodozbiory i grobowce.

Z dawnych pałaców i innych gmachów publicznych niema i śladu, tylko gdzieś tam znajdują się wspaniałe bramy, ozdobione arabeskami, o których mi mówiono, że prowadziły do pałaców starożytnych. Zdaje się, że owe pałace nie były wznieszone dla ozdoby miasta, tylko jedynie dla schronienia się, dla przechowania skarbów i ukrycia ich przed okiem obcem. Żadne miasto w świecie nie przeszło tyle krwawych zapasów, tyle walk dynastycznych, ile ich widział Kair, gdzie samowładni rządcy tureccy wydzielali sobie nawzajem ster rządu i rzezią i zdradą dobijali się władzy, którą im znów topór silniejszego lub zręczniejszego współzawodnika wydierał. Dlatego też ówczesne ich pałace były to raczej warownie, otoczone silnymi murami, zewnątrz nieozdobne, aby nie nęciły zawistnych oczu.

Całą zaś sztukę swoją, cały zmysł piękna, całą bogatą, gorącą fantazyę, poświęcał dawny Arab religijnym budowom, jakimi są moszee, grobowce Kalifów i sławnych szeików, i sabile, w których bezpłatnie rozdawano wodę ubogim.

Widzimy ztąd, że jak u wszystkich ludów, tak i u Arabów, pierwsza myśl o sztuce natchniona została myślą o Bogu i religijnem uczuciem. Nie mogąc ideału tego ująć w kształty posagu, nie szukając symbolów, gdyż religia najsurowiej to muzułmanom wzbraniała, artysta arabski lubował się w zewnętrznej szacie, w zewnętrznych kształtach swej budowy, stroił ją, upiększał, zdobił, a pod tchnieniem jego rozbudzałej fantazyi kamień stawał się miękkim i lekkim, i uginał się w coraz to nowe, a zawsze wabiące oko kształty; tam, gdzie kamień nie stosował się

do ozdoby, używano drzewa, które też rzeźbiono, i układano w niem najpiękniejsze mozaiki z kości słoniowej, jakie podziwiamy na sufitach i ścianach w meczetach z czasów Mameluków.

Tak kamień, jak i drzewo, zdobiono barwami, a szczególnie złoceniami; barwy te jednak nie rażą jaskrawemi połyskami i, o ile z zachowanych śladów osądzić można, bardzo zręcznie były użyte. Pierwszym wzorem do tych czarujących arabesków, w których oko się gubi, jak gdyby w piśmie nieznanem, były niezaprzeczenie linie i figury geometryczne, spajane, rozrywane i latane w sposób najzróżnitszy; dalsze wzory dał świat roślinny, jedyny, z którego artysta arabski mógł czerpać swe natchnienie. Istnieje wszakże jeszcze jedna oryginalność stylu arabskiego, którą mimowoli wzięto z natury, ale z natury martwej, kamiennej. Są to tak zwane „stalaktyty“, to jest ozdoby żłobione, któremi artysta arabski zapełniał próżne przestrzenie wypukłe swej budowy. Trudno opisać wdzięk i lekkość i wogóle formy tych ozdób; Francuzi nazwali je stalaktytami, gdyż istotnie przypominają one ozdoby skał i grot naturalnych.

Spotykamy je w zagłębieniach nad portykami, naokoło kopuł i murów jako gzymsy nad kolumnami i we wszystkich tych próżniach, które nasza architektura zapełnia płaskorzeźbą lub posągami. Rodzaj tych ozdób napróżno starają się dzisiejsi artyści naśladować, wszystko, co w tym guście utworzono, okazało się ciężkie i niezgrabne.

Prawdą jednak jest to, że dawniejsze meczety budowano długie lata, bo często syn skończył dzieło ojcowskie, że je budowano z prawdziwym zapalem dla sztuki, z zapalem, który dziś zabija gorączka życia i żądza prędkiego zysku. Czas nie był tak drogą monetą, można go było użyć i poświęcić na to możne układanie ozdób, na wyłabianie koronek i hafców w kamieniu.

„Gama“, to jest świątynia arabska, nie była, tak jak kościół katolicki, domem Bożym, w którym myśl o Bogu uzmysłowiono oczom czy to obrazem lub posągami, czy też za pomocą form i obrzędów mistycznych; meczet arabski to tylko dom wspólnej modlitwy; tu, zdala od gwarów i trosk codziennych, mógł wierny muzułmanin słuchać słów Koranu, a patrząc na przepych budowy, przedstawiać sobie niejako te czarodziejskie pałace, które go, według obietnic proroka i jego tłumaczy, za progiem rajy czekały.

Meczet nie miał nigdy przepisanych form i linii budowy i kształt jego mógł być okrągły lub czworoboczny, koniecznem tylko było, aby kierunek Mekki oznaczony był wyraźnie, t. j. aby „kibla“, rodzaj niszy, ku której muzułmanie zwracają się przy modlitwie, znajdowała się na wschodniej stronie budowy. Prócz kibli, widzimy w każdym meczecie „membar“, t. j. ambonę, z której „iman“, czyli kapłan, czyta słowa modlitwy. Naprzeciw zaś ambony znajduje się „dikka“, rodzaj trybuny dla tych szejków, którzy tłumaczą wiernym Koran i słowa imana. W podwórzu meczetu znajduje się zawsze fontanna do obmywania przed modlitwą praktykowanych; widzimy tu często po kilka basenów, a to z powodu, iż każda sekta islamu inne ma przepisy umywania rąk i twarzy.

Przy wszystkich dawnych meczetach spotykamy także grobowce założycieli, otoczone kratami, w osobnych nawach.

Najpiękniejszym meczetem w Kairze jest meczet sułtana Hassana z 1360, t. j. z wieku XIV-go, gdy to i u nas w Polsce Kazimierz Wielki także wiekopomne wznosił gmachy. Była to najświetniejsza epoka architektury arabskiej, widzimy ją już wyzwoloną z naśladownictwa bizantyńskiego stylu i z sennych wspomnień, jakie jej pozostały po azyatyckich, perskich i indyjskich świątyniach. Oryginal-

na cechą tego stylu jest łuk w podkowę zgięty, złamany.

Meczet Hassana już zewnątrz robi wrażenie imponujące ogromem swych rozmiarów i prześliczną wieżą swego minaretu. Portyk i wejściowy przedsionek ozdobione stalaktytami zadziwiającej roboty. W przedsionku czekał na nas „nazir“, t. j. dozorca z całą paką pantofli słomianych. Każdy ze zwiedzających musi włożyć takie pantofle na wierzch obuwia, gdyż nie wolno wchodzić do meczetu w butach lub nawet w atlasowych trzewikach. Muzułmanie wchodzi w pończochach lub boso, dla chrześcian jednak, jako dla gości, mają więcej względów. Komicznie wyglądaliśmy wszyscy w tych niezgrabnych szlapiach; trzeba było bardzo uważać, aby nie upaść, albo, co gorzej, nie rozśmiać się, patrząc na komiczne ruchy towarzyszków, spętanych i płaczących nóżkami, jak koty w workach. Śmiech byłby tu poczytany za zbrodnię, tak tu wszystko poważne, spokojne. Musiałam się także pilnować, aby się nie przeżegnać mimowoli, gdy przeszedłszy długie korytarze, weszliśmy do tej prawdziwie Boskiej świątyni...

Jest to jakby nadzwyczaj obszerne podwórze, mające po bokach cztery nawy, czyli sale otwarte, Podwórze, wpośród którego znajduje się fontanna i kilka basenów, nie jest kryte, dokoła ma tylko mury wysokie, zakończone u góry jakby koronką rzeźbioną w liście liliowe. W głębi, w największej sali, ku wschodowi zwróconej, znajduje się „kibla“ na czterech zgrabnych kolumnach wsparta; naprzeciw niej „dikka“, również na dwóch rzędach kolumn się wznosi. Po dwóch stronach kibli dwoje drzwi spiżowych prowadzi do drugiej zamkniętej sali, w której znajduje się grobowiec Hassana. Drzwi te spiżowe, całe arabeskami najsztuczniejszemi ozdobione, były niegdyś srebrem i złotem wykładane, czego ślady dojrzeć można.

Grobowiec sam wcale nie zdobny, jest to zwykły nagrobek muzułmanów: płyta marmurowa i turban na niej rzeźbiony. Dokoła grobowca na marmurze posadzki widne są dokładnie plamy czarne, jakby krwi zsiadłej. Arabowie tłumaczyli nam, że są to istotnie plamy krwi, gdyż sultan Hassan zawarłszy pokój z rokoszanami, którzy przeciw niemu oręż podnieśli, na znak zgody zaprosił ich dowódców do swego meczetu. W chwili, gdy nabożni muzułmanie pochylili do ziemi głowy przy modlitwie, zakradli się cichaczem siepacze sultana i każdy z nich ciał mieczem po nagich karkach modlących się emirów, a wieki całe nie zdołały zatrzeć śladów krwi, zdradą w obliczu Boga przelanej. Jednakże pomimo tego haniebnego czynu, lud arabski otacza wciąż świętą pamięć sultana Hassana. Morderstwo nie jest u muzułmanów taką zbrodnią, jak u nas; niejeden z ich władców i szejków, posiadający tu cudami słynne meczety i groby, doznaje czci prawie Boskiej, a jednak, jeśli przeczytamy historię jego życia, to znajdujemy w niej grzeszki i zbrodnie, jakie u nas prowadzą wprost na szubienicę. Trzeba jednak wiedzieć, że siła, władza, energia, uwielbiane są na Wschodzie, jako przez Boga nadane, i większy budzą podziw, niż łagodność i dobroć, uważane za brak męstwa w charakterze.

Sala grobowa sultana Hassana, dziś, niestety, ruiną grożąca, nosi ślady przepysznych i bogatych ozdób. Kibla i ściany wykładane są mozaiką z marmurów rozmaitej barwy. Kopuła nosi ślady barw i złoceń, również jak gzymsy i narożniki, rzeźbione w arabeski z drzewa. Największą jednak ozdobą całego meczetu jest napis ozdobny kufijski, dokoła ścian głównej sali się ciągnący. Jest to haft w kamieniu tak sztuczny, jak gdyby czarodziejską ręką rzucony.

Pomimo jednak zachwyty na widok tych arcydzieł sztuki arabskiej, byłam bardzo rada, gdy nogi

moje znalazły się za progiem świątyni, uwolnione od słomianych kaloszy, które w czasie przechadzki po świątyni rozmijały się ciągle z moją osobą. Przy wyjściu byliśmy świadkami sceny prawdziwego a wzruszającego miłosierdzia: do progu świątyni zbliżał się starzec muzułmanin, ciemny, zupełnie odarty, nie mający przewodnika. Z pomocą długiej laski instyktownie dowlókł się nędzarz do fontanny, trudno mu jednak było zaczerpnąć wody i umyć się w basenie; czy obawiał się wpaść w wodę, czy sił mu nie stało, aby uklęknąć przed źródłem, dość, że zatrzymał się z westchnieniem i obrzękle swe krwawe powieki wzniosł do góry, jak gdyby o litość błagając.

W tej chwili ujrzał go jeden z modlących się przed kibłą Arabów, a powstawszy szybko, przystąpił do starca i koniec jedwabnej szarfy umaczawszy w wodzie, umył twarz, ręce i nogi starca, według religijnego przepisu; potem podał mu ramię i zaprowadził go przed kiblę, gdzie obok siebie przyklękli, czyli raczej przysiedli i, jak to zwykle czynią Arabowie, zaczęli się obaj nabożnie kiwać w prawo i w lewo, szepcząc ustępy z Koranu.

Naprzeciw meczetu Hassana, tej najświetniejszej pamiątki wieków saraceńskich, wzniesiono w ostatnich już latach z rozkazu panującego dziś wicekróla nowy meczet, na pamiątkę pokonania Arabiego. Ale tak jak owo zwycięstwo, z pomocą obcych dokonane, hańbę tylko przyniosło Arabom, tak i owa budowa, na cześć zwycięzcy wzniesiona, nie czyni zaszczytu dzisiejszej ich sztuce. Jest ona raczej karykaturą przeciwległej wspaniałej świątyni Kalifów. Mury jej zaledwie ukończone, podparto belkami, gdyż usuwają się i pękają; sklepienie portyku, w którym starano się naśladować starożytne stalaktyty, wydało mi się podobnem do nieudanej, niezręcznie z ciasta wyrobionej foremki.

Rzuciwszy tylko okiem na to niesmaczne arcy-

dzieło dzisiejszej architektury arabskiej, podążyliśmy ku wązkim okrągłym uliczkom starożytnej dzielnicy bazarów, gdzie tyle meczetów średniowiecznych się wznosi, iż często jeden do drugiego przypiera. Minawszy znaną nam bramę „El-Zuwele“, stanęliśmy przed meczetem sułtana „El-Ghoury.“ Budowa ta nie tak wspaniała i o wiele nowsza niż meczet Hassana, a jednak niezrównana w swych drobnych szczegółach i ozdobach. Podziwialiśmy szczególnie sufity z drzewa cedrowego, wykładane srebrem, kością słoniową i perłową konchą, w sztuczne arabeskowe wzory. Linie i figury geometryczne wiją się, płaczą, zrywają się i znów łączą, tworząc tak powabną dla oka mozaikę, iż godziny długie patrzećby na nią można bez znużenia. Również posadzka układana jest w mozaikę z marmurów rozmaitej barwy, ściany zaś ozdobione są napisami arabskimi, także w marmurze układanymi. Główną nawę świątyni zdobi świecznik ze spiżu, złożony, starożytnej roboty. Światło pada do wnętrza meczetu przez okrągłe, misternie w murze wycięte rezety, oraz przez okna o kolorowych średniowiecznych szybach. W głębi świątyni kibla, na lekkich kolumnach wsparta, jest już sama dla siebie skończonem arcydziełem.

Założyciel pięknej tej budowy, sułtan el Ghoury panował w początkach XVI-go stulecia. Należał on do rzędu tych nielicznych władców Egiptu, którzy nie mordom i intrygom, ale cnotom tron zawdzięczali. Z niewolnika zostawszy emirem przez łaskę poprzednika swego, sułtana Kaït Beja, po śmierci tegoż powołany przez lud do objęcia władzy, użył tejże, aby kraj wzbogacić i miasto upiększyć. Wznosił on pałace i meczety, szpitale i szkoły, budował drogi i wodociągi. Zginął śmiercią bohatera w Syryi, w walce z Turkami w r. 1516.

W meczecie swym pozostawił też sułtan świętą relikwię, z Mekki uwieczoną. Relikwią tą jest koszu-

la Proroka, którą raz tylko w rok ¹⁾ wierni oglądać mogą. Za pomocą hojnego baczyszu dostępują niektórzy tej łaski, iż wolno im ucałować tę niezbędną część stroju Mahometa.

My, jako niewierne gicury, nie dostąpiliśmy tego szczęścia; oglądaliśmy za to inną, równie cenną pamiątkę historyczną w meczecie sultana Kalauna, znajdującym się powyżej nieco meczetu El Ghoury, także wpośród bazarów i kramów. Pamiątką tą jest kamień, na którym wyciśnięty ma być ślad stopy Proroka. Oglądając uważnie kamień, doszłam do przekonania, że szanowny Prorok posiadał nadzwyczaj szeroką nóżkę, gdyż ślad wyciśnięty w kamieniu podobniejszy jest do śladu wielbłąda lub słonia niż do stopy ludzkiej.

Meczet, posiadający te relikwie, należy do najstarszych, bo pochodzi z roku 1280. Wzniesiony został przez sultana Kalauna, który wymordowawszy w najokrutniejszy sposób mieszkańców Kairu za mało znaczące przewinienia, chciał przygłuszyć wyrzuty sumienia czynem miłosierdzia i założył słynny wówczas na świat cały szpital razem z meczetem. Szpital ten, jak prawią kroniki arabskie, miał być urządzony z przepychem, którego i dziś pozazdrościć mogła Europa. Każda sala miała w pośrodku fontannę, chłód miły utrzymującą, świeżemi ziołami zaścielono marmury i posadzki, a dla rozrywki chorych trzymano umyślnie śpiewaków i lutnistów.

Dziś z tej budowy gruzy tylko pozostały, liczne kolumny o greckich kapitelach, snadź z greckich świątyń uwieszone, leżą w gruzach, a nikt nie myśli nawet o tem, aby je podnieść i zapytać o dawną chwałę. Najlepiej zachowana jest sala grobowa sultana, do której spieszą liczni pielgrzymi, kobiety i mężczyźni, chorzy z całego Egiptu. Przed kiblą bowiem

¹⁾ W święto urodzin Proroka.

znajdują się cztery owe słupy porfirowe, posiadające cudowną moc leczniczą. Dość jest polizać słup taki, aby z długoletniego cierpienia być uleczonym. To też znać na wszystkich słupach ślady nabożnych języczków, bo kamień do połowy wysokości jest jakby umyty; gdzieniegdzie tylko świecą czarne plamki: to krew zbyt gorliwych wiernych. Operacja lizania odbywa się w następujący sposób: dozorca meczetu pociera słup cegłą z Mekki pochodzącą, a przechowywaną jako relikwia; potem zwilża kamień cytryną, a czerwony płyn, sączący się wtedy po słupie, omywa chciwie chwytany ustami chorych.

Spieszą tu szczególnie kobiety, którym Allah odmówił potomstwa, a opasane szarfą sultana Kalau-na, ubrane w kaftan jego, który przez imanów ¹⁾ ze czcią jest przechowywany, po trzykroć obchodzą grób sultana, odbywają ceremonię lizania słupa i wracają do domu szczęśliwe, pewne skutku tych cudownych leków.

Ale trudnoby mi było opisać wszystkie meczety Kairu; aby je zwiedzić dokładnie, trzeba by z miesiąc czasu poświęcić, bo liczba ich dochodzi do 300. Mamy w nich skreślone całe dzieje miasta i kraju, gdyż każdy prawie z panujących i naczelnych wodzów wznosił świątynie nie tylko dla chwały Bożej, ale też dla okazania swej potęgi, dla utrwalenia pamięci swych czynów.

Pierwszym meczetem, który stanął na ziemi egipskiej, był meczet Amru, wzniesiony na kilkaset lat przed założeniem Kahiry. Bo też wiedzieć trzeba, że Kair, jak i nasz Kraków, „nie odrazu zbudowany.“ Wieki się nań składały. Już w r. 527 przed Chrystusem żołnierze perscy Kambizesa, oblegając starożytne Memfis, założyli tuż pod murami tegoż miasta małą warownię, którą przez wspomnie-

¹⁾ Kapłanów.

nie swej ojczyzny nazwali nowym Babilonem. Twierdza ta została zajęta w 640 roku po Chrystusie przez wysłańca kalifa Omara, dowódcę Arabów, emira Amru. Miasto Memfis, w gruzach już wtedy leżące, poddało się bez walki nowemu pogramcy. Potomkowie dawnych Faraonów witali Arabów, jak wybawicieli od greckiego jarzma, które się im czuć dawało. Amru, zapewniwszy wolność wyznania mieszkańcom starożytnej tej krainy, zajął Babilon i pośpieszył ztąd na podbicie Aleksandryi. Zdarzyło się jednak, że gdy wojsko zwijało obóz, na namiocie wodza ujrano gniazdo synogarlicy. Amru kazał namiot pozostawić nietkniętym, a zdobywszy Aleksandryę po 14 miesiącach oblężenia, powrócił do Babilonu i znalazł swój namiot razem z gniazdem nienaruszony. W tem miejscu więc założył miasto, które od nazwy arabskiej namiotu nazwał Fostat.

Fostat był przez czas dłuższy siedzibą gubernatorów kalifatu i podnosił się szybko, szczególnie gdy jeden z jego władców, Ahmed ebu Tulun, ogłosił się samodzielnym sułtanem i obok istniejącej mieściny wznosił gród nowy, zwany El-Kattajah. Z tego to czasu pochodzi drugi z rzędu na ziemi egipskiej wzniesiony meczet El-Tulun (r. 876). Ruiny jego istnieją po dziś dzień, choć wiek nasz najbardziej się przyczynił do zniszczenia tej wspaniałej budowli, gdyż Mohamet Ali kazał go przerobić na dom przytułku. Z pałacu Tuluna, który obok meczetu się wznosił, ani cegielka nie istnieje, a i miasto El-Kattajah niedługiem cieszyło się powodzeniem, bo gdy sułtan tunetański, El-Muiz (z pokolenia Fatymitów), w r. 969 wysłał na podbicie Egiptu dowódcę wojsk swoich, Dżuhara, tenże zdobył dawne grody i w pobliżu Fostatu założył dla swego władcy nową stolicę, którą nazwał „Masr-el-Kahira.“

Na tę nazwę złożyły się dwa słowa: „Masr“ jest to nazwa arabska samego Egiptu, którą dodawano do wszystkich miast większych, „Kahira“ zaś.

pochodzi od „El-Kaher,” to jest „zwycięzki,” którą to nazwą uczcili Arabi gwiazdę Marsa. Mars miał być opiekuńczą gwiazdą nowego grodu, a jego imię wróżbą przyszłej chwały miasta. Zwołani przez Dżuhara astronomowie oczekiwali na wzgórzu Mokattam zjawienia się Marsa na niebie Egiptu, naokoło zaś linii, wytkniętej pod budowę murów nowej stolicy, przeciągnięto sznury z dzwonekami, aby przygotowanym robotnikom w jednej chwili dać hasło do zaczęcia roboty. Zanim jednak uczeni astronomowie zdążyli przesłać hasło, w chwili ukazania się opiekuńczej gwiazdy stada ptaków usiadły na sznurach i poruszywszy dzwonki, dały znać ludowi, iż pracę rozpocząć należy. Rzucono się z zapalem do roboty, a już w trzy lata potem wspaniałe miasto wznosiło się tuż pod bokiem Memfis. Ostatnie gruzy i ruiny tej starożytnej stolicy służyły Arabom do ich nowych budowli. Nawet mniejsze piramidy z Nekropoli Memfis rozbierano i walono (większe nie dały się wzruszyć i zniszczyć). Niektórzy uczeni zaprzeczają Arabom chwały założenia Kairu, utrzymując, że w miejscu tem istniał gród staro-egipski, zwany Kaira, co w języku Koptów oznacza „ziemia słońca;” Arabi powiększyli tylko i upiększyli gród dawny, pyszniąc się nim jakby własnem dziełem. Bądź co bądź, Dżuhar uwiecznił swe imię nie tylko założeniem miasta, ale także założeniem pierwszej na Wschodzie szkoły „El-Azhar,” która po dziś dzień jest ogniskiem wiedzy arabskiej.

Szkola i meczet „El-Azhar” (to znaczy kwitnąca) powstały w trzy lata po założeniu Kahiry, to jest w r. 973. Jest to zakład jedyny w swoim rodzaju, zupełnie różny od naszych zakładów europejskich. Przypomina raczej z opisów znane nam dawne szkoły filozofii w Grecyi. Dziewięć tysięcy uczniów znajduje tu pomieszczenie; ubożsi dostają tu całe utrzymanie, bogatsi mieszkają w pobliskich karawan-serajach (to jest zajazdach, gdzie karawany spoczywają).

Wszystkie kraje, wszystkie prowincye, jak daleko sięga religia muzułmańska, mają tu swoje oddziały tak zwane „kiwaki.“ Jest tu kiwak el-Hinud dla Indyi, kiwak Sudanu, kiwak Bagdadu etc. Spotykamy też tu wszystkie typy Wschodu i wszystkie odcienia cery, od bladego Turka, aż do miedzianej barwy mieszkańca z nad Gangesu. Każdy kiwak ma swego dozorcę, a główny szejik El-Azhar jest zarazem najwyższym dygnitarzem religijnym w całym Egipcie.

Wejście do gmachu szkolnego, który jest zarazem i świątynią, poprzedza sień długa, sklepiąca; pod jej ścianami siedzą długim rzędem po jednej stronie przepkniejadła i przysmaków arabskich, między którymi główną rolę gra bób, w oliwie gotowany; po drugiej zaś stronie widać cały szereg uzbrojonych w brzytwy balwierzy, którzy golą głowy uczniów. [Główna też brama, która ztąd prowadzi do sali szkolnej, zowie się bramą balwierzy. Tuż obok zaś znajduje się druga brama, nazwana bramą polewki, gdyż tamtędy wnoszą jadło dla uczniów (jadło, któreby u nas chyba szczytuom smakowało).

Pierwsza sala wygląda jakby bardzo obszerne podwórze, dokoła arkadami otoczone; jest to szkoła przygotowawcza; widzimy tu i drobne chłopięta—zaledwie sylabizujące pierwsze słowa Koranu.

Swoboda panuje tu zupełna. Jedni uczniowie uczą się na pamięć i kołyszą się przytem z boku na bok, jak przy modlitwie; drudzy na tabliczkach metalowych rysują swe dziwaczne litery; inni jeszcze dysputują głośno lub tłómaczą młodszym słowa nauki. Niektórzy drzemią, rozciągnięci na słomianych matkach, bo zbytku łózek El-Azhar nie zna. Jedyńm sprzëtem w szkole są drewniane szafy, gdzie uczniowie składają książki i ubrania; stołów wcale niema, ani ławek; wszyscy tu siedzą społem po turecku i piszą na kolanach, trzymając na ziemi papier i książki.

Druga sala jest głównym uniwersytetem. Prze-

strzeń jest nadzwyczaj obszerna, oko gubi się wśród lasu kolumn, których przeszło 300 wspiera sufit, niestety, zbyt niski, przez co cała budowa niezgrabną się staje. Kolumny te zdają się być pozbierane z dawnych świątyń greckich i egipskich, bo każda z nich inny ma styl i inny nagłówek. Pod kolumnami uczniowie przechadzają się gromadnie lub siedzą schyleni nad księgami.

Gdyśmy weszli do sali, w jednym jej rogu ujrzeliśmy całe grono uczniów, zebranych wokoło jednego z szejków (nauczycieli), który wykladał głośno pewien ustęp Koranu.

Uczniowie wybierają tu sobie dowolnie nauczyciela, którego wykład najbardziej przypada im do serca i myśli. Ztąd formują się tu grupy rozmaite, jakby w starożytnych greckich szkołach wyższych.

Wejście nasze nie przerwało wykładu; starsi odwracali się od nas i spluwali, mrucząc między zębami niezbyt grzeczne epitety na gjaurów ¹⁾, młodszy zerkali na mnie ciekawie, bo też dziwnie wyglądać musiało zjawisko europejskiej strojnej kobiety w tym starożytnym przybytku wiedzy.

Ale przypatrzmy się bliżej grupie, przed nami zebranej. Sam nauczyciel, w pośrodku po turecku siedzący, to Arab krwi czystej, brunatny, o rysach wyrazistych, o twarzy kościstej, zapadłej; płaszcz czarny, lekki, jak togę na ramię zarzucił, a nad czołem ma turban barwisty. Przed nim na małym rzeźbionym postumencie leży księga święta; uczniowie zadają mu pytania, on odpowiada, tłumaczy i nawzajem pyta ich z powagą i spokojem, pewny swej wiedzy. Naprzeciw niego, na wpół leżąc, młode pachole chwyta chciwie słowa nauki, oczyma chciałoby ją wyssać z ust szejka. Twarz młodzieńca blada, bar-

¹⁾ Szkoła El-Azhar ma jeszcze wielu dawnych fanatyków muzułmańskich; teraz zaś ma mieć ciągłą styczność z Mahdim, więc wrogą jest Europejczykom.

wą swą przypominająca kość słoniową, i rysy nieco zaokrąglone, zdradzają w nim Turka. Obok niego silny, rosły jak palma murzyn, o ustach obwisłych, powtarza niby pacierz słowa szejka. Dalej znów starzec o włosach białych, z najeżoną brwią siwą, pochylił głowę na ręce i duma nad słowami nauczyciela. Strój jego bogaty i postać okazała, bo to sędzia Kairu, dygnitarz religijny; przybył on do El-Azhar, aby przypomnieć sobie dawne nauki i zarazem przekonać się o gorliwości uczniów i nauczycieli. Tuż koło nas pod kolumną stanął młody Pers, z okiem jak węgiel czarnem, w którym paliła się namiętność, jakby odbłask słońca Iranu.

Z pod jedwabnej, złotem tkanej kofii (chusty), którą zarzucił na głowę, wymykał się włos czarny, jak skrzydło kruka. Na ustach jednak młodzieńca igrał dziwny uśmiech ironii i niewiary, znać, że to uczeń zarażony trucizną nowszych pojęć; słuchał wykładu, jak gdyby bajki dzieciom samym opowiadanej.

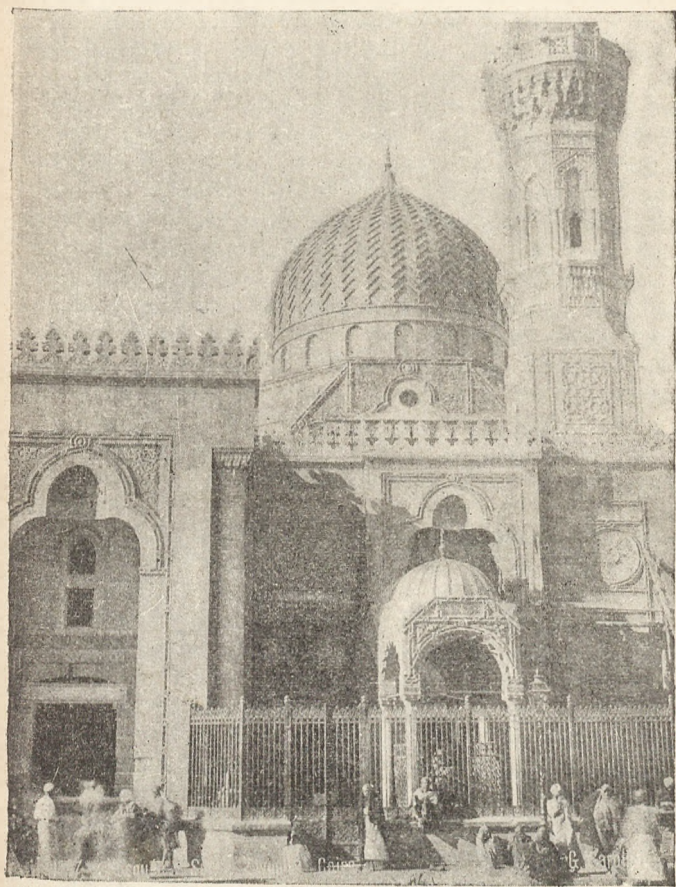
Podziwiać istotnie trzeba, jak młodzież, tak licznie tu zebrana, szanuje ten przybytek, jakby świątynię; uczniowie spędzają tu dnie całe i noce, a jednak mówiono mi, że nigdy nie dopuszczają się swawoli i że sami między sobą przestrzegają porządku. Liczba nauczycieli dochodzi do 400, a dawni uczniowie zostają często sami na szejków wybrani, przez co całe swe życie w El-Azhar spędzają. Prócz Koranu, uczą tu prawa, oczywiście opartego na przepisach proroka, dalej matematyki, retoryki, logiki, krasomówstwa etc. Wszystkie jednak nauki, udzielane według średniowiecznego systemu, nużą pamięć, nie rozwijając zupełnie myśli i samoistnego zdania. Toż i ta cywilizacya i oświata arabska, której ogniskiem była szkoła El-Azhar, pozostała zupełnie taką, jaką była przed wiekami.

Jako zabytek i wspomnienie średnich wieków pozostały na Wschodzie stowarzyszenia Derwiszów (darauisz). Należą oni do sekty mistyków (sufi), a wiara ich, jakkolwiek zgodna z Koranem, zbliża się jednak wiele do indyjskiego panteizmu. Bóstwo znajduje się wszędzie, w całej naturze, w każdym tworze—mówią oni—każda istota ma w sobie część istoty Bożej i może zlać się w jedność z bóstwem, jeśli przyjmie w siebie światło Boże, jak węgiel ogień przyjmuje. Zlanie się ducha naszego w jedność z duchem Bożym jest celem naszego życia, a cel ten osiągnąć możemy tylko przez pogardę wszystkiego, co ziemskie, cielesne, i przez upojenie się myślą o Bogu.

Derwisze są to jakby nasi zakonnicy różnych reguł i przepisów, tylko, że nie wiodą oni życia klasztornego, gdyż prorok potępił klasztory i celibat, jako wymysł chrześcian.

Schodzą się oni tylko od czasu do czasu w swoich klasztorach, tak zwanych „tekkich,” na wspólne modlitwy i obrzędy mistyczne, zwane „zikr.” Zresztą mieszkają po swych domostwach, mają rodziny, trudnią się rzemiosłem lub handlem, wybierają jednak zwykle zawód spokojny, który nie przeszkadza ich rozpamiętywaniom i modlitwom.

Jedną tylko sekta derwiszów żebrzących, „fakirów,” żyje z miłosierdzia ludu. Tym nie wolno posiadać żadnej własności; noce spędzają oni w starych grobowcach lub moszeach; we dnie przeciągają przez ulice, ubrani w łachmany różnobarwne, z laskami długimi, żebrząc i modląc się. W dnie świąteczne i przy uroczystościach odbywają oni swe zikry w najdziwniejszy sposób: krwawią piersi mieczami, żują szkło, zębami rozrywają żywe węże i skorpiony, aby okazać tym sposobem pogardę bólu i uczuć cielesnych. Lud okazuje im cześć szczególną, równie jak i santonom, to jest obłąkanym, którym przypisuje moc



Meczety Saidy Zeinab.

cudotwórczą, twierdząc, że dusze ich już za życia zamieszkały w niebie.

Dwie są najgłówniejsze sekty derwiszów: derwisze wirujący i derwisze wyjący, czyli śpiewający.

Derwisze wirujący zbierają się w Kairze w moszei El-Akabar. Stara to budowa, wcale nieszczególnie piękna. W pośrodku okrągłej sali znajduje się szerokie, ogrodzone miejsce, a w niem zbiera się 30 do 40 derwiszów równego wieku. Na czele szejik daje znak do obrzędów, ale nie bierze w nich czynnego udziału. Derwisze ubrani są w długie płaszcze kolorowe i wysokie czapki filcowe, podobne kształtem do wywróconych wazoników na kwiaty. Najpierw chwil kilka siedzą oni na ziemi, pogrążeni w głębokiem dumaniu. Muzyka, na chórze umieszczona, a złożona z kilku fletów i bębenków, gra najpierw ciche, monotonne, potem coraz dziksze melodye. Na znak, dany przez szejika, derwisze zrywają się nagle i skrzyżowawszy ręce na piersiach, oczy w ziemię wlepiając, przechodzą trzy razy w koło zagrodzonego miejsca, każdym razem ukłon oddając przed kiblą i przed szejikiem.

Wtem nagle psalm na chórze śpiewany przerywa krzyk przeraźliwy, jakby zachwytu, czy przerażenia. Derwisze nagłym ruchem zrzucają płaszcze z ramion, rozkrzyżowują ręce poziomo i zaczynają wirować z początku powoli, potem coraz szybciej, okręcając się w koło siebie, w koło świątyni. Ręka prawa, zwrócona dłonią ku niebu, oznacza przyjęcie z góry bożego światła i tchnienia, lewa, na dół dłonią obrócona na znak pogardy dla wszystkiego, co ziemskie. Ubiór ich składa się z kaftanika krótkiego o szerokich rękawach i z fałdzistej spódnicy, u której dołu przyszyte są ciężarki, aby się w tańcu nie plątała. Głowy ich na dół opadają ze znużenia, oczy przymknięte, z ust piana się toczy, a taniec coraz szybszy, szalony, unosi ich, porywa; wiram tym i sza-

tem chcą oni przedstawić upojenie ducha, zlanie się z tem bóstwem, które nas w siebie kiedyś pochłonie.

Taniec ten trwa często i godzinę. Upojeni, zdyszani, nieprzytomni, jedni z nich upadają zemdleni, drudzy silniejsi, kończą zikr trzykrotnym okrzykiem: Hu! to jest On, czyli Bóg!

O wiele więcej przykrym jest widok obrzędów u derwiszów wyjących (herleurs). Ich tekkich (klastor) znajduje się za miastem, przy drodze do Fostat. Ściany sali pokryte są napisami z Koranu, dookoła ścian zawieszono są noże, miecze, bicz i narzędzia tortury.

Mogę jednak zapewnić zbyt nerwowych czytelników, że te barbarzyńskie przyrządy dziś tylko dla ozdoby wiszą i bardzo zdają się zardzewiałe, więc pewno nie często są używane, bo też fanatyzm słabnie z dniem każdym. Cały nawet obrzęd bardziej na komedię dziś zakrawa; wkoło sali przygotowane są całe rzędy krzesel dla turystów, którzy się tu licznie w dzień zikru zbierają. Przed zaczęciem obrzędu usiedliśmy w podwórzu przed świątynią, w cieniu palm i sykomor, a szejik kazał nam podać kawę i cygareta.

Dopiero na hasło, dane przez szejika, kilkudziesięciu derwiszów weszło do świątyni; podążyliśmy za nimi. Ubiór ich składał się ze zwykłej długiej sukni arabskiej pasem związanej i płaszcz szerokiego. Z pod turbanów wymykały się włosy ich długie, jak u kobiet.

Obrzędy zaczynają się podobnie jak u derwiszów wirujących, tylko modlitwa ich coraz staje się głośniejszą, ciała kołyszą się w tył, wprzód coraz gwałtowniej, a imię Allaha jak gdyby ryk powtarzany słyhać. Muzyka coraz szybszy rytm przybiera, coraz dziksze dźwięki. Następuje druga część zikru: szal, upojenie. Derwisze zrywają się; płaszcze opadają z ich ramion, turbany z ich skroni; stojąc, całem ciałem chylą się oni wprzód i wstecz, długie

włosy zamiatają ziemię, zdyszane piersi powtarzają krzyk szalony, wycie straszne: Hu! hu. W końcu, ciała ich i głowy migają tylko w powietrzu z taką szybkością, że nam patrzącym w oczach się ćmiło.

Okropny to widok, szczególnie gdy w gronie tych szaleńców znajdują się starcy, których włosy białe, potem złane, dotykają kamieni; z nozdrzy ich krew bucha, piersi zdają się pękać od krzyku i zdyszenia.

Nakoniec kilku z nich pada w konwulsjach i omdleniu: to szczęśliwi!.. których dusze w tej chwili z duchem Bożym się łączą.

Pozostali kłaniają się przed kiblą i przed szeikiem (który przez cały czas spokojnie odmawiał modlitwy) i najobojętniej w świecie wkładają swe turbany i płaszcze, jak aktorzy po skończonem przedstawieniu. Jeden z najzapaleńszych derwiszów, który przed chwilą zdawał mi się obłąkany, rozszałały fanatyzmem, teraz zbliżył się do nas z uśmiechem, prosząc o bakszysz, to jest datek. Byłam tak zdziwioną, że zamiast mu dać kilka piastrów, patrzyłam na niego, nie wierząc oczom moim, iż to tensam człowiek, który przed chwilą szalał i ryczał. Tłómaczono mi, że ludzie ci tak już przywykli do swych obrzędów, iż ani fizycznie, ani moralnie ich to nie nuży; tylko starcy i nowoprzyjęci derwisze ulegają zmęczeniu i wpadają w chwilowe omdlenie, z którego jednak budzą się zdrowi.

W chwili jednak gdyśmy opuszczali moszeę, ze szczytu minaretu dał się słyszeć głos muezzina, śpiewającego modlitwę, zwaną „asr,“ to jest przedwieczną (na dwie godziny przed zachodem słońca). „Świadczę Bogu jedynemu, śpiewam chwałę Najwyższego, którego potęgą źródła wody żywej w kamieniu zbudził, który stworzył wszystkie istoty, zliczył je i los im wyznaczył i t. d. Chwalcie imię Jego!”

O ileż silniejsze uczucia wiary budziły te słowa tak proste, od owych w pół dzikich fanatycznych

obrzędów, na które przed chwilą patrzyłam. Tak i najwznioślejsza, najpiękniejsza idea w umyśle ludzkim urość może w potworną hydrę, jeśli ją do przesady, do szaleństwa posuwamy. Fanatyzm religijny zamiast cnoty niejedną zbrodnię już spłodził i każda inna idea, gdy w szal przechodzi i bluźni rozsądkowi, to zamiast podziwu litość budzi, zamiast siły rodzi niemoc, zamiast życia śmierć sieje, i jak gdyby płomień, co rozerwie zapory, nie światło i ciepło, ale zniszczenie przynosi!

ROZDZIAŁ VI.

Kobieta na Wschodzie.

Odaliska haremu!... tajemnicza piękność, jak cenna perła przed okiem ciekawem ukryta... Jej obowiązkiem i zadaniem: *żyć i być piękną!*

Dla niej poeta stroi swą lutnię, malarz tworzy jej obraz — arcydzieło rozbujającej wyobraźni. O jej wdziękach śni i marzy mieszkaniec północy i zachodu...

A jednak dziś, gdy hasłem świata praca i czyn, gdy społeczeństwo woła na kobietę: bądź człowiekiem—kobieta haremu, to cacko kosztowne a nieużyteczne, skazana na życie próżniacze i bezmyślne w murach swego więzienia, zniżona do rzędu niewolnic, staje się najgłówniejszą przeszkodą do rozwoju tak towarzyskiego, jak i ekonomicznego na Wschodzie.

Wiemy dobrze, jak ważnym czynnikiem jest dziś w naszych społecznych stosunkach skrzętna praca kobiety, jak dodatnim bywa wpływ jej moralny na rodzinę i towarzystwo; kobieta muzułmańska

trawiać życie beczynnje ¹⁾ jest, rzeczby można, tylko ozdobnym sprzętem swego domostwa.

Nie mając żadnej ze światem styczności, nie zna ona ani warunków właściwych życia, ani wartości pracy lub pieniędzy; nie pyta, co, ile kosztować może, lub jak się nabywa, gdyż zarządem domu zajmuje się tak zwany „sufradzi“, t. j. rządca, najczęściej „kisslar-aga“, przewodca eunuchów, z całą zgrają podwładnych mu murzynów. Zastęp tychże werbowany bywa potajemnie z granic Sudanu z Abisynii, a ponieważ towar ten tem dziś cenniejszy, im trudniejszy do nabycia, mamy więc w Egipcie wielu baszów i bejów, którzy i swe majątki i tytuły zawdzięczają temu handlowi. Dzsiejszy khedyw stara się usilnie o przytłumienie handlu niewolnikami, chociaż sam we własnym haremie utrzymuje liczne grono niewolnic, a u bram jego pałacu czuwa cały zastęp strażników haremu. Matka zaś khedywa, żona zmarłego Tewfika, chwaliła się przedemną pewnego razu z całą naiwnością, iż udało jej się nabyć dwie młode niewolnice, Czerkieski ²⁾, które przeznacza jako podarek dla syna, gdy tenże powróci ze szkół wiedeńskich.

Dopóki istnieć będą haremy, dopóty i handel niewolnikami istnieć musi; ustanie on dopiero z zupełną reformą uświęconego przez Islam zwyczaju trzymania kobiet pod strażą.

Zwyczaj ten (musze to na pochwałę proroka powiedzieć) nie został utworzonym, ale uprawnionym tylko przez Mahometa, gdyż harem jest zabytkiem

¹⁾ Bogatszy muzułmanin uważałby za ubliżenie swej godności, gdyby żona jego zmuszoną była zająć się czemkolwiek; jeden z Beduinów opowiadał nam, iż obit żonę, zastawszy ją gotującą wieszerzę. „Na to mam służebnice“ — dodał z dumą. „Czem więc zajmuje się twoja żona po całych dniach?—pytałam dalej. „Bawi się paciorkami, patrzy w lustro i czeka mego przybycia.“

²⁾ Jedna z nich jest dzisiejszą khedywą.

dawno minionych stuleci, spuścizną po rozwiązłych królach Assyrii i Etyopii. Nie istniał on w starożytnym Egipcie, przeciwnie, na posągach i płaskorzeźbach widzimy żony przedstawione obok mężów, dzielące ich godności i zaszczyty. Dopiero w późniejszej Tebaickiej epoce spostrzegamy gdzieś na płaskorzeźbach kobiety, igrające i pracujące pod strażą eunuchów. Obyczaj ten został więc wprowadzony bądź pod wpływem napływających z Azji ludów, bądź pod przewagą uderzających raz po raz o granice Egiptu. Etyopów.

Ale przypatrzmy się bliżej życiu kobiet po za murami dzisiejszych haremów; spędziwszy lat 16 na Wschodzie, a 8 w samym Kairze—miałam sposobność zapoznać się z nimi dokładnie.

Jeśli zwiedzając stolicę wielką Kaufow, minie my modne europejskie bulwary, pełne ruchu i gwaru ulice i przeludnione arabskie bazy, a zabłądzi my w ciche, osłonięte ogrodami, boczne dzielnice miasta, napotkamy tu i owdzie olbrzymie mury obszernych zabudowań i gmachów; gdzieś na balkoniki i okna, przysłonięte rzeźbionymi misternie kratami, ukazują się z po za palm i szerokolistnych bananów. U murów bramy żelazne, zamknięte, tajemnicze, strzeżone przez zgraje murzynów o twarzach bezmyślnych, o policzkach obwisłych i potwornych często kształtach. To strażnicy tych murów, za którymi bogaci murułmanie kryją swe „haremliki,” t. j. przybytki szczęścia.

Któż z nas, czytając poetyczne opisy Wschodu, nie utworzył sobie w wyobraźni uroczego obrazu takiego haremu? Wśród kosztownych tkanin i wzorzystych kobierców, w komnatach, błyszczących zbytkiem, w półświecie lamp różnobarwnych i jedwabnych zasłon, kobiety, pełne powabu i wdzięku, śmieją się życia rozkoszą, jak czarodziejki tych zaklętych gmachów.

Jakże inaczej jednak przedstawia się nam ten

obraz, gdy uchylimy owe złotem tkane zasłony i zajrzymy po za kraty tych ozdobnych klatek.

Dość spojrzeć na znudzone, przed czasem zwiędłe, wybladłe twarze tych kobiet, aby się przekonać, jak smutne i ciężkie wiodą one życie po za temi murami, które często 200 lub 300 niewolnic kryją przed okiem innych świata mieszkańców.

Jak wspomniałam powyżej, niewola, zniesiona pozornie jeszcze za czasów Imaila-baszy, istnieje w rzeczywistości w całej pełni.

Cóż zresztą począć z tylu kobietami, które do ciężkiej pracy, ani do stosunków świata nie nawykły? Zdarzało się więc, że te nawet, którym się udało umknąć z pałaców, po nieudanej próbie użycia swobody powracały dobrowolnie do haremów, pomimo trwogi przed strasznemi karami, jakie je tam czekały; albo odbierały sobie życie, nie znajdując przytułku, gdyż żaden muzułmanin zbiegłej niewolnicy w dom swój nie przyjmie z obawy zemsty jej pana. Dlatego też najpożyteczniejszą instytucją, jaką wprowadzili nowi uzurpatorowie Egiptu, Anglicy, jest niezaprzeczenie dom przytułku dla zbiegłych niewolników i niewolnic, którym dają nietylko utrzymanie, ale zajęcie, ucząc kobiety szycia i służby, męczyzn rolnictwa i rzemiosł.

Według przepisów Koranu, przysługuje każdemu muzułmaninowi prawo posiadania 4 żon; dzisiejsi jednak muzułmanie rzadko z tego przywileju korzystają, bo też i małżonki ich kładą zwykle za warunek przy ugodach ślubnych, iż mężowie tylko w razie rozwodu inne żony pojmować mogą. Znać tu już wpływ europejskich idei, które krok za krokiem, nawet za te niedostępne mury haremów, wkradać się zaczynają.

Nowość ta nie zmieniła bynajmniej podrzędnego, przykrego stanowiska kobiety, wobec zgrai nienawidzących jej najczęściej niewolnic i podłych barbarzyńskich strażników, którzy mają wstęp do ich komnat

o każdej porze, a czyhają na każdy ruch jej, na każde spojrzenie, aby ją oskarżyć przed mężem i panem, lub też użyć za narzędzie zemsty nad tym panem, jeśli do tego najmniej mają powód.

Kobieta haremowa nie zna wprawdzie troski o byt codzienny, nie pyta o jutro, ale to jutro przynosi jej tylko czczość i nudę; otoczona intrygami, nie śmie ruszyć się krokiem bez swych nieodstępnych strażników. Dnie całe spędza beczynn timer, czekając tylko, czy też chwilowy kaprys nie przywiedzie w jej progi małżonka, który zupełnie oddzielnie żyje, gdyż dawny obyczaj nie pozwala muzułmaninowi nawet jadać w towarzystwie kobiet, a najuboższy fellah wstydziłby się przechadzać po ulicy z żoną.

Nikt też niech się nie waży pytać muzułmanina o żonę, o jej zdrowie i powodzenie; można pytać o wielbłąda, o konia, o dzieci, ale pytać o żonę lub niewolnicę — byłoby uważane za najwyższą nietaktowność.

Bogatszy muzułmanin jest tylko chwilowym gościem w tym haremie, na który przeznacz a według możliwości gmach osobny, albo oddzielną część domu. Ubogi Arab oddziela jedną część izby lub chaty zasłonami i kilimkami i stawia u wejścia parę pantofelków, na znak, że za tą zasłoną znajdują się kobiety, więc gościowi wstęp tam wzbroniony.

Beduin przeznacz a na to część namiotu, ścielnie zasłoni oną, nikomu nie wolno zajrzeć za te zasłony, które to prawo ułatwia, jak mi mówiono, niezmiernie handel niewolnikami, upajanie się haszyszem i inne policyjne karane przestępstwa, gdyż według praw Koranu, nawet władze policyjne zatrzymać się muszą przed tą parą pantofelków, zagrządzając wejście do „przybytku szczęścia“.

Każdy zresztą Arab, choćby i mniej zamożny, stroi ten swój przybytek szczęścia we wszystko, co posiada kosztownego, i utrzymuje w nim, o ile go stać na to, kilka lub kilkanaście niewolnic. Nie-

wolnice te podzielone są na klasy i rozmaite mają rangi. Najpierwszą rangę zajmują te, które przeznaczone są do usługi pana domu. W bogatych haremach mają one osobne komnaty, a jeśli która ma z nich to szczęście, iż zostanie matką syna, wtedy przestaje nazywać się niewolnicą i rozmaitych dostępuje zaszczytów; wobec małżonki jednak prawe stanowisko takiej faworyty jest zawsze podrzędne, nie śmie ona usiąść w obecności pani lub pań¹⁾ domu i musi słuchać ich rozkazów z założonemi na piersiach rękami i z oczami pokornie spuszczonemi. Dziecię jej tylko uważane być musi na równi z dziećmi żon prawych, a te mają obowiązek macierzyńską otaczać je czułością.

Drugą rangę zajmują w haremie służebnice pani domu; te nie mają wcale wstępu do komnat pana, a jeśli która widzi go przechodzącego, obowiązkiem jej jest spuścić głowę i nie postąpić krokiem, aż pan domu przejdzie koło niej.

Każda z tych niewolnic ma osobne powierzone sobie zajęcie; jedna pilnuje klejnotów, czyści je i ubiera w nie swoją panię; druga ma dozór nad sukniemi; trzecia przyrządza tytoń, nakłada fajki i robi cygarety; każda zaś ma dodane sobie podwładne, czarne niewolnice, które w haremach najniższe posługi spełniają. W haremach egipskich książąt każde z dzieci ma swe niewolnice osobne, swój dwór niejako, a nikt w pałacu nie ośmieliłby się wydać najmniejszego rozkazu, nawet przyniesienia szklanki wody tej niewolnicy, która do tego nie jest przeznaczoną.

Starsze i zaufane służebnice zostają z czasem dozorczyniami (kalfasami), a przełożona nad całem gronem niewolnic, główna zarządczyni domu, nosi nazwę „kjahia“. W nagrodę wiernej służby dostają

¹⁾ Muzułmanin, jak wspomniałam, ma prawo mieć cztery prawnie poślubione żony — między sobą nazywają się one siostrami.

niektóre niewolnice osobne w podwórzach haremowych pomieszkanie, a czasem i małżonka, którego im pan domu sam ze swej służby wybiera. Kobiety te pozostają jednak zawsze na służbie w haremie i na każde zawołanie przybyć muszą; większa część zaś niewolnic nie opuszcza nigdy więziennych murów pałacu i nie wychodzi krokiem po za obręb ogrodów haremowych. Czasami tylko zdarza się, że która z nich, wybrana, towarzyszy swej pani na przechadzkę pod strażą eunuchów i w ciężkich zasłonach.

Łatwo pojąć, jakich to kosztów wymaga utrzymanie takich haremów, tembardziej, że marnotrawstwo, nieogłędność i nieład w nich panują, to też wobec zmienionych dziś stosunków, wygórowanych potrzeb i wymagań, a zniżonej wartości pieniędzy, wszystkim prawie majątkom baszów i bejów grozi ruina, a dzisiejsze odaliski haremów pozwalają sobie na rozmaite wybryki i naśladować zbytkowne wymysły europejskich kobiet, przepelniając komnaty haremowe kosztownymi fraszkami i cackami europejskimi, wtrącają swych małżonków w przepaść—długów.

Znałam w Kairze księżną, która pragnąc na wzór Angielek używać konnej jazdy w obrębie swych ogrodów, sprowadziła z Paryża od Wortha 12 amazozonek; inna znów winna była fotografom kairskim 60,000 fr. za fotografie, to też fotografie stały się manią w haremach egipskich, a odaliski fotografują się w rozmaitych możliwych i niemożliwych pozach. Wprawdzie fotograf sam wstępu do haremów niema, zdjęcia więc robi żona lub córka fotografa, związana naprzód przysięgą, że nikt tych zajmujących obrazków widzieć nie będzie. Nie zawsze przysięga tu dotrzymywaną bywa; zdarzyło się więc, że jednemu z kairskich baszów przysłano anonim i fotografię żony jego w stroju mitologicznej nimfy.

Dzisiejsi muzułmanie egipscy nie są już jednak tak surowi w swych pojęciach, aby karać śmiercią podobne wybryki. Szepcą po arabsku: „Malesz”

(to zn.: nic nie szkodzi) i umizgają się ze swej strony do kobiet europejskich.

Zanim zapoznam czytelników moich z temi emancypantkami muzułmańskimi, zajrzemy pierwiej do tych haremów, w których starożytny obyczaj, o jakim wyżej wspomniałam, po dziś dzień panuje.

Jednym z najbardziej zajmujących haremów, które zwiedzałam w Egipcie, był harem matki ex-khedywa, Imaila baszy, ostatniej żony dzikiego satriapy Ibrahima.

Zmarła przed kilkoma laty staruszka do końca życia królewskim otaczała się przepychem. Największy z pałaców „Kasz-Ani”—oddano jej na mieszkanie, pięćset niewolnic słuchało jej rozkazów, a zabudowania, pałac otaczające, zajmują obszar kilku kilometrów. Trzy podwórza oddzielają pałac od ulicy: w pierwszym są zabudowania dla strażników, w drugim mieszczą się czarne niewolnice, w trzecim dopiero, wśród wspaniałych krzewów, kiosków, wodotrysków, po ścieżkach, marmurem wykładanych, snują się w fantastycznych ubiorach, jakby milczące cienie, mieszkanki haremu.

Pałac sam, jako budynek, nie jest zewnątrz ozdobny, gdyż dawnym obyczajem w Egipcie nie zdobiono zewnątrz gmachów, aby nie budzić chciwości uzurpatorów i zawiści samych władców satripów. Jak większa część haremów, pomalowany jest na kolor różowy, który u muzułmanów uważany bywa za kolor szczęścia. (Gdy kazałam pewnego razu pomalować drzwi mojej sypialni w Kairze, malarz Arab pomalował je jaskrawą różową farbą, utrzymując, że drzwi, wiodące do haremliku konsula, muszą być kolorem szczęścia ozdobione).

Gdy przybyłam do pałacu księżnej Ibrahim, dwaj murzyni porwali mnie z powozu i wnieśli raczej, niż wprowadzili, do obszernego przedsionka, ozdobionego wodotryskiem, nad którym kołysały się kolorowe lampy, a dalej, przez szerokie schody do

przepysznej, wielkiej sali, której licznie zebrane niewolnice czekały już mego przybycia. Te ujęły mnie znów pod ramiona i w milczeniu wiodły dalej przez długi szereg salonów. Wszędzie bogate perskie makiety pokrywają ściany; u drzwi jedwabne portyery, złotym haftem tkane, na posadzkach marmurowych puszyste i barwne dywany, a po rogach komnat olbrzymie świeczniki z weneckiego kryształu i kadzielnice złote, w które niewolnice rzucały wonne kadzidła, zapewne na cześć moją.

Mebli w tych salonach mało—wzdłuż ścian wi-dać tylko niskie, długie kanapy t. zw. „mendziry,” przykryte kosztownymi tkaninami, przy nich w półkole, ułożone na dywanach, haftowane poduszki zastępują nasze taburety i fotele; gdzieś stoliki, wykładane perłową masą i kością słoniową.

Szaf lub innych pożytecznych sprzętów nie spotyka się w haremach; zastępują je misternie rzeźbione, lub w szafach ukryte półeczki, albo skrzynie ozdobne.

Księżna przyjęła mnie nadzwyczaj gościnnie; będąc cierpiącą, kazała przenieść się ze swej sypialni do „selahmliku,” t. j. głównego salonu i przywitała mnie, dotykając trzy razy mojej dłoni, starym obyczajem muzułmanów, którzy po trzykroć pozdrawiają, mówiąc: „dla ciebie, dla twego ojca lub męża, dla twej rodziny.”

Rozmowa toczyła się w języku tureckim, a lektorka księżnej służyła za tłumacza. Niewolnice długim rzędem stały wzdłuż ścian, nieruchome jak posagi; niektóre z nich ubrane były w długie, arabskie suknie, przepięte złotymi paskami; inne miały wpół-europejskie stroje, a na głowach modne czapeczki lub sztuczne kwiaty, w czem, szczególniej murzynki, pocieszenie wyglądały. Dwie niewolnice stały ciągle przy księżnej, oczekując jej skinienia; dwie inne ustawiono koło mnie, aby wielkimi wachlarzami z piór pawich powiewały ustawicznie nad moją głową, co

rozdrażniało do najwyższego stopnia moje nerwy, nienawykłe do tego hołdu.

Sama księżna miała na sobie strój turecki; na szerokie jedwabne szarawary spadała tiunika także jedwabna, haftowana, szarą spiętą. Na głowie kołpak, wyszyty złotem, powiązany był białą gazą, która okalała twarz i brodę, jak rańtuchy naszych wieśniaczków.

Rozmowa moja z księżną nie była zbyt ożywiona; polegała raczej na wymianie obopólnych grzeczności. Księżna wspomniała z żalem o synie swym, ukochanym Ismailu, i przedstawiła mi jakąś niezbyt młodą blondynkę, podobno jedną z emerytowanych żon Izmaila ¹⁾.

Uskarżając się na reumatyzm, zaręczała mi księżna, że cierpienia tego, równie jak mgły, nie znano pierwsi w Egipcie i że przywieźli je z sobą ze swej uroczystej ojczyzny Anglicy, *ces gens, que je ne veux pas nommer*.

Wypytywała mnie także z ciekawością, jakiej jestem narodowości; trudno to było wytłómaczyć, gdyż muzułmanki o geografii bardzo niedokładne mają pojęcie. Wreszcie lektorka księżnej, Francuska, wyjaśniła kwestyę, że ze Stambułu trzy dni na północ jechać trzeba, aby dojechać do Lechii, to jest do Polski.

Po dość długiej rozmowie wniosły niewolnice kawę czarną w małych kubkach, tkwiących w złotej, brylantami ozdobionej oprawie; inne znów podały fajki o olbrzymich, przerażająco długich cybuchach. Wielkie bursztyny tkwiły w oprawie z drogich kamieni, a przed każdą z nas uklęka niewolnica, trzymająca tacę na popiół.

Przyjmując kubek kawy, ukloniłam się księżnej

¹⁾ Khedyw Izmail miał 32 żony, prócz licznego zastępu niewolnic.

sposobem tureckim, przykładając rękę do ust i czoła i wyrecytowałam wyuczoną już pierwszej formułkę: „Allah niechaj pomnoży dostatki w domu twoim“ — na co księżna również uprzejmie odpowiedziała: — „Z tobą, o gościu mój, weszło już szczęście do domu mego.“

Pomiędzy niewolnicami księżnej dostrzegłam wiele młodych i pięknych kobiet; mówiono mi, że pochodzą one po większej części z Syrii, Georgii, Tawuydy, dziećmi jeszcze przez podłych handlarzy do haremów sprzedane.

Poszukiwane są także Abisynki z powodu łagodnego charakteru i pięknych kształtów.

Niewola w haremie księżnej Ibrahim miała być nadzwyczaj ciężką; ponure sceny opowiadają o jej okrucieństwach; fale Nilu, pod oknami pałacu płynące, często podobno w dawnych latach unosiły ciała zamordowanych, umęczonych ofiar, a gdy pewnego razu jeden z kuzynów ¹⁾ księżnej poważał się pochwalić ręce usługującej mu niewolnicy, księżna rozkazała nazajutrz uciąć jej obie ręce i... ugotować.

Nie chciałam wierzyć tak potwornej zbrodni, gdy jednak wyraziłam oburzenie moje jednej z dam haremowych, odpowiedziała mi nadspokojniej: *Ce sont des esclaves, leur vie nous appartient.*

Przekonałam się zaś, że w opowiadaniu o tych okrucieństwach musiało być wiele prawdy, gdyż w lat kilka później, będąc przytomną pogrzebowi księżnej, słyszałam złorzeczenia i przekleństwa ludu, towarzyszące zmarłej aż do grobu, pomimo darów, zwyczajem arabskim, hojnie między lud rozdawanych.

Inne już nieco pojęcia o niewoli spotykamy u młodszej generacji muzułmanek, wychowanej przez francuskie i angielskie guwernantki, nie zawsze je-

¹⁾ Krewni bliży, do 3-ej linii, mają wstęp do haremu.

dnak szczęśliwie dobrane, a napływające dziś tłumnie do haremów. Są to, niestety, po większej części kobiety chciwe zysku, schlebające kaprysom swych uczenic i wyzyskujące ich nieznajomość świata. To też powierzchowne i niedokładne wykształcenie, jakie nadają młodym muzułmankom, niewiele szczęścia przyniosło tym więzionym kobietom; przeciwnie, rozbudza ono wyobraźnię, podnieca myśl, a nie daje tego zadowolenia, tego spokoju, jakie w naszych stosunkach towarzyskich szersza wiedza i praca nad sobą wyrobić mogą w kobiecie.

Wychowaniu młodej muzułmanki brak najgłówniejszych podstaw: brak wiary, gdyż sam prorok nie żąda od kobiety wypełniania przepisów religijnych i zabrania jej tak wstępu do meczetu, jak i czytania Koranu — brak poczucia obowiązku i godności osobistej, bo czyż podobna wpoić je w duszę kobiety niewolnicy, strzeżonej przez eunuchów i nienawidzącej tych węzłów, jakimi ją spętał dawny obyczaj? Dzisiejsza muzułmanka, nabywszy trochę wiedzy, nasłuchawszy się o mniemanej swobodzie kobiet europejskich, przeczytawszy kilkadziesiąt romansów francuskich, których stosy widziałam w haremach, tem boleśniej odczuwa swe podrzędne towarzyskie stanowisko.

Wiele też przyczynił się do złego nowy obyczaj, iż bogaci baszowie mają w teatrze kairskim łoże dla swych pań haremowych. Łoże te osłaniane są kratami i koronkowemi firankami, tak, że tylko oczy i brylanty księżniczek błyszczą ponętnie z po za nich. Czy jednak pożytecznie jest dla nich patrzeć na takie widowiska jak „Fru-fru“, „Niniche“ i t. p., to wielkie pytanie.

W niektórych haremach istnieje dziś zwyczaj, iż młode dziewczęta (lat 10) wysyłane bywają do europejskich instytutów na wychowanie. Z jak ciężkiem sercem wracają one potem w progi haremów, aby w latach 14 lub 15 przywdziać „jasznak“, t. j.

muślinową zasłone, jak nieszczęśliwe czują się w otoczeniu bezmyślnych kobiet wschodnich—pojąć łatwo.

Gdy poznawszy śliczną córkę Szeryfa-baszy, która lat 4 przebyła w jednym z zakładów paryzkich, spytałam ją, dlaczego nie wychodzi za mąż, odpowiedziała mi ze łzami w oczach:—„Ojciec był dotychczas tak dobry, że nie zmuszał mnie do zamęścia, a wolę być niewolnicą ojca, którego kocham, niż niewolnicą obcego mi pana, którego może nienawidzieć będę.“

Jak zgubne są skutki owej półcywilizacji, przekonaliśmy się w Kairze przy zgonie księżnej Mansur, siostry byłego khedywa, która zrujnowawszy mienie i zdrowie na wybryki swej rozbudzonej fantazyi, padła w końcu ofiarą grasującej dziś w haremach morfinomanii.

Była to jedna z najsprytniejszych muzułmanek, które poznałam w Kairze; znając dobrze język francuski, równie jak włoski i angielski, pochłaniała setki lekko pisanych i najgorzej dobranych książek, których najjaskrawsze ustępy często nam wygłaszała.

Miała też najdziwniejsze pojęcia o zlem i do-brem; z najwyższem oburzeniem opowiadała mi, że u nas w Europie kobiety tak są bezwstydne, iż przy świadkach całują swych mężów. W oczach muzułmanki, przywykłej od dziecka do odczuwania uczuć, ten ich objaw większą był zbrodnią, niż zdrada zręcznie ukryta.

Gdym ją raz przekonać chciała, że i w Europie kobieta niewolnicą jest obowiązków społecznych i domowych, krzyknęła z rozpaczą:—„Jesteście wolne, możecie czuć i myśleć!“—i jak rozjuszone zwierzę jęła biegać wzdłuż i wszerz po salonie. Przestraszony eunuch podał jej etui z cygaretami, w których, jak mi mówiono, była silna przymieszka opium, a które księżna nieustannie paliła.

Wyjątkiem pomiędzy zdemoralizowanemi młodemi muzułmankami była za moich czasów sama



Derwisze wirujący.

wicekrólowa, żona Tewfika-baszy, matki dzisiejszego khedywa. Umie ona połączyć postępowe idee z dawnymi obyczajami haremowymi; harem, w którym przebywa, nie czyni wrażenia więziennych murów, a niewolnice otrzymują pewną małą płacę.

Wicekrólowa była jedyną żoną zmarłego khedywa, który, idąc za wzorem europejskich małżonków, poddawał się chętnie pod pantofelek swej pani, słynnej z wdzięku i wrodzonego sprytu.

Ponieważ mnie, jako żonie konsula, przypadał obowiązek przedstawiania u dworu dam z Austrii przybywających ¹⁾, byłam więc częstym gościem w pałacu Abdin, którego jedno skrzydło, na zupełnie oddzielne podwórze wychodzące, zajmuje harem khedywa.

Wicekrólowa przyjmowała każdej soboty europejskie, każdego piątku arabskie damy, a między jednym i drugim przyjęciem była tylko ta różnica, że my witaliśmy wicekrólową zwykłym ręki podaniem, Arabki zaś przyklękają i całują kraj sukni, powtarzając po sto razy ukłony ręką do piersi od ust i czoła t. zw. „Salahm.“

Khedywowa mówi dość biegle po francusku i posiada wiele sprytu i taktu; sympatya jednak skłania się ku Francyi, gdyż razi ją często nieogłędność pań angielskich.

Podczas jednej z wizyt mych w pałacu zajęchało nagle przed harem ze 30 powozów, napelnionych Angielkami i Amerykankami, które żona posła angielskiego, Barynga, wprowadziła do salonu i po kolei przedstawiać poczęła. Biedna khedywowa, stojąc podawała rękę każdej z pań, ale prezentacya trwała z kwadrans, więc znużona wreszcie usiadła,

¹⁾ Z Polek, do Kairu przybyłych, przedstawiłam wicekrólowej: księżnę Andrzejoyą Lubomirską, ks. Radziwiłłową, hrabinę Sobańską, Drohojewską i innych kilka dam naszych.

a nie umiejac po angielsku, nie wiedziala od czego zaczac rozmowe. Po odejsciu tej calaj armii sztywnych „miss“ i „ladies,“ wicekrolowa odezwała się do mnie:

— „Elles vienneut me voir comme ou regarde un oiseau dans sa cage.“

W balach dworskich wicekrolowa udzialu nie bierze, wolno jej tylko patrzec przez zakratowane okna haremu, wychodzace na palac, jak się bawia kobiety europejskie, jak blyszczą strojem i wdziękiem, jak flirtują z egipskimi baszami i bejami; biedne zaś żony tych ostatnich nie mogą nawet mieć satysfakcyi natarcia uszu swym małżonkom za tę winę, bo srogie prawa haremu mężczyznom zupełną zapewniają swobode.

W ostatnim roku pobytu mego w Kairze uczyniono dla wicekrolowej pewne ustępstwo: w czasie balu jeden z adjutantów khedywa oznajmił wszystkim paniom z kola dyplomatycznego, iż wicekrolowa oczekuje ich wizyty. Przeprowadzono nas przez dlugi szereg komnat, w końcu ukazały się strzeżone przez sześciu murzynów drzwi do haremu. Gdy podniesiono ciężką kotarę, ukazał się oczom naszym istnie czarodziejski obrazek: w pośrodku saloniku, obitego różowym jedwabiem, siedziała khedywowa w przepysznej toalecie, ozdobionej aż do dołu brylantami. Wysoki dyadem zdobił czarne jej włosy, a pulchną szyję otaczał kołnierz z drogich kamieni, misternie ułożony. Podziwiałam ją wtedy w całej pełni szczęścia i swobody; dziś śmierć męża i depozytm syna przygnębiły ją i zmieniły do niepoznania.

Urządzenie sal w haremie wicekrola jest już zupełnie europejskie i wcale niegustowne. Jaskrawe obicia na meblach, angielskie dywany, w olbrzymie kwiaty, na ścianach zwierciadła w złotych ramach i bardzo liche obrazy, wszędzie zaś mnóstwo fraszek i świecidełek, porcelanowych figurek, albumów z fo-

tografiami młodych europejskich mężczyzn i t. p. nowości.

Gdziekolwiek zapomniany wyziera z ukrycia misternie rzeźbiony sprzącznik arabski, lub cenny perski dywanik. Tylko sypialnia wicekrólowej urządzone jest z dawnym przepychem; nad srebrnym łóżem upięta kotara, haftowana jest prawdziwymi perłami, nawet poduszki klejnotami są ozdobione; mimo to, patrząc na ten przepych, przychodzą na myśl słowa księżniczki szwedzkiej, która, zwiedzając tę sypialnię, zawołała: „C'est trop beau, on ne saurait on metre la tête.”

Miałam parę razy sposobność rozmawiania sam na sam z wicekrólową, a jedna szczególnie z tych wizyt utkwiała mi żywo w pamięci. Otrzymaawszy polecenie, aby w imieniu naszej cesarzowej prosić o fotografię wicekrólowej z jej własnoręcznym podpisem, udałam się do pałacu w dniu, który nie był dniem ogólnego przyjęcia. Wprowadzono mnie do prywatnego saloniku khedywowej, a ulubiona jej niewolnica Azra, blada, wysmukła, czarnooka Czerkieska, dała mi do zrozumienia, iż pani jej zaraz się ukaze. Tymczasem wysłano na moje powitanie małe księżniczki.

Mile to były dziewczątka, liczące wtedy jedna 11, druga 8 lat (dziś obie są już zamężne). Trzepały po angielsku o wiele lepiej niż po turecku; szpeciły je tylko ciężki przesadny ubiór: małe te osóbkі zdawały się uginać pod ciężarem atłasów, koronek i klejnotów, któremi je obwieszono.

Wicekrólowa nie dała mi długo czekać na siebie; ukazała się wkrótce w paryzkiej, pysznej toalecie. Po zwykłych powitaniach zwyczajem tureckim pytam o zdrowie wszystkich z rzędu osób rodziny khedywa. Dziękując, odpowiedziała mi księżna zarazem, że niezmiernie jest zadowoloną z umieszczenia synów w Theresianum w Wiedniu: „Y'espère

que là bas, on eu fera des hommes; ici on en aurait fait des princes seulement."

Po chwili rozmowy niewolnice, w strojach codziennych z lekkiego muślinu i białych, złotem tkanych zawojach, wniosły stół, bogatą przykryty mataką, którą „kjahia” (dozorczyni) ostrożnie podniosła. Ukazały się kubki kawy, tkwiące w bogatych oprawach.

Dopiero po kawie, gdyż tak każe wschodni obyczaj, spełniłam dane mi zlecenie i prosiłam o fotografię dla cesarzowej Elżbiety. Życzenie to austriackiej monarchini widoczną radość sprawiło wicekrólowej; obiecała spełnić je natychmiast, ale zarazem ubolewała nad tem, że cesarzowa, zwiedziwszy Aleksandryę, nie przybyła do Kairu.

Zapewniłam, że prędzej, czy później władczyni nasza zechce zapewne zwiedzić to najciekawsze miasto na świecie; ale, dodałam dalej, że i my również spodziewamy się, że jej wysokość zechce kiedyś odwiedzić synów w Wiedniu.

— O nie, pani! — odrzekła wicekrólowa z uśmiechem — byłoby to przeciwne naszym zwyczajom i religijnym ustawom.

— A jednak — mówiłam dalej, niezrażona tą odpowiedzią — tak wiele zwyczajów tych zmieniono w ostatnich czasach, że może i surowe prawa haremu pozwolą księżniczkom egipskim podróżować po Europie, jak to już miejsce miało potajemnie.

— Niestety! — odpowiedziała mi wicekrólowa z powagą — masz pani słuszość, że w ostatnich latach zbyt wiele zmieniono w obyczajach naszych. Cywilizacya wasza pochłania nas. My, panujący, powinniśmy jednak całą siłą starać się o zachowanie naszych tradycji, naszych praw i zwyczajów, inaczej grozi nam zagłada i ruina.

Jak usilnie starała się wicekrólowa o zachowanie dawnych zwyczajów, przekonać się mogłam, przybywając do jej haremu w dniu pogrzebu jej bab-

ki. Na wieść o śmierci jednej z osób rodziny kedywa, wiedząc, że muzułmanie mają zwyczaj chowania ciał w kilka godzin po śmierci, pośpieszyłam natychmiast do haremu, aby złożyć kondolencję i przypatrzeć się pogrzebowym obrzędom.

Dojeżdżając do pałacu, usłyszałam już zdala krzyk i pisk przeraźliwy, a stanawszy w progu haremu, chciałam się cośnąć w przerażeniu, gdy naprzeciw mnie wybiegły niewolnice z rozpuszczonymi włosami, w podartych szatach, z pokrwawionymi twarzami i piersiami. Szał udanej ich rozpacz nie miał granic; paznogciami rozdzierały ciało, głowami biły o mury.

Wicekrólowa i znajdujące się w haremie jej krewne siedziały na niskich sofach, bez obuwia, z rozpuszczonym włosem i w rozwartych na piersiach sukniach. Razem z „kjahią“ zawodziły głośno, wyliczając cnoty zmarłej.

„O matko nasza, najlepsza pani! Czemuż nas opuściłaś? Czy zabrakło ci białego chleba, ryżu i łakoci? Karmicielko nasza! Bawolico mlekodajna, która nosiłaś ciężar utrzymania naszego, czy źle ci było między nami? i t. d.

Kobiety nie brały udziału w orszaku pogrzebowym, nawet w pojazdach ukazać się im nie wolno; ciało księżnej niesiono w otwartej trumnie, przykrytej bogatą makatą, szytą perlami. Orszak otwierał Kislar-Aga, potwornie otyły Murzyn; za nim niesiono zaslonę muślinową księżnej i jej klejnoty. Dalej postępowały zakony derwiszów; uczniowie szkół rozmaitych i dygnitarze religijni powtarzali w monotonnym śpiewie wiersze Koranu, za nimi postępowali baszowie i rozmaici dygnitarze arabscy w białych rękawiczkach (bo tak każe zwyczaj arabski) i z rękami przed sobą w dół opuszczonemi na znak żałoby.

Setki żebraków cisnęły się dokoła, gdyż czekała ich dnia tego wspiania uczta. Za orszakiem cią-

gnęły długim rzędem wielbłądy, obładowane owocami i ciastami; pędzono także stada bawołów i baranów, których mięso przeznaczone było na ofiarę dla biednych.

Na cmentarz nie dopuszczono chrześcian, bo wzrok tychże mógłby przynieść nieszczęście zmarłej, gdy ciało jej przed samym grobem wyjęte zostanie z trumny i złożone w grobie z twarzą ku Mekce zwróconą.

Ciekawą będzie dla czytelników wiadomość, iż przy sposobności podobnych obrzędów, czy też przy uroczystościach arabskich, mężczyźni, t. j. dygnitarze arabscy i europejscy, ministrowie, konsulowie i inni, składają wizyty haremowym damom, ale w taki sposób: Kislar-Aga wprowadza ich do swego saloniku, traktuje kawą i fajkami i posyła bilety wizytowe do haremu; po chwili powracający eunuch przynosi podziękowanie dam, powtarzając w ich imieniu tureckie „teszeküreum“ albo arabskie „kater herak khetir“, t. j. dziękuję.

* * *

Ktoby pragnął widzieć haremy muzułmańskie w całym ich przepychu, niechaj je zwiedzi w dniach Bajramu, t. j. święta, kończącego post Ramazanu. W dniu pierwszym tego święta wszystkie muzułmanki, nawet te, które w murach haremów strój europejski przyjęły, ukazują się w narodowych arabskich strojach z białego jedwabiu lub muślinu, gdyż dzień ten poświęcony jest pamięci umarłych, a kolor biały uważany był za barwę żałoby u dawnych muzułmanów.

Strój sukni arabskiej zręczniejszy mi się wydawał od tureckiego kostyumu; jest to suknia długa, powłóczysta, o szerokich rękawach, spięta szarfą haftowaną, lub przepaską złotą. Na głowach tak zamężne, jak niezamężne kobiety, noszą leciuchne gazowe zawoje.

Już w przeddzień całe miasto wre życiem i wesolnością, która nawet za mury haremów się wkrada. O zachodzie słońca śpieszą „ulemasy,” t. j. uczeni tłumacze Koranu, na wzgórze Mokattam, opodal od Kairu, aby dojrzeć wschodzący księżyc, za którego ukazaniem się głośnie salwy z cytadeli Saladyna ogłaszają rozpoczęcie uroczystości.

„Kullo sanch ente taïb” (wszyscy twoi niechaj razem z tobą zdrowi będą) — woła z radością każdy przechodzący Arab, a okrzyk ten odbija się tysięcznym echem w pałacach i chatach.

W haremach przez noc całą Murzynki pracują nad przyrządzaniem przysmaków na dzień świąteczny, gdyż te nie tylko potrzebne są do uczt wspólnych i przyjęcia gości, ale też w znacznej ilości wysyłane być muszą na cmentarze, jako ofiara dla biednych za spokój umarłych.

W dniu tym najuboższy muzułmanin składa parę piastrow lub chleba kawał na grobie ukochanej osoby. Sługi i niewolnice otrzymują hojnie podarki i nowe ubiory, bo w święto Bajramu każdy muzułmanin musi ubrać się w strój nowy; nawet biedny fellah wdziewa nową koszulę, a uliczny żebrak zarzuca nowy lachman na brązowe ciało.

Dzień ten jest również dniem wspólnych odwiedzin i powinszowań, przyczem w haremach podają gościom napój zwany „subia,” przyrządzony z ryżowej sfermentowanej wody, z zapachem róż lub gwoździaków. Jest to męczeński kielich dla europejskiego podniebienia, a jednak spełnić go trzeba, gdyż odmowa byłaby obrazą dla pani domu.

Prócz świąt muzułmańskich, obchodzą Arabowie w Egipcie święta staroegipskie, z dawnych wieków tradycją przekazane, a każda z tych uroczystości ożywia nieco jednostajność i nudę haremowego życia.

Jednem z takich świąt starożytnych jest święto wiosny, t. zw. „Szam el-nessim,” co dosłownie tłumaczone oznaczają: wachanie świeżego powietrza,

W dniu tym, przypadającym razem z Wielkanocnym naszym świętem, Egipcianie żegnają świeże tchnienie wiosny przed nadchodzącą porą skwarnych wichrów „chamsinów.“ Wszystko, co żyje, opuszcza mury miasta, mieszkanki haremów wyjeżdżają także w osłonionych powozach i pod strażą eunuchów uczują w ogrodach Delty, przy koszach pełnych ciast, mięsiwa i jaj barwionych, których łupiny zawieszają później w bramach dla ochrony od czarów i zarazy morowej, jaka dawnymi czasy w porze chamsinów często Egipt nawiedzała.

Pojazdy haremowe częstem są zjawiskiem na ulicach Kairu; poznajemy je zdala po eunuchach siedzących na kozłach lub za powozem. Przed pojazdem wicekrólowej i księżniczek biegną „saisy“ w muślinowych lekkich strojach i suto haftowanych dolmanach z nogami obnażonemi, na których błyszczą srebrne obroże.

Przez lekkie firanki, któremi osłonione są okna pojazdów, widać iskrzące oczka i jaszmakami¹⁾ zakryte blade twarzyczki muzułmanek. Etykieta muzułmańska nie pozwala jednak witać ich ukłonem; nawet wicekrólowej nikt się nie kłania, a europejskie damy udawać muszą, iż jej nie poznają, pomimo leciuchnej zasłony, zdradzającej rysy jej twarzy, gdyż ukłon zwracałby uwagę i byłby raczej ubliżeniem, niż hołdem.

Całe szeregi haremowych pojazdów ukazują się każdego piątku w alejach Gezireh, przy torze wyścigowym, na których Anglicy urządzają swe zabawy („gymkhana meeting,“ „polo“) lub wyścigi.

Z najwyższem zajęciem śledzą muzułmanki obroty dzielnych jeźdźców angielskich i zdarza się często, iż pomimo czynności strażników haremowych, biały

¹⁾ „Jaszmak“—leciuchna muślinowa zasłona, zakrywająca twarz całą aż po oczy. Czoło zasłonięte jest drugim muślinem.

kwiatek „henny“ (symbol miłości Arabek), zręczną rączką rzucony, znajdzie się nagle u butonierki angielskiego oficera.

* * *

Poznawszy się nieco z urządzeniem i zwyczajami haremów, przypatrzmy się młodej muzułmance w chwili najważniejszej jej życia, w dniu wesela, gdy z haremu ojca przechodzi do haremu męża, t. j. zmienia więzienie.

Wybór męża zależy od ojca lub opiekuna, narzeczeni nie znają się wcale, wiedzą tylko o sobie i swych obopólnych przymiotach za pośrednictwem swatki, t. zw. „khatby“, przyjaciółki lub krewnej, która kojarzy małżeństwa (w dzisiejszych postępowych czasach za pomocą fotografii), pannie młodej zaś cuda najczęściej opowiada o bogactwach i zaletach przyszłego męża.

O uczucie, o głos serca, nikt młodej muzułmanki nie pyta, szlachetne, idealne przywiązanie dwojga istot, będące u nas życia osnową, po której kobieta nie szarą obowiązków przesnuwa, nieznane jest na Wschodzie. Niewolnica, kupiona za złoto, gdyż w muzułmańskim świecie nie żona mężowi, ale mąż żonie posag wypłaca, strzeżona przez przedajną służbę, przywykła do fałszu i nieufności, nienawidzi już z góry narzuconego jej przemocą małżonka, czyli pana, i zawczasu układa plany, jakby go najzręczniejszemu zdradzić mogła.

Na dni ośm przed uroczystością weselną zawartą zostaje ugoda ślubna między panem młodym a ojcem narzeczonej. Krótka formułka służy za przyrzeczenie wiary: „Poślubiam cię“—mówi pan młody. „Przyjmuję cię“—odpowiada opiekun w przytomności sędziego i świadków, odczytujących modlitwy i odpowiednie ustępy z Koranu. Po długich targach pan młody wypłaca połowę ustanowionej posagowej su-

my, drugą zaś połowę zobowiązuje się wypłacić wrazie rozwodu, lub też zapewnia słowem na wypadek swej śmierci. Majątek żony pozostaje wyłącznie jej własnością, mąż tylko dochodami rozporządzać może. Jedyne to przywilej, jakim prorok obdarzył kobietę, chcąc tym sposobem zbyt częstym rozwodom przeszkodzić; nie zmienia to jednakże stanowiska kobiety, która ani umie, ani może rozporządzać majątkiem.

Uroczystość weselna odbywa się zazwyczaj w domu narzeczonego, a zaproszeni goście obowiązani są na dni kilka przed weselem posyłać dary, jako to: ryż, cukier, owoce, nawet barany żywe. Za to czeka ich wspaniała uczta, a jeśli pan młody bogaty, to rozrywki i zabawy przez dni kilka.

W przededniu wesela grono krewnych i przyjaciółek prowadzi pannę młodą do kąpieli; orszak poprzedzają mężczyźni, niosący srebrne kadzielnice, pełne ziół wonnych, kubki z różaną wodą, którą skrapiają przechodniów, i rozmaite amulety dla odpędzenia czarów i złych spojrzeń. Dalej śpieszą słudzy, niosąc bogate ręczniki, złotym haftem tkane, i olejki do kąpieli, muzykanci z fletami i tarabukami, przekupnie słodczy, którzy rozrzucają swój towar między lud i gości (na rachunek pana młodego oczywiście) i fellahy, rozdający wodę.

W pośrodku weselnego orszaku tańczy i skacze dziwnie ubrany pajac, starając się odwrócić uwagę tłumu od panny młodej, a tem samem ustrzedz ją od uroków.

Pannę młodą wiodą pod ręce dwie kobiety pod baldachimem z ponsowego jedwabiu. Całą jej postać okrywa długa aż do ziemi zasłona, wyszywana blaszki, monetami i szychem złotym.

Jeśli panna młoda bogata, wtedy jedzie w powozie, przykrytym szczelnie ponsową, haftowaną makatą; u beduinów ukazuje się na wielbłądzie, ustrojonym w pióra, blaszki złote, zwierciadełka i jedwabie,

w lektyce także przykrytej; orszak taki poprzedzają dwaj Beduini na koniach lub wielbłądach, potykający się lancami, jakby w turnieju.

W kąpieli niewolnice złocą paznokcie u rąk i nóg panny młodej, albo malują je farbą czerwoną¹⁾, brwi pociągają węglem, a często barwią i włosy na kolor złotorudy, który od czasu pobytu cesarzowej Elżbiety w Egipcie, uważany jest w haremach za najpiękniejszy.

Panna młoda przepędza w łazienkach długie godziny, przyjmuje tamże podarki i powinszowania krewnych i przyjaciółek, dzieląc wzamian między swych gości owoce, słodycze i przysmaki, które pan młody przysyła dla uraczenia drużyny weselnej.

Z taką samą ceremonią odprowadza orszak pannę młodą w dzień następny do domu pana młodego; w chwili zaś, gdy panna młoda przestępuje próg domu, słudzy zaczynają przygotowanego na ten cel i ustrojonego w barwne wstążki barana albo bawołu, a narieczona przeskoczyć musi przez strumień krwi świeżej i drgający jeszcze tułów. Ma to być wróżba i zaklęciem szczęścia, a jest raczej wspomnieniem dawnych bogom składanych ofiar.

Równie jak panna młoda, tak i jej narieczony odbywa uroczysty pochód przez miasto, a w dniu wesela, wieczorem, dąży do meczetu, gdzie na jego intencję derwisze urządzą mistyczne obrzędy i tańce. Drużynę poprzedzają chłopcy z pochodniami smolnemi, muzykanci i śpiewacy, zwani „synami nocy.”

Na podwórzu domu, w którym wesele się odbywa i wpoprzek ulicy, rozwieszają Arabowie na murach różnokolorowe chusty, świeczniki kryształowe i latarnie, których blask zwabia tłumy, oraz nowych gości. Każdemu, kto próg przestąpi, wolno

¹⁾ Służy do tego sok rośliny, zwany „henną.”

uczestniczyć w zabawach, każdemu również, choćby najuboższemu nędzarzowi, podaje służba kubek kawy lub miskę ryżu.

*

*

*

Wkrótce po przybyciu mojem do Egiptu otrzymałam zaproszenie na wesele jednego z baszów, mogłam więc przypatrzyć się wszystkim ceremoniom, które tu opisuję.

Gdym przybyła do pałacu, panna młoda znajdowała się już w haremie; umieszczono ją na wzniesieniu pod baldachimem z czerwonego jedwabiu. Wbrew starożytnym zwyczajom, które przy obrzędach weselnych strój czerwony przepisują, miała strój biały i takąż ciężką, prawdziwemi perłami haftowaną zasłonę, która całą jej twarz i postać zasłaniała tak, że ani my jej, ani ona nas widzieć nie mogła. U stóp jej usiadła, w pół leżąc, stara murzynka, podobno piastunka panny młodej, w różowej wyciętej sukni, z wianeczkiem sztucznych kwiatów w krętych kruczych włosach, w czem tak pocieszenie wyglądała, że patrząc na nią, trudno mi było wstrzymać się od śmiechu. Wygłaszała ona nieustannie rozmaite zalety panny młodej, to ciesząc się jej szczęściem, to znów narzekając na los, który wyrwał ją z dawnego otoczenia.

W haremie znajdowało się kilkaset tak arabskich, jak i europejskich kobiet; przyjęciem zajmowały się „kjahie;” oprowadzały nas one po pałacu, pokazując stroje i klejnoty. Podziwialiśmy szczególnie ubiór, przygotowany dla pana młodego, jako podarek ślubny od narzeczonej; był to dolman aksamitny, cały haftem pokryty; obok leżała szabla starożytna, w drogocennej oprawie, i dywanik perski, używany przez muzułmanów przy modlitwie.

Wkrótce zaproszono nas do uczyty; zastawy stołów nie było; ugrupowaliśmy się przy niezliczonych

małych stoliczkach, na których ustawiono wielkie metalowe tace.

Niewolnice znosiły srebrne misy, szczelnie przykryte i stawiały je w pośrodku na tacach; wtedy kjahie zdejmowały pokrywy, zachęcając nas do jada. Talerzy, widelców i nożów nie było wcale; uzbrojone w łyżki i kawałki chleba sięgałyśmy do wspólnej misy — pieczone rozrywały kjahie rękami, ofiarując nam najlepsze części. Potraw było kilkanaście; nie brakło ani *kunafy*, to jest ciasta przekładanego miodem z masłem, ani ulubionej w Egipcie jarzyny, zwanej *bami* ¹⁾. Koronę uczty stanowił *kajmak*—są to kożuszki ze śmietanki, podane z konfiturą. Jako napoje, zamiast wina, roznoszono rozmaite syropy: z pomarańcz, fiołków, róż i liści szczawiovych. Przy końcu wieczery wniesiono wielką misę ryżu, bez soli i masła ugotowanego; kobiety arabskie jadły ten ryż garściami.

Panna młoda nie brała udziału w uczcie; mówiono mi, że nie wolno jej przez dzień cały przemówić słowa, ani zażądać jada lub napoju.

Po uczcie niewolnice podały nam wodę do mycia rąk i skropiły nas olejkiem różanym, poczem wprowadzono nas znów do głównej sali, gdzie ukazały się tancerki i śpiewaczki arabskie. Nie zachwyciły mnie one bynajmniej; tancerki nie wyglądały wcale tak powabnie, jak nam je na obrazkach przedstawiają. Owinięte w grube, wełniane chusty, ruchy miały ciężkie i niezręczne; obracając się w małym kółku, z głową w tył zarzuconą, z oczami zamrożonemi, drżały nieustannie jak w febrze i starały się pantomina przedstawić sceny miłosne.

Śpiewaczki nuciły ballady, siedząc na ziemi i uderzając w takt o małe, dzwonkami opatrzone bębenki. Śpiew ich jest rodzajem opowiadania, w ryt-

¹⁾ Rodzaj drobnej tykwy.

miczne zwrotki ujętego; opiewają najczęściej zdarzenia i sceny erotyczne, niezbyt budującej treści.

Znudzona monotonnym śpiewem, wymknęłam się na balkon haremowy, gęstą osłonięty kratą, przez którą jednak można było widzieć podwórze pałacowe, zmienione w namiot obszerny. Pod namiotem ucztowali mężczyźni; chcąc się ich zabawom przypatrzeć, wspierałam się na palcach, aby wyjrzeć przez mały otwór nad kratą, tuż zaś koło mnie młoda muzulmanka wychyliła kształtną główkę. Wnet jednak ukazał się murzyn i ująwszy w pól swą panią, odtrącił ją gwałtownie od okna, wołając brutalnie „emszil“ (pójdź precz).

Biedaczce łzy wstydu zakręciły się w oczach; zaczawszy ze mną rozmowę francuską, skarżyła się na barbarzyńskie prawa haremu, które ludziom nieukształconym, w pól dzikim, pozwalają znęcać się nad oddanymi pod ich straż kobietami.

Nie miałyśmy jednak czasu na długą rozmowę, gdyż wkrótce usłyszałyśmy dźwięki hucznej muzyki, pochodnie smolne ukazały się na podwórzu i dano nam znać, że narzeczony przybywa. Radośny okrzyk t. zw. *zagharrit* rozległ się w haremie. Kjahie prosiły, abyśmy ustąpiły z głównej sali, w której znajdowała się narzeczona, siedząca dotychczas nieruchomo pod swym baldachimem.

Mówiono mi, że powstanie dopiero na powitanie męża, gdy tenże zerwie jej z czoła zasłonę (zwyczaj każe mu okupić tę śmiałość wręczeniem podarunku ślubnego) i po raz pierwszy w życiu spojrzawszy na twarz ukochanej, zawoła:

— W imię Allaha, bądź mi pozdrowiona!

— Bóg z tobą — odpowie mu zcicha młoda kobieta — a pan młody, nasyciwszy wzrok wdziękami lubej, uklęknie opodal i zwrócony ku wschodowi, krótką odmówi modlitwę, dziękując Bogu, że mu dał towarzyszkę życia.

Na zakończenie przerwania uroczystości we-

selnej matka panny młodej razem z kjahią wniosły tace, pełne cukrów i drobnych złotych monet, które rozrzucały między gości. Deszcz ten błyszczący trwał dość długo, a uważałam, że Arabki chwytaiły chciwie owe drobne blaszki, nie mające zresztą wielkiej wartości. Rozdano także między nas trawki złote, które zdobiły suknię panny młodej.

Zdarza się często, iż wdzięki panny młodej nie odpowiadają oczekiwaniom pana młodego; niewiele na to zważają muzułmanie, gdyż po roku wolno mężczyźnie inną pojąć żonę, albo rozwieść się z tą, której nie kocha.

Biedny fellah, który tylko kilkanaście piastrow zapłacił swej żonie, zebrawszy podobną sumkę, rozwodzi się kilka razy w życiu i wynagradza sobie ten brak—haremu. Aby rozwód był ważnym, dość jest, jeśli mężczyzna przed sędzią albo przy świadkach potrzykroć powtórzy, że żonę odtrąca; zmuszona jest ona wtedy dom męża natychmiast opuścić. Kobięcie jednak żądać rozwodu nie wolno, choćby najniešťczęśliwszą się czuła w małżeństwie. Mężczyzna zaś może żonę odtrąconą napowrót w dom przyjąć i może to czynić trzy razy z jedną i tą samą żoną, za czwartym razem może jednak Arab lub Turek odtrąconą żonę tylko w tym razie poślubić, jeśli ją po upływie roku inny mężczyzna poślubił i znów odtrącił. Łatwo pojąć, jakie stanowisko w rodzinie zajmuje kobieta, którą muzułmanie przerzucają sobie z rąk do rąk, jakby rzecz jaką bezduszną, pozbawioną uczucia i myśli, tembardziej, że dzieci jej pozostają zawsze pod wyłączną opieką ojca i w jego domu.

Najgłówniejszym powodem do rozwodów na Wschodzie jest bezdzietność, gdyż muzułmanie uważają liczne rodziny za dowód błogosławieństwa Bożego, a na kobietę bezdzietną patrzą z politowaniem, utrzymując, że się znajduje pod wpływem złych duchów (dzinnów).

To też kobiety arabskie udają się często do wróżbiarek, zamawiają czary i gusła, aby się z pod władzy „dzinnów“ uwolnić.

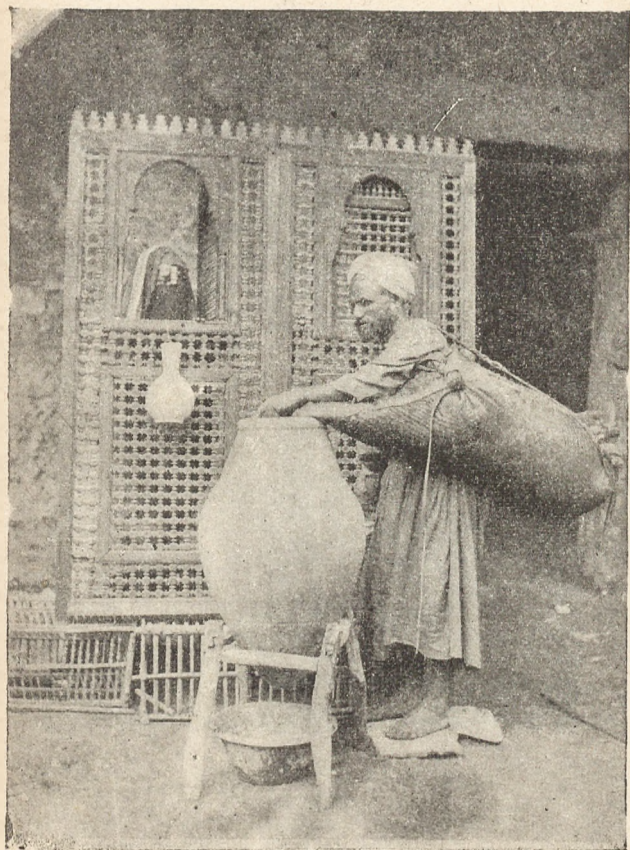
Wogóle Egipt pozostał po dziś dzień ojczyzną baśni i legend, wróżbiarzy i czarodziejów. Gusła, wróżby, wiara w czary i nadprzyrodzone zjawiska, uzupełniają tu życie mieszkańców, stają się niejako niezbędnym pokarmem dla wyobraźni, której duchowa nie zużyła praca. W spuściźnie po starożytnych Egipcyanach przejęli Arabowie sztukę wróżbiarstwa, wykładania snów i odgadywania myśli. W Kairze na każdej ulicy spotkać można wróżbiarzy, ofiarujących swe usługi, sprzedających czarodziejskie leki i amulety.

W haremach przy każdej sposobności zwołują wróżbiarki; czy kto jest chory, czy przedmiot jaki zginie, czy kto ciekaw uchylić przyszłości zasłone, wnet niewolnice urządzają „zykr“, to jest taniec mistyczny, przy którym zwykle jedna z nich wpada w stan jasnowidzenia i z pomocą wróżbiarki wyjawia najskrytsze tajemnice, podaje środki lecznicze i rozmawia z niewidzialnymi duchami, przyczem ważną rolę gra silne kadzidło aromatyczne, w którego skład wchodzi: aloes, benzoës i inne odurzające zioła.

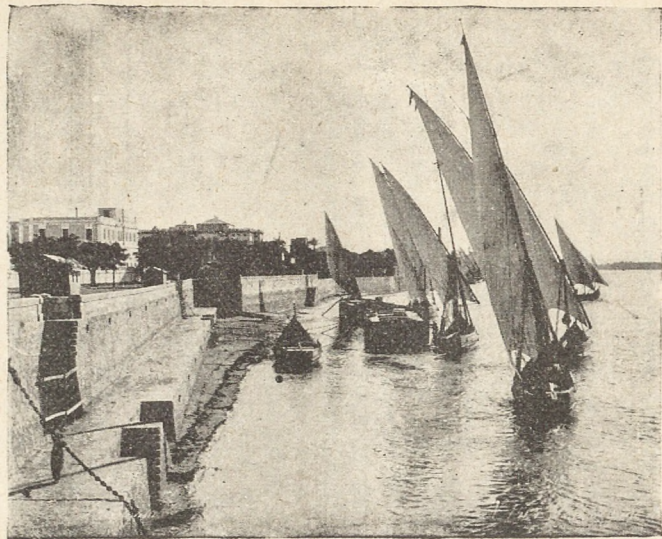
Życzliwości jednej z dam haremowych zawdzięczam, iż pozwolono mi przypatrzyć się zbliska takim czarodziejskim obrzędom.

Było to w haremie pewnego beja, który trzecią z rzędu pojąwszy żonę, nie mógł doczekać się syna; udano się więc do słynnej wróżbiarki sudańskiej, a ta po długich badaniach oświadczyła bejowi, iż żona jego znajduje się pod wpływem zakochanego w niej a zazdrośnego „dzinna“, to jest złego ducha, i że potrzeba tegoż zwabić i namówić, aby swe czary na inną przeniósł kobietę.

Z rozkazu wróżki wybrano kilka najpiękniejszych niewolnic i w dniu oznaczonym ustrojono je



Typy ludowe.



Podróż po Nilu.

w bogate narodowe stroje: czerkieskie, tunetańskie, arabskie i t. p.

Czary odbywały się w podwórzu pałacowem, w pośrodku którego rozpalono ogień z rozmaitych drzazg i ziół, oblanych żywicą. Gęsty dym narkotyczny napelniał podwórze; wróżbitka rozkazała najpierw żonie beja przeskakiwać przez ten ogień, poczem odprowadziła ją do niskiej kanapki i uśpiła przez magnetyczne dotykane rąk i nacieranie aromatycznymi olejkami.

Toż samo uczyniła z ustrojonemi niewolnicami, które jednak, na znak przez nią dany, powstały i zaczęły wirować i tańczyć dookoła ogniska. Oryginalny był to widok, ponieważ każda z niewolnic tańczyła swój narodowy taniec; zdawało się, że jakaś niewidzialna siła zmusza je do ruchu i nie dozwala zaprzestać tańca; z szeroko otwartemi żrenicami, z ustami spienionemi, upadały one prawie ze znużenia. Czasami wróżka zatrzymywała jedną z nich i ująwszy za rękę, szeptała jakieś kabalistyczne słowa i zaklęcia.

Tańce przeciągnęły się w noc późną, wreszcie przebudziła wróżbitka niewolnice, małżonce zaś beja kazała spać aż do rana i ta istotnie nie przebudziła się, choć wszystkie te ceremonie bardzo były hałaśliwe.

Nazajutrz, gdyśmy się znów w podwórzu hare-mowem zebrały, wróżka, przebudziwszy młodą muzulmankę ze snu hipnotycznego, rozkazała wprowadzić na podwórze białego, najprzód już na ten cel przygotowanego barana. Ustrojono go we wstążki, klejnoty nawet i rozmaite świecidełka, poczem młoda kobieta, wsiadłszy nań jakby na konia, siedem razy podwórze dookoła objechać musiała. Po tej nad wyraz komicznej ceremonii, barana w oczach naszych zabito, a wróżka, napelniwszy kubek krwią ciepłą, krew tę małżonce beja wypić kazała. Krwawa ta ofiara

zakończyła czary; czy odniosły one pożądaný skutek... nie wiem.

Spostrzegłam tylko, że z rozkazu beja wręczono wróżce spory zwitek złota i rozmaite podarki.

Wiara w istnienie duchów jest tak rozpowszechnioną w Egipcie, że nawet lud europejski, szczególnie grecki i włoski, ją podziela. Według mniemania Arabów, „dżinny“ są to istoty pośrednie między aniołami i ludźmi; nie mając krwi i ciała, są dla nas niewidzialne, dzielą jednak nasze pomieszkania i zajęcia, mają swych władców, swe królestwa, i mogą wpływać źle lub dobrze na losy nasze. Dlatego też Arabowie strzegą się, aby w niczem nie obrazić „dżinnów,” gdyż zemsta ich może być straszną.

Słyszałam często, jak służący nasi, przy zwykłych swych zajęciach, powtarzali zcicha: „Destur ja mubarakin,” to jest, „wybaczcie, o błogosławieni!” — a stłukwszy lub zniszczywszy jaki przedmiot, przypisywali to zawsze złośliwym „dżinnom.” Jeden z nich szczególnie, rodem z Berberu, zamykał się w takim razie na dni kilka w swej izdebce, pościł i pokutował, a ja musiałam się obyć bez zniszczonego przedmiotu i bez służącego.

Według pojęcia Arabów, są ludzie, którzy przez długie posty i modlitwy dochodzą do pewnej władzy nad dżinnami, muszą jednak znać niektóre znaki i wyrazy kabalistyczne. Wtedy to posłuszne im duchy wyjawiają przyszłość, dopomagają w znajdowaniu skarbów, uczą różnych czarów i t. d. Setki ksiązek znajdujemy w Egipcie, które podają przepisy, jak dojść można do tej władzy nad dżinnami.

Dusza ludu przechowuje te wspomnienia, tak jak łono ziemi przechowuje ślady zaginionej dawno przyrody i zgasłego przed wiekami życia.

Poznaawszy bliżej kobietę i zwyczaje haremów, przypatrzmy się, choć przelotnie innym Wschodu mie-

szkankom, tym, które w ciągłej będąc z Europejczykami styczności, przejęły już niejedną nasz obyczaj, ale z drugiej strony, pozostając przez długie lata pod wpływem pojęć muzułmańskich, nie mogą po dziś dzień otrząsnąć się z nich i wyzwolić. Są to najpierw kobiety koptyjskie, wiodące ród od prastarej rasy egipskiej, która, jak wiadomo, najpierwsza przyjęła chrześcijaństwo. U Koptów niema wprawdzie hare-mów, ale kobiety żyją zupełnie oddzielnie od mężczyzn, nie zajmując się ani głównym zarządkiem gospodarstwa, ani jakimkolwiek sprawami po za obrębem czterech ścian swego domostwa. Jakkolwiek nie noszą one zasłony takiej, jak muzułmanki, wychodząc na ulicę zarzucają na głowę tak zw. „habarę,” to jest płaszcz z czarnej tafty, który całą postać zasłania.

Przy obrzędach weselnych koptyjskich odbywa się również owa ceremonia z zarzynanym w progu baranem, a młodej mężatce nie pozwala obyczaj przez kilka tygodni po ślubie z domu wychodzić. W towarzystwie męża nie ukazuje się ona prawie nigdy. Na zabawach i zebraniach kobiety w osobnych bawią się salonach, w domach zaś europejskich tańczą te z nich tylko, które już nowymi przejęły się pojęciami.

Podobne życie wiodą w Egipcie Ormianki, Izraelitki (między którymi wiele pięknych spotykamy typów), kobiety syryjskie ze Smyrny, Damaszku i innych stron Małej Azji pochodzące i inne Lewantynki.

Typ tych kobiet jest piękny zazwyczaj: rysy twarzy często posągowe, ale przez zleniwienie, brak ruchu i życie beczynne, nabywają one najczęściej przerażającej tuszy, a nawet młodziutkie dziewczęta chód mają ciężki i ruchy niezręczne.

Najwyżej, niezaprzeczenie, pod względem umysłowym, jak i moralnym wśród kobiet wschodnich—stoi Greczynka. Nie jest ona dziś tak posągowo pię-

kna, jak nią była może w starożytności; to też jeden z francuskich podróżników powiedział:

—Wenus uleciała dziś z Grecyi — Gracye tylko pozostały.

Istotnie, Greczynka, będąc przeważnie małego wzrostu, drobnych rysów i cery śniadej, nietyle jest piękną, ile powabną; jednakże, podczas gdy mężczyzna Grek spędza dnie całe na sejmikowaniu i spekulacyach pieniężnych, Greczynka, pełna życia, sprytu i wdzięku, jest duszą domostwa swego. Przyjęła ona, tak od kobiet Wschodu, jak i Zachodu, główne zalety: od kobiet wschodnich przywiązanie do domowego ogniska, do którego ją obyczaj starożytny przykuwa, od nas zaś, kobiet Zachodu i Północy, miłość prawdziwą ojczyzny, uczucie nieznane innym Wschodu mieszkankom.

W czasie kilkoletniego mego pobytu w Grecyi, poznawszy bliżej dzisiejsze mieszkanki Hellady, tem żywszą dla nich powzięłam sympatyę, tak, iż często powtarzałam:

— Gdybym nie była Polką, chciałabym być Greczynką.

ROZDZIAŁ VII.

Charakter i zwyczaje ludu arabskiego. — Uroczystości arabskie. — Obrzędy starożytne. — Tancerki i śpiewacy.

Tancerki egipskie, owe słynne z rozpusty „Ghawazije”, nie często widzieć można w Kairze, gdyż tańce ich zakazane zostały przez policję angielską. Bogaci Arabowie sprowadzają je jednak z górnego Egiptu, dokąd wygnane zostały. „Ghawazzi” jest to szczep osobny, a sztuka tańców przekazywana bywa familijnie z matki na córkę.

Utrzymują niektórzy, iż słynne te tańce znane już były w starożytnym Egipcie, gdyż na płaskorzeźbach staroegipskich widzieć można tancerki w podobnych pozach. Nie są to jednak ruchy i zwroty, jakie przywykliśmy w Europie nazywać tańcem.

Tanec wschodni to pantomina, przedstawiająca miłość, oddająca wszystkie objawy uczucia z realizmem zmysłowym. Zdarzyło mi się przypadkowo widzieć taniec taki, tańczony przez dwie bardzo zręczne bajaderki.

Ubrane były w jaskrawą lekką gazę, ciała ich gibkie, ciemne, sprężyste, drżały nieustannie przez czas tańca, jakby w febrze lub nerwowym spazmie. Oczy przymknięte, jakby w upojeniu, stopy poruszały się bardzo mało, gdyż cały taniec odbywał się w ciasnej, kilkometrowej zaledwie przestrzeni. Za to ramiona nagie, przepyszenie zaokrąglone, bransoletami ozdobione i piersi odsłonięte kołysały się, uginały i drżały, jakby wzywając do uścisku.

Nad czołem i w splotach kruczych, nieco szorstkich włosów tancerek, połyskiwały złote drobne monety, którymi je widzowie obdarzali po każdym tańcu. Byłam świadkiem, jak jeden z Arabów dwie złote pięciofrankówki przylepił śliną na czoło jednej z tancerek, gdy ta w udanem znużeniu pochyliła głowę na jego ramię.

Najsłynniejszym jest taniec z mieczem, wymagający wiele zręczności, i taniec zwany „El Nahleh“, w którym tancerka udaje, iż obawia się ukąszenia pszczoły i szukając natrętnej muchy, zrzuca i zrywa z siebie ubranie. Taniec ten jednak trudno widzieć, gdyż odbywa się przy drzwiach szczelnie zamkniętych, w osobnych lokalach źle wsławionej dzielnicy miasta, zwanej Rybim targiem.

Nietylko weselne obrzędy dają Arabom sposobność do zabaw i zebrań, również uroczyście obchodzone bywają ceremonie postrzyżyn i obrzezania. Chłopcy przebywają, je w latach siedmiu; opuszczają

wtedy harem matki i zaczynają uczęszczać do szkół; obowiązani są od tej chwili zachowywać posty i przepisy swej religii. W dniu obrzędu ubrani w kosztowne jedwabie wśród liczego orszaku, przy dźwiękach hałaśliwej muzyki przeciągają przez ulice miasta. Wkoło nich krewni i przyjaciele sypią sól, jako środek niezawodny przeciw urokom i złym spojrzeńom. Bo też wiara w uroki i czary jest tak powszechną na Wschodzie, że nawet najwyższe klasy ludności otrząść się nie mogą z przesądów i zabobonów, a każdy muzułmanin dla zażegnania czarów nosi przy sobie amulety, t. j. wyjątki z Koranu, zaszyte w aksamitnych torebkach lub medalionkach.

Huczne igrzyska i gwarne zabawy są wistocie dla Arabów niejako potrzebą ich natury bujnej, obdarzonej gorącą, na wpółdziecięcą wyobraźnią, której rozważa zimna, ani surowe zasady nie krępują. Arab nie doje, nie dośpi, ale bawić się musi z całą swobodą i nieokiełznaną wesołością. Charakter jego jest w tem wręcz przeciwny charakterowi Turka lub Persa. Turek poważny, małomówny, unika gwaru i prowadzi życie ciche i spokojne; Arab zaś krzykliwy, gadatliwy, szuka ruchu i wrzawy. Posiada za to umysł o wiele bystrzejszy od Turka i wyższe do nauk zdolności. Jednakże prawość i szlachetność charakteru o wiele jest wyższą u Turków, niż u Arabów. Jako dowód przytoczę tu fakt mały, który mi żywo utkwiał w pamięci.

Zwiedzając jedną ze starożytnych dzielnic Kairu, spostrzegłam starego żebraka, siedzącego pod murem i darząc go jałmużną, przez omyłkę dałam mu pieniądz złoty, zamiast piastra. Jakież było moje zdziwienie, gdy ów żebrak, dogoniwszy mnie w ulicy, zwrócił mi pieniądz, mówiąc poważnie: „Ty pewno chciałaś mi dać grosz biały i przez omyłkę dałaś złoty. Zachowaj go dla siebie, a daj mi grosz biały; ja równie szczerze podziękuję Ci za ten cenny dla mnie podarek.“

Dowiedziałam się później, iż starzec ten był Turkiem; Arab byłby tego nigdy nie uczynił, gdyż jest nadto chciwym i przebiegłym.

Mając w Kairze przez lat kilka służbę arabską, mogłam bliżej poznać usposobienie i różnicę charakterów niektórych szczepów ludności egipskiej. Służący nasz był to Sudańczyk z Berberu, usługowy, pojętny i, jak na Araba, dość pracowity, przywiązany był do nas niezmiernie, mimo tego nie wahał się oszukać nas i wywieść w pole, gdy się do tego dobra zdarzyła sposobność. Pewnego razu, po kilkoletniej już służbie, ukazał się zrana zapłakany, z ustami zbladłymi i błagać mnie zaczął, abym go na kilka tygodni uwolniła od służby, gdyż ojciec konający wzywa go do siebie. Litując się nad nim, obdarzyłam go hojnym bakczyszem i wyprawiłam w podróż. W kilka godzin potem dano mi znać, że służący nasz przyjął służbę za bardzo wysoką opłatą na jednym z okrętów Cook'a. Cała opowieść o konającym ojcu okazała się zrecznie osnutą bajeczką. Innego znów usposobienia był nasz ogrodnik, prosty fellach, rysami twarzy i formą czaszki przypominający staroegipskie rzeźby. Umysł miał tępszy, ale charakter nadzwyczaj łagodny, prawie lękliwy. Schodząc o świcie do ogrodu, widywałam go często, jak ranną skończywszy modlitwę, przyglądał się z radością świeżo rozkwitłym kwiatom, pieścąc je i całując po kolei. Jedną z wybitnych cnót muzułmanów jest miłosierdzie względem współwyznawców, posunięte często do granic tak dalekich, że porządek domowy cierpieć na tem musi. Wchodząc do kuchni naszej, zastawałam często odartych żebraków, dzielących posiłek naszej służby, a pod bramą domu lub w sieni na tapczanie, przeznaczonym dla stróża, wysypiali się zazwyczaj rozmaici obcy przybysze. Widząc zdziwienie moje, słudzy nasi tłómaczyli mi, że Prorok nakazał: jeśli Allah dał ci dwa ziarna ryżu, to jedno ziarno odstąpić masz uboższemu od ciebie.

Szczytem szczęścia i marzeń naszych Arabów było posiadanie europejskiego stroju. Nie wiem, czy potrafiłyby jaki malarz oddać wyraz dumy, jaki przybierała twarz naszego służącego, Ahmeda, gdy uprosiwszy sobie wprzód pozwolenie moje, każdego piątku występował, jak mówił: „à la franca“, z kwiatkiem u butonierki modnego żakietu, w wysokim aż pod brodę kołnierzu i z laseczką w rękę.

Religijnego fanatyzmu nie mają dzisiejsi Arabowie; większa część z nich pije zakazane przez Proroka wino ¹⁾ i „raki“ (t. j. wódkę) i patrzy obojętnie na chrześcijańskie obrzędy i zwyczaje. Niektórych tylko drobnostkowych przepisów przestrzegają nadzwyczaj ściśle: żaden z nich np. nie będzie jadł drobiu zarzniętego ręką kobiety, zdarza się więc często, że kucharka zmuszona jest wybiegać na ulicę i prosić pierwszego lepszego przechodnia, aby zarznął kurę, czy indyka. Żaden Arab nie dotknie też świńskiego mięsa; kiedy w czasie wielkanocnym kazałam jednemu z Arabów naszych kosz pełen mięsiwa zanieść do święcenia ²⁾ do kościoła, wskazał on palcem na szynkę i rzekł z oburzeniem: Nie, świni to i do waszego kościoła nie zaniosę!

Pomimo wysokiej płacy, jaką otrzymują słudzy w Kairze, nie mają oni nigdy tej przezorności, aby grosz jaki odkładać na przyszłość.

Arab zwykł powtarzać tę zasadę: „Wczoraj należy do śmierci, jutro do Boga—dziś tylko wiem, że

¹⁾ Zdziwiona byłam, widząc na balach Turków i Arabów pijących wino. Nawet należący do starowierców reprezentant sultana, Muktar Basza, nie szanował w tem przepisów Koranu. Stojąc obok mnie przy bufecie (na balu u jednego z ministrów), wskazał on na butelkę szampana i spytał niby żartem: „Co to?“ „Sok z winogron słodkich“ odpowiedział mu adjutant. „A, kiedy to sok, a nie wino, to dawaj.“ I wychylił kilka kieliszków...

²⁾ Zachowując nasze zwyczaje, posyłałam w Kairze święcone do kościoła, gdyż księża nie przychodzą do domów święcić.

żyć — używam życia.“ Zasada ta otwiera pole do hulanki i rozpusty; najuboższy Arab oddaje ostatniego piasra, aby wziąć udział w zabawach, tak zwanych przez lud „fantazyach“, do których, jak wyżej wspomniałam, rozmaite uroczystości dają sposobność.

Każda rocznica urodzin lub śmierci sławnych *imanów* (t. uczonych Koranu) i derwiszów obchodzona bywa t. zw. *muledem*. Jest to rodzaj naszego zebrania odpustowego, uroczystość religijna, połączona z jarmarkiem i ludowymi igrzyskami.

Wtedy to na obszernych placach przed niektórymi meczetami, jako też w pobliżu miasta na pustyni, zbierają się niezliczone tłumy. Przybyli z okolic, albo z dalekich stron Beduini, rozbijają tu bogate namioty; przyprowadzają oni z sobą całe zastępy kobiet i dzieci, trzody owiec, konie, krowy i wielbłądy — słowem, całe karawany, które przez kilka tygodni obozują.

Do najmielszych rozrywek Beduinów należą turnieje, t. j. potykanie się lancami na koniach i wielbłądach. Muszę przyznać, że jest to obraz nadzwyczaj piękny i zajmujący, gdy ci brunatni synowie pustyni, rzuciwszy na wolę wichru fałdziste płaszcze i barwne kufije, harcuja na koniach i w najwyższym pędzie nacierają na siebie, to pochylając, to prostując gibkie i zręczne ciała.

Równie ożywione, jak obchody „Muledów“, są gwarne i wesołe noce Ramazanu.

Ramazan jest to, jak wiadomo, miesiąc ścisłego postu, przed świętem wielkiego „Bajramu.“ Miesiąc Ramazanu rozpoczyna się z ukazaniem nowego księżyca, a cała deputacja imanów i ulemasów udaje się na najwyższy szczyt wzgórza „Mokattamu“, aby oczekiwać tamże zjawienia się planety, czasem przez dni kilka nadaremnie. Gdy się księżyc ukaże, albo gdy telegram z Konstantynopola doniesie, że tam go

już dojrzano, natenczas huczne salwy z moździerzy ogłaszają ludowi, iż Ramazan rozpoczęty.

Post ten jednak zupełnie inaczej bywa zachowywany niż u nas; od świtu, gdy muezzin pierwszą ranną wygłosi modlitwę, aż do zachodu słońca nie wolno muzułmanom tknąć jadła, ni napoju, nie wolno przelknąć trochę dymu z cygara, albo kropli wody, a złamanie tego postu, choćby dla przyjęcia lekarstwa, jest uważane za większą zbrodnię niż kradzież lub nawet morderstwo. W chwili jednak, gdy salwy z cytadeli ogłaszają zachód słońca, wszystko, co żyje, rzuca się na jadlo i wodę, rozpoczynają się hulanki i swawole, które trwają do świtu. Każdy je i pije, ile może. W domach bogatszych zastawiają uczty, zwane „satur“; w haremach odbywają się przyjęcia i wzajemne odwiedziny, a oświetlone wieże minaretów i przepełnione tłumem ulice przedstawiają obraz nadzwyczaj malowniczy i oryginalny.

O świcie jednak cisza zalega ulice miasta; wszyscy układają się do snu, a praca dzienna ustaje prawie zupełnie w porze Ramazanu ¹⁾.

Z innych uroczystości religijnych arabskich najświetniejszą jest ceremonia przy wyjściu pielgrzymów do Mekki. Już na miesiąc przed tem świętem obchodzą w Kairze święto Dywanu, „el Kisuch.“ Dywan ten ofiarowany bywa corocznie przez rząd egipski do meczetu w Mece, z powrotem zaś przywozi karawana dywan zeszłoroczny, który rozrywany bywa przez wiernych, gdyż każda część tego dywanu jest cennym talizmanem, klejnotem rodzinnym. Osobny cech hafciarzy pracuje nad misternymi wzorami i złotymi haftami dywanu, najczęściej na czarnym kaszmirze lub aksamicie wyszytymi. Gdy hafty

¹⁾ Post Ramazanu przyprowadza często do rozpacz europejskie gosposie, gdyż w czasie postu tego służba arabska znudzona nie tyle postem, ile nocnymi hulankami, jest niezdolną do zwykłych zajęć domowych i wszelkiej pracy.

są już skończone, natenczas dywan wystawiony bywa na widok publiczny i z wielką ceremonią składany w jednym z meczetów, gdzie też czeka wyjścia pielgrzymów, t. j. uroczystości zwanej „El-Mahmal.“ W dzień ten wszystko, co żyje w Kairze, spieszy na plac przed cytadelę, z kąd procesya cała wychodzi.

Z placu „Karamzan“ pod cytadelą, przy salwach moździerzy, przy dźwiękach muzyki wojskowej, w obecności khedywa i wszystkich ministrów, wyrusza orszak święty. Wszystkie zakony derwiszów, każdy ze swą chorągwią, wszystkie szkoły i zakłady towarzyszą pielgrzymom w ich pochodzie przez miasto. Na samym przodzie orszaku stąpa wielbłąd ustrojony w złociste kapy, umalowany „henną“ (czerwoną farbą), obwieszony świecidełkami i malmi zwierciadełkami; na łbie jego powiewa kita z piór strusich. Wielbłąd ten dźwiga niewielką piramidę, ze srebra i haftów, zwaną „Mahmal.“ Sprzęt ten przedstawiać ma lektykę, w której jedna ze słynnych arabskich księżniczek średniowiecznych odbywała pielgrzymkę do Mekki. Tuż za tym wielbłądem postępuje drugi, również bogato ustrojony, a na grzbiecie jego kołysze się z boku na bok siwy, wpółnagi starzec.

Jest to tak zwany „Szeik-el-Gamal, czyli przewodca wielbłąda, który corocznie odbywa pielgrzymkę. Ponieważ przez cały czas podróży nie nosi on górnego ubrania, można więc sobie wyobrazić, jaką barwę przybiera ciało jego pod skwarnymi promieniami słońca. Godność szejka tego przechodzi z ojca na syna.

Za nim ciągną długim rzędem inni szejcy na wielbłądach i koniach. Dalej postępują derwisze, odbywając na ulicy swe dzikie obrzędy. Dywan, przeznaczony do Mekki, niosą zwykle wybrani uczniowie szkoły „El-Azhar.“ Lud ciśnie się ku nim, a szczęśliwv ten, kto ręką potrafi dotknąć dywanu; samc dotknięcie takie uświęca i zbawia od złego, więc

wierni całują rękę własną, która dotknęła owej świętości i pocierają tą ręką twarz i piersi.

Mnóstwo żebraków i santonów¹⁾ spieszy za orszakiem. Jedni, zupełnie nadzy, biją się łańcuchami i krwawią własne ciało sztyletami, drudzy rozrywają w zębach żywe węże i jaszczurki, żują szkło, śpiewają, skaczą, grają na tarabanach i powtarzają imię Allaha z szalonym uniesieniem.

Karawana przechodzi przez całe miasto i zatrzymuje się koło przedmieścia Abassje na puszczy. Tu rozbija namioty i obozuje przez dni kilka, dopóki wszyscy pielgrzymi w porządku nie zbiorą się do podróży.

Dawniejszemi czasy podróży całą odbywali pielgrzymi przez pustynię, w ostatnich latach jednak, z obawy przed zaraźliwemi chorobami, które w czasie długiej pielgrzymki między nimi wybuchały, zaczęto wyprawiać pielgrzymów koleją do Suezu, ztamtąd parowcami do Dzedda, przez co skrócono im znacznie drogę, ale obalono dawny obyczaj.

Po Mahmalu największem świętem u Arabów jest rocznica urodzin Proroka: Muléd-el-Nebi, czyli Dosseh zwana. Uroczystość trwa dni kilka. Wszyscy dygnitarze miasta, derwisze i sławni szeicy rozkładają swe namioty na placu koło Bulaku. Lud spędza tu całe noce przed drewnianemi budami, w których sprzedają kawę i rozmaite przysmaki arabskie. Każdy się bawi jak chce, jedni słuchają śpiewu almeek, drudzy huśtają się na huśtawkach i karuzelach, inni znów patrzą na pantominę nieprzyzwoitą sławnego pajaca „Karagjuz“, albo podziwiają kuglarzy, grają w szachy i kości. Derwisze tymczasem odprawiają przed namiotami swe fanatyczne zikry i w rozmaity sposób okazują swą wzgar-

¹⁾ Obląkanych.

dę dla wszystkiego, co cielesne, dla fizycznych cierpień.

Polykają żarzące węgle i żywe skorpiony, sztyletami siekają swe ciało i piersi i wynajdują coraz to nowe tortury. Przy końcu uroczystości kilkuset najfanatyczniejszych derwiszów rzuca się na ziemię, a jeden z szejków na koniu białym jak mleko, w białym stroju przejeżdża po ich ciałach. Zemdlonych, zdeptanych, bez tchu i życia niosą pod namiot, a lud ¹⁾ ciśnie się, aby całować ich ręce i szaty.

Jeszcze straszniejszą jest scena przy obchodzie uroczystości Mulia-el-Kifai. Uroczystość tę obchodzą Arabowie dnia 14 Gamady el-Akhar (6-ty miesiąc ich roku), na pamiątkę sławnego Imana i założyciela zakonu derwiszów tegoż nazwiska. Derwisze ci noszą czarne turbany i należą do najfanatyczniejszych na całym Wschodzie. W dzień obchodu rzucają się na ziemię na wznak, miecze nagie kładą na piersiach, tak, że ostrze ich wpija się w ciało, a szejk, prowadzony przez dwóch derwiszów, stąpa po ciałach ich i mieczach.

Jednakże w dzisiejszym Egipcie coraz to mniej znajduje się ochotników do tego dobrowolnego męczeństwa; przeważna część owych fanatyków pochodzi z małej Azji i z Persyi.

Persowie obchodzą w Kairze najkrwawszą i najdzikszą uroczystość, a to w rocznicę śmierci Hussej-na, wnuka Proroka, który został zamordowany przez Jazida (Persa) w roku 61 Hegiry. Pokutują też Persowie za tę zbrodnię i co roku, w dniu tym pamiętnym, orszak ich zbiera się w jednym z okeli, to jest magazynów w bazarach, przeciąga uroczyście przez ulicę Nową i odbywa swój obrzęd w meczecie Has-

) Od dwóch lat barbarzyński ten obyczaj zniesiony został, gdyż lud nie chciał się już dobrowolnie poddawać tej ceremonii, a szejcy, aby utrzymać dawny fanatyzm, musieli upajać haszyszem swych derwiszów.

sanejn (t. j. w meczecie Hassana i Hussanejna), bo i brat tegoż ostatniego, Hassan, skonał otruty.

Na czele orszaku jedzie młode pacholę, na przepysznym białym koniu i przedstawia samego Hussejna. Za nim spieszy brat jego Hassan, dokoła zaś grono bogatych Persów w strojach narodowych postępuje pieszo. Głowy młodych chłopaków tak są posiekane mieczami, iż krew zastygła zasłania im oczy i zalewa rysy. Za nimi dążą gromady fanatyków, krzycząc i wyjąc: „Ha! Hassan! Ja! Hussejn!” W białych koszulach, obnażeni po pas, bicząc się oni żelaznemi łańcuchami tak, że ciało ich jakby pokrajane i krwią oblane, tworzy niekształtną masę. Niektórzy padają i z jękiem wloką się za orszakiem. Tysiące pochodni oświeśla ten okropny obraz.

Za przybyciem na podwórze meczetu jeden z przewodców czyta opis śmierci Hussejna. Rozpacz zebranego ludu dochodzi do szału; w tej chwili słudzy wprowadzają spętanego barana, który przedstawiać ma mordercę Jazida. Lud rzuca się z wściekłością na biedne zwierzę i rozrywa je mieczami i sztyletami. Mało Europejczyków zjawia się przy tych uroczystościach; najsilniejsi mężczyźni bledną i odwracają oczy od tych krwawych widowisk, wiedzieć jednak trzeba, że w tem wszystkim jest też wiele udania i komedyi. Arabowie szczególnie są mistrzami w sztuce udawania. Zaręczano mi, że niektórzy derwisze przy takich uroczystościach noszą przy sobie umyślnie na ten cel przygotowane pęcherze, krwią baranów napelnione, które przecinają mieczami, co przy gwałtownych ruchach łatwo ukryć mogą.

Tak samo połykanie skorpionów, szkła i żarzących węgli jest tylko sztuką kuglarską, w której Arabowie celują.

Kuglarzy mamy w Kairze niezliczoną ilość. Pokazują oni swe sztuki na ulicach przed kawiarniami, a przyrządy wszystkie noszą w niewielkich toreb-

kach. Miałam sposobność podziwiać ich zręczność, gdyż schodzili się tłumnie do hotelu, w którym mieszkaliśmy przez czas dłuższy po przybyciu do Kairu. Zajęła mnie szczególnie mała, dziesięcioletnia zaledwie, dziewczynka o wielkich, czarnych oczach, ubrana cała w jedwab czerwony, a tak zręczna i pewna siebie, że najslawniejszych eskamoterów Europy zawstydzićby mogła. Tem trudniejszą była jej sztuka, gdyż staliśmy w licznej gronie tuż koło niej, śledząc bacznie jej ruchy. Wkładała ona np. do ust całe garście płonącej bawełny tak, iż dym i żar buchał z jej nozdrzy, w tejże samej jednak chwili zaczynała więc z ust swych długą, barwistą wstążkę i wiała ją bez końca. Potem zbliżyła się do mnie i kazała mi trzymać silnie w ręku dużą sztukę srebrnej monety. Ścisnęłam dłoń i czułam pod palcami pieniądź; jakież więc było moje zdziwienie, gdy otworzywszy rękę, znalazłam w niej zwitek papieru. Kuglarka zaś podbiegła do jednego z siedzących opodal mężczyzn. Był to przypadkowo milczący, flegmatyczny Anglik; zanim się spostrzegł, już kuglarka chwyciła go za nos, i ku wielkiemu zdziwieniu Anglika, z nosa jego wyleciał ów szukany pieniądź.

Ale któż zliczy wszystkie figle sprytnego dziecka, któreśmy zawsze hojnie obdarzali.

Schodzili się też do naszego hotelu i inni sztuki mistrze wschodni, a szczególnie handlarze.

Beduini przyprowadzali ichneumony, hweny i małpy, jaszczurki i węże. Niektórzy owijali je sobie wkoło szyi lub ręki, albo schwyciwszy węża nagle za ogon, podpierali się na nim, jakby na lasce. Nie jest to jednak tak nadzwyczajna sztuka, gdyż każdy wąż silnie schwytany koło ogona drętwieje, a przeto węże te, pozbawione są jadowitych zębów i tak zmęczone, zgłodzone, że zaledwie ruszać się mogą.

Opisawszy rozrywki nasze w hotelu, muszę wspomnieć choć kilku słowy o kairskich hotelach w ogólności. Hotele pierwszorzędne, jak hotel She-

peard, Continental, lub nowy hotel Gezireh, urządzone są z nadzwyczajnym przepychem na modę angielską. Większą część tych obszernych gmachów zajmują salony do przyjęcia, fumoiry, czytelnie, świetnie dekorowane jadalnie i kąpiele. Żyć można w tych hotelach wygodnie i swobodnie, a choć cena jest wysoka, gdyż pension kosztuje dziennie 20 do 25 franków, w porównaniu do ciasnych i niewygodnych a drogich hotelów wiedeńskich nie jest wcale wygórowaną ¹⁾.

Zimową porą hotele kairskie są przepelnione zazwyczaj tłumem Anglików i Amerykanów.

Czasami jednak byłam tak szczęśliwą, że mogłam i naszych rodaków powitać pod piramidami serdecznem: „Szczęść Boże“.

¹⁾ Mniej majątni mogą znaleźć w Egipcie pension za 12 lub 10 franków.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



Biblioteka Śląska w Katowicach

ID: 0030000727873



I 40766/1